cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #231 03/2026

Tomasz Łysiak
OŻAŁOBIONE WDOWY, CZYLI KOBIETY POLSKIE W MARCU 1861 ROKU

Antoni Rybczyński
WIELKA OFENSYWA TRUMPA NA TYŁACH ROSJI

Marek Kalinowski
O CZYM SZUMI OCEAN?

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

SAFE

MECHANIZM ODBIERANIA SUWERENNOŚCI

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 837dc6b7c9

TEMAT NUMERU 4–13



Polska na krótkiej niemieckiej smyczy / 4

IDEE 14–31



AI i szukanie Antychrysta / 14

HISTORIA 38–60



Stanisław Marusarz na celowniku gestapo i UB... / 38

KULTURA 62–70



Autostopem do Duszanbe / 62

ŚWIAT 76–98



Wielka ofensywa Trumpa na tyłach Rosji / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Polska na krótkiej niemieckiej smyczy /4

Z Piotrem Nowakiem
rozmawia Jakub Maciejewski
Do kogo trafią pieniądze z SAFE? Finansowe kulisy projektu /8

IDEE

Mateusz Matyszkowicz
AI i szukanie Antychrysta /14

Małgorzata Matuszak
Narodziny w cieniu systemu /19

Ewa Polak-Pałkiewicz
Każden Niemiec Robespierrus natus est! /22

Dawid Wildstein
Syjonizm. Największy z demonów? /28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Stanisław Marusarz na celowniku gestapo i UB. Nieocenzurowana historia legendy skoków narciarskich /38

Dariusz Jarosiński
Życie w potrzasku /44

Agnieszka Kowalczyk
Karoliny Lanckorońskiej rozmowy z katami. Część II /50

Bolesław Prus
Widzisz, słyszysz, dotykasz, czujesz, a w końcu wierzysz /56

Tomasz Łysiak
Ożałobione wdowy, czyli kobiety polskie w marcu 1861 roku /58

KULTURA

Michał Muszalski
Autostopem do Duszanbe /62

Krzysztof Karnkowski
Pojedynek w Kozielsku /68

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Wielka ofensywa Trumpa na tyłach Rosji /76

Hanna Shen
Co oznacza triumf konserwatystów w Japonii /81

Stefan Czerniecki
Paląca się wyspa z drewna /84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Dlaczego Xi ściął najważniejszego generała? /94

Stałe rubryki


Katarzyna Gójska
Fałszywa alternatywa
NA POCZĄTEK 3


Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Na miarę potrzeb i możliwości. Klasa średnia w III RP
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 32


Małgorzata Matuszak
Czym jest... dobromyślność
KATECHIZM INTELIGENTA 61


Marcin Wolski
Skandale, skandale
PAPKULTURA 67


Marek Kalinowski
O czym szumi ocean?
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 71


Krzysztof Wołodźko
Krzyżowa droga wśród ubogich Pana
DZIENNIK LEKTUR 72


Tomasz Sakiewicz
Co łączy UE
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

KONTAKT Z CZYTELNIKAMI
tel. 22 290 29 58 (wew.1)

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 837dc6b7c9



Katarzyna Gójska

Fałszywa alternatywa

Polska opinia publiczna terroryzowana jest koniecznością wejścia w mechanizm pożyczkowo-polityczny SAFE. Obóz władzy zastosował szeroki mechanizm działań mających zbudować silną presję moralną – kto przeciw unijnemu kredytowi, ten przeciw bezpieczeństwu Polski.

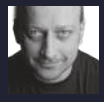
Ciekawe jest jednak to, że niemal cała siła wykorzystywana jest do wytworzenia tej fałszywej alternatywy, a nie do rzeczowej debaty na temat samego przedsięwzięcia. Mamy zatem wulgarną stygmatyzację sceptyków („zakute łby"), straszenie agresją Rosji i odpowiedzialnością za śmierć Polaków, którzy za rok mają ginąć w atakach drogowych (Sikorski w swoim sejmowym exposé), czy przekonywanie, iż kredyt z Komisji Europejskiej to najkorzystniejszy mechanizm finansowy, choć nikt nie wie i nie dowie się, jakie są realne jego warunki. Jest także czarowanie, że polityka wpisana w SAFE (tzw. warunkowość, czyli wypłacanie pieniędzy tylko wówczas, gdy instytucje UE będą zadowolone z poziomu „praworządności" w naszym kraju i ze stopnia uległości wobec wyroków TSUE) jest tylko kontrolą antykorupcyjną. Jednym słowem koalicja rządząca zrobiła dokładnie wszystko, by uniemożliwić uczciwą debatę na temat finansowania naszej armii, czyli najwyraźniej taka dyskusja z wyłożonymi wszystkimi kartami na stół była dla niej wyjątkowo kłopotliwa. Najbardziej odrażająca jest jednak ta fałszywa alternatywa – albo SAFE, albo bezbronność. W najnowszym numerze miesięcznika „Nowe Państwo" były minister Piotr Nowak, wybitny i niezwykle doświadczony ekspert od zarządzania zadłużeniem instytucji państwa, a dodatkowo absolwent wojskowej uczelni, bezwzględnie rozprawia się z tą manipulacją. Robi to w sposób tak klarowny, czytelny i spokojny, a jego słowa jaskrawo kontrastują z jazgotem szantażu, który serwują mniej lub bardziej rozgarnięci przedstawiciele koalicji dowodzonej przez Tuska. Tak właśnie powinna wyglądać debata publiczna dotycząca fundamentalnej sprawy dla nas wszystkich, czyli bezpieczeństwa. „Zakute łby" to nie tylko objaw autentycznego podejścia do ogromnej części obywateli Rzeczypospolitej, domagających się wiedzy i ograniczenia do minimum sfery tajności, lecz także oznaka jakiejś dramatycznej desperacji. Nikt bowiem nie kwestionuje potrzeby zbrojeń, rozbudowy armii i radykalnego wzmocnienia odporności Polski na agresję Rosji czy kogokolwiek innego. Ale, niestety, ludzie, którzy przez całe lata, gdy Rosja otwarcie szykowała się do ludobójczego pochodu, opowiadali o jej pokojowych intencjach, demokratycznej transformacji, są najmniej wiarygodnymi doradcami w sprawie obrony naszego państwa. Skoro Tusk, Sikorski i reszta potrafili tak dramatycznie się mylić, lub dramatycznie łgać na temat Moskwy, to jak dziś

NIE MUSIMY WYBIERAĆ POMIĘDZY UNIJNĄ POLITYKĄ POLITYCZNO-OBRONNĄ A BRAKIEM MOŻLIWOŚCI FINANSOWANIA ARMII. MOŻEMY ROZWIJAĆ NASZ POTENCJAŁ W OPARCIU O WŁASNE MOŻLIWOŚCI FINANSOWE I CZYNIĆ TO W SPOSÓB RACJONALNY I SKUTECZNY, A DODATKOWO WZMACNIAJĄCY SOJUSZE, REALNIE MOGĄCE NAS WESPRZEĆ W EWENTUALNEJ CHWILI PRÓBY.

ktokolwiek rozsądny miałby traktować ich deklaracje poważnie? Polska nie stoi pod ścianą. Nie musimy wybierać pomiędzy unijną polityką polityczno-obronną a brakiem możliwości finansowania armii. Możemy rozwijać nasz potencjał w oparciu o własne możliwości finansowe i czynić to w sposób racjonalny i skuteczny, a dodatkowo wzmacniający sojusze, realnie mogące nas wesprzeć w ewentualnej chwili próby. Możemy w tym procesie współpracować także z niemieckimi firmami – ale na zasadach dobrowolności i obopólnej korzyści, a nie dlatego, że pożyczka wymusza na nas kupno czegoś, co ma budować jakiś mityczny europejski potencjał wojskowy, a nie nasz własny – polski. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Piotr Lisiewicz

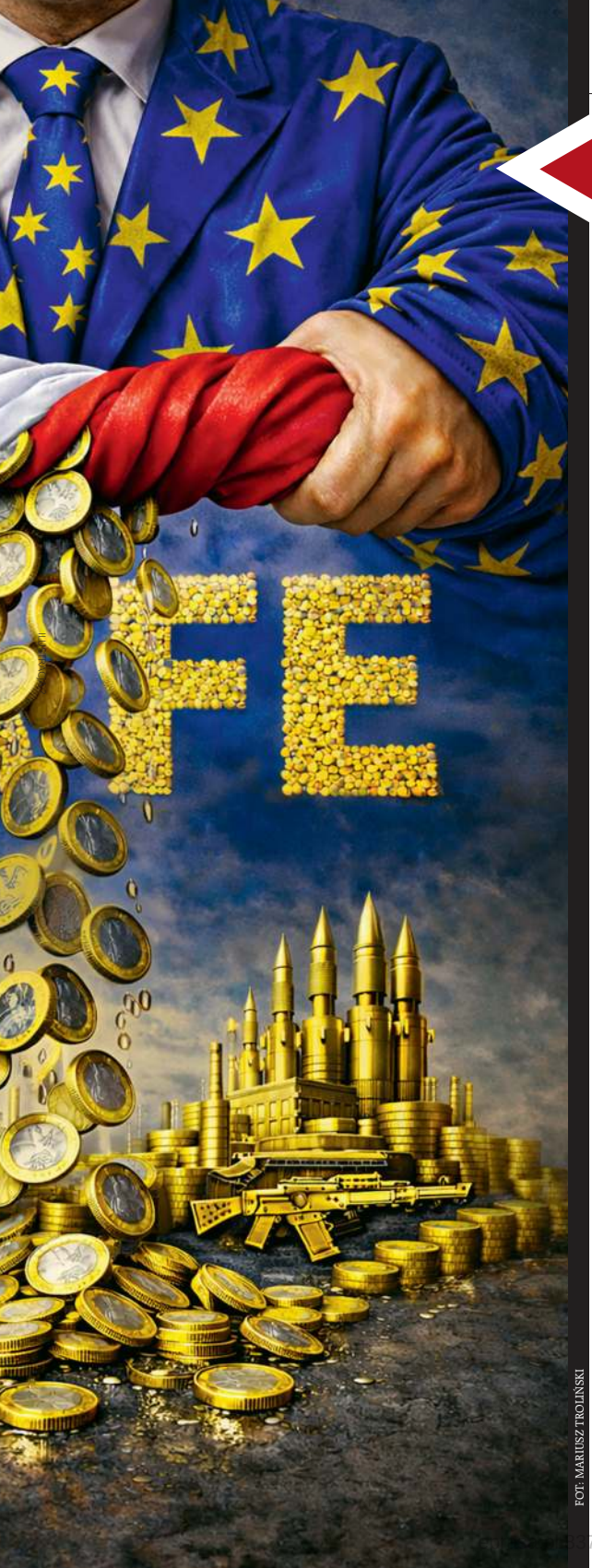


Polska na krótkiej niemieckiej smyczy



Bezczelność, z jaką postanowiono narzucić Polsce SAFE, pokazuje, że instrumenty niemieckiego panowania nad Europą zaczynają być używane przeciwko innym państwom już bez jakiegokolwiek kamuflażu. – Ten instrument mógłby zmusić Polskę do przyjęcia małżeństw homoseksualnych, łącznie z adopcją dzieci, Zielonego Ładu czy odejścia od jednomyślności w głosowaniach. Szantaż byłby skuteczniejszy niż w przypadku KPO, bo można by nam zablokować pieniądze na uzbrojenie konieczne do obrony przed Rosją – mówi „Nowemu Państwu" Jacek Saryusz-Wolski, doradca prezydenta Karola Nawrockiego.

eprasa.pl 837dc6b7c9



FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI

Przyjęcie ustawy o SAFE stanowiłoby śmiertelne zagrożenie dla niepodległości Polski. Jaką metodę przyjęły Niemcy, skoro oznacza to dla nich olbrzymie pieniądze, a jest skrajnie niekorzystne dla nas? Nasilenie propagandy. Od rządowych mediów dowiedzieliśmy się, że pożyczka to coś tak cudownego, iż tylko zdrajcy i obcy agenci mogą jej nie chcieć. Doszło do kuriozalnej sytuacji, w której prowadzący program „19.30" i jego reporterka spierali się o to, czy jest on poważny, czy… bardzo poważny.

Tusk: „Zdrady interesów narodowych nikt wam nigdy nie wybaczy"

Tę narrację narzucił mediom sam Tusk: „Takiej zdrady interesów narodowych nikt wam nigdy nie wybaczy… Zastanówcie się, czy naprawdę chcecie uderzyć w samo serce Polski w sytuacji, kiedy za granicą jest tak okrutna wojna. Nikt wam tego nie wybaczy i nikomu łaski nie robicie, wspomagając rząd w realizacji tego programu". Jak zażartował Robert Bąkiewicz, Tusk okazał się nagle… narodowcem ostrzejszym od niego i aż dziw, że nie zakończył tej mowy okrzykiem: „Polska dla Polaków!". Czy takie wypowiedzi, w których zarówno dziennikarze, jak i premier występują w rolach, do których pasują jak pięść do nosa, nie oznacza przegrzania tematu? Czy nie są w nich po prostu groteskowi?

SAFE uzależniałoby Polskę od Niemiec nieporównywalnie bardziej niż KPO, bo suma pieniędzy, które mamy otrzymać, jest o wiele wyższa, a spłata ma trwać aż 45 lat. – Ustawa o SAFE zasługuje na weto prezydenta. I nieprawdą jest, że można ją zasadniczo poprawić, bo zasada warunkowości jest nienegocjowalna, gwarantuje ją punkt 35 rozporządzenia o SAFE. A to oznacza, że nad Polską zawiśnie miecz Damoklesa, będzie zmuszana przez Niemcy do działań, których Polacy nie chcą – mówi Saryusz-Wolski.

Szantaż do sześcianu

Jak stwierdza, możliwość zastosowania warunkowości byłaby tym razem o wiele groźniejsza niż w przypadku KPO, bo chodziłoby o pieniądze dla wojska. Przypomnijmy, że pieniądze z KPO dla Polski wstrzymane były za rządów PiS z powodu rzekomego braku praworządności.

Ale UE, zarządzana przez Niemcy, mogłaby znaleźć dowolny inny pretekst. – Ten instrument może zmusić Polskę do przyjęcia małżeństw homoseksualnych, łącznie z adopcją dzieci, Zielonego Ładu czy odejścia od jednomyślności w głosowaniach. Szantaż będzie skuteczniejszy niż w przypadku KPO, bo będzie nam można zablokować pieniądze na uzbrojenie konieczne do obrony przed Rosją. Czyli jeśli prawicowy rząd nie zgo-

7dc6b7c9

dzi się na małżeństwa homoseksualne, będzie nazywany rosyjską agenturą, narażającą bezpieczeństwo Polaków – mówi Jacek Saryusz-Wolski.

Jak Niemcy przygotowały inwazję dzięki SAFE

A kto naprawdę na tym zarobi? Kluczowe jest to, co ujawnił portal Niezależna.pl. Otóż niemiecki przemysł zbrojeniowy przeprowadził w ciągu ostatnich 12 miesięcy błyskawiczną operację, której finał obserwujemy właśnie teraz. Berlin perfekcyjnie przygotował się do przejęcia lwiej części z mechanizmu SAFE. Kluczem jest zasada „europejskiego wkładu", która de facto eliminuje konkurencję z USA i Korei Południowej. Gigant z Düsseldorfu już w październiku 2025 roku podpisał memorandum z PGZ, by pod pozorem „współpracy" czerpać zyski z polskich zamówień przez kolejne dekady. Niemcy zawarli też w ostatnim czasie kilkanaście porozumień i umów z zakładami w Bułgarii, Rumunii, na Litwie, Łotwie, Węgrzech i we Włoszech, które zarabiać będą na gigantycznych zamówieniach finansowanych z SAFE.

Najważniejszym elementem tej strategii jest memorandum o współpracy (MoU) podpisane w październiku 2025 roku między Polską Grupą Zbrojeniową (PGZ) a koncernem Rheinmetall. Dokument dotyczący utworzenia Europejskiego Centrum Wozów Wsparcia zakłada produkcję wozów zabezpieczenia technicznego, mostów oraz wozów inżynieryjnych (m.in. Keiler NG). Choć produkcja ma być ulokowana w Polsce – mowa o Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych i zakładach H. Cegielski w Poznaniu – model biznesowy jest jasny. Rheinmetall zarobi – jak można przypuszczać – na opłatach licencyjnych, dostawach kluczowych podzespołów (silniki, elektronika) oraz długoterminowym serwisie, który generuje przychody przez dekady.

Warto odnotować, że wiceszef PGZ Arkadiusz Bąk, cytowany przez niemieckie media, entuzjastycznie stwierdził, iż współpraca z Rheinmetall „wzmocni obronność Europy". Niemiecki „Die Welt" był bardziej szczery, pisząc wprost o „prawdziwym wejściu [Rheinmetall – przyp. P.L.] na lukratywny rynek polski". „DW" wyjaśnia, że Rheinmetall pomijał dotychczas „najbardziej zaludniony i istotny pod względem bezpieczeństwa politycznego kraj w regionie: Polskę. Ale to może się teraz zmienić". Niemiecka gazeta jednoznacznie wskazywała, kto skorzysta na wypchnięciu przez rząd Tuska Amerykanów z polskiej polityki zbrojeniowej: „Polska zbroi się głównie za pomocą przemysłu obronnego Stanów Zjednoczonych i Korei Południowej. Europejscy dostawcy są w większości pomijani… W obliczu coraz bardziej nieprzewidywalnej polityki Stanów Zjednoczonych pod rządami Donalda Trumpa oraz świadomości, że partnerstwa w Europie muszą zostać wzmocnione, jeśli Europejczycy mają odpowiednio przeciwdziałać zagrożeniu ze strony agresywnej Rosji, w Warszawie pojawia się zmiana polityki… Wydaje się, że Rheinmetall wykorzystuje tę sytuację".

Dzięki SAFE Tusk chce wygrać wybory w 2027 r. Zmusić do poparcia nawet tych, którzy go nie lubią

Zdaniem Saryusza-Wolskiego szantaż zostałby zastosowany z pewnością przed wyborami parlamentarnymi w roku 2027, by przedłużyć rządy Tuska: – Tusk z całą pewnością ogłosi, że musicie na nas zagłosować, bo jak do władzy dojdzie prawica, to UE zablokuje nam pieniądze z SAFE na uzbrojenie, czyli będziemy wobec Rosji bezbronni.

Jak podkreśla, pomysły, że ustawę o SAFE można naprawić, to nierealne mrzonki i próba wizerunkowej ściemy. Najgorsze zło to właśnie mechanizm warunkowości, a on jest wpisany w europejskie rozporządzenie o SAFE. – To jest zapis nienegocjowalny, umieszczony w punkcie 35 rozporządzenia. Gdyby nawet zakwestionowanie go pojawiło się w polskiej ustawie, nic by to nie dało, bo UE i tak by go stosowała. To jest de facto oddawanie Komisji Europejskiej polskich kompetencji w dziedzinie obronności, do czego nie można dopuścić, obronność jest nienaruszalną kompetencją państw, a nie UE. Dlatego ustawa o SAFE zasługuje na weto prezydenta – mówi Saryusz-Wolski. Nie da się też polską ustawą zmienić na przykład zapisów o konieczności zakupów broni w UE, rozbijających nasze relacje ze Stanami Zjednoczonymi.

O tym, że mechanizm warunkowości będzie miał tu zastosowanie, powiedział wprost Piotr Serafin, polski komisarz ds. budżetu w komisji europejskiej: „Mechanizm regulacji warunkowości dotyczy wszystkich funduszy Unii Europejskiej, w tym programu SAFE".

Kłamstwo Kosiniaka-Kamysza

Mimo to wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz podczas debaty z senatorami przekonywał, że warunkowość w programie SAFE dotyczy rzetelności wydatkowych środków. Dodał nawet, że ta zasada nigdy nie została użyta wobec Polski.

To kłamstwo, bo jak łatwo sprawdzić, program opiera się na tym samym rozporządzeniu 2020/2092, które w 2022 roku posłużyło do polityczno-finansowego szantażu wobec naszego kraju i wymuszania zmian w polskim sądownictwie. To niesławne rozporządzenie „w sprawie ogólnego systemu warunkowości służącego ochronie budżetu Unii". Choć teoretycznie ma chronić finanse, definicja „państwa prawnego" w jego art. 2 jest tak szeroka i nieostra, że pozwala urzędnikom Komisji Europejskiej na polityczną interpretację.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Obejmuje ona m.in. „skuteczną ochronę sądową", „niedyskryminację", „niezawisłe sądy" czy „zakaz arbitralności w działaniu władz wykonawczych".

Gdy politycy koalicji 13 grudnia mówią dziś, że mechanizm jest bezpieczny, zapominają (lub celowo milczą) o tym, jak europarlament wykorzystywał go do politycznych ataków. Wystarczy przypomnieć dwie rezolucje z 2022 roku, które były jawną próbą karcenia Polski.

W rezolucji z 10 marca 2022 roku (P9_TA(2022)0074) Parlament Europejski wzywał Komisję do „podjęcia pilnych działań i natychmiastowego zastosowania mechanizmu warunkowości w zakresie praworządności". Europosłowie domagali się karania Polski w trybie natychmiastowym.

Jeszcze bardziej kuriozalna była sytuacja z 9 czerwca 2022 roku (rezolucja P9_TA(2022)0240). Wówczas Parlament Europejski wyraził „głębokie zaniepokojenie pozytywną oceną przez Komisję w dniu 1 czerwca 2022 r. polskiego planu odbudowy i zwiększania odporności". Europarlamentarzyści wprost naciskali, by nie wypłacać Polsce pieniędzy, dopóki nasz kraj nie spełni wszystkich żądań dotyczących sądownictwa – w tym przywrócenia konkretnych, skompromitowanych sędziów czy zmian w systemie dyscyplinarnym, który ukrócił bezkarność sędziów.

▶ Cała prawica murem przeciwko SAFE

W polskim Sejmie za przyjęciem ustawy było 236 posłów, przeciw 199, wstrzymało się czterech. Poparli ją posłowie ugrupowań koalicji rządzącej: KO, PSL, Lewicy i Polski 2050. Przeciw byli posłowie całej prawicy – PiS, Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej.

Podczas obrad niespodziewanie w Sejmie pojawił się ambasador Niemiec Miguel Berger, który chętnie komentował na platformie X postępy prac legislacyjnych: „Zaskakujące kontrowersje wokół programu o wartości euro 150 miliardów, z którego Polska otrzymuje lwią część euro 44 miliardów. SAFE ma na celu wzmocnienie europejskich zdolności obronnych. Biorąc pod uwagę zagrożenie ze strony Rosji, nie ma czasu do stracenia".

Poseł PiS Rafał Bochenek skomentował, że jest to „wdrażanie niemieckiego kagańca pod nazwą SAFE". „Panie ambasadorze, skoro program SAFE jest taki wspaniały, to dlaczego Pana kraj nie zdecydował się z niego skorzystać?" – dopytywał polski polityk.

Dyplomata odpisał, że „Niemcy mają rating AAA i mogą dzięki temu uzyskać tańsze finansowanie. Ale ponieważ chcemy wspierać szybki rozwój zdolności obronnych w Europie, zgodziliśmy się – w ramach polskiej prezydencji – współfinansować utworzenie SAFE".

▶ „Groźny niemiecki toksyczny instrument finansowy"

Skomentował ten fakt Michał Rachoń: „SAFE to groźny niemiecki, toksyczny instrument finansowy. Aktywność ambasadora Niemiec, który pilnował w Sejmie polityków głosujących za tą sprawą, świadczy o tym dobitnie".

Ambasador Berger zwiększył w tych dniach swoją medialną aktywność. Udzielił też wywiadu „Rzeczypospolitej", w którym wypowiedział się na temat wypychania Amerykanów z Europy. „Czy Niemcy uważają, że rozwodu Europy z Ameryką nie da się już uniknąć?' – pytał redaktor Jerzy Haszczyński. A ambasador odpowiadał: „Nie, to nie jest nieuniknione, ale musimy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, ważne jest, abyśmy zachowali NATO i jasne zobowiązanie Stanów Zjednoczonych do przestrzegania artykułu 5. Jednocześnie musimy wzmocnić europejską suwerenność. Trzeba to zrobić w obszarach obronności, technologii i gospodarki. Dotyczy to również umów handlowych. Straciliśmy zbyt wiele czasu, polegając wyłącznie na relacjach transatlantyckich". Czyli niech nas Amerykanie bronią, ale jednocześnie ich wypychanie to walka o suwerenność, czyli przeciwstawianie się obcej sile, a nie najważniejszemu państwu będącemu częścią zachodniej cywilizacji.

▶ KPO poszło na jachty, SAFE ma pójść na prywatną firmę Poncyljusza

Jak podkreśla poseł PiS Janusz Kowalski, nie ma wątpliwości, że jeśli obecna władza dorwie się do pieniędzy z SAFE, potraktuje je tak samo jak pieniądze z KPO. – Te, które poszły na jachty i inne interesy rodziny i znajomych. A spłacać kredyt będą wszyscy Polacy.

Dowodem na to, że to prawda, jest ujawniony przez portal Niezależna.pl fakt, że największym beneficjentem z listy projektów przewidzianych do realizacji programu SAFE ma być prywatny podmiot – spółka Polska Amunicja. Kieruje nią były poseł KO i kandydat do parlamentu z jej list Paweł Poncyljusz. Firma nie ma obecnie samodzielnych zdolności produkcyjnych. W ramach SAFE ma otrzymać aż 2,3 mld euro na produkcję amunicji – około 300 tys. sztuk. Czyli połowę tego, co kosztowała pierwsza wersja programu 500 plus! Jak to się stało, że Polska Amunicja stała się spółką prywatną? We wrześniu 2024 roku Agencja Rozwoju Przemysłu sprzedała swoje większościowe udziały (51 proc.) w spółce pozostałym członkom tego konsorcjum. Jak przekonywały prorządowe media, Tusk ponoć nic o tym wszystkim nie wiedział. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

PIOTR NOWAK jest absolwentem Wojskowej Akademii Technicznej, Szkoły Głównej Handlowej, Uniwersytetu Harvarda i Uniwersytetu Stanford.



Jakub Maciejewski

Do kogo trafią pieniądze z SAFE? Finansowe kulisy projektu

Nie kwestionuję potrzeby zbrojeń, a jako były wojskowy rozumiem, że to nasza egzystencjalna potrzeba, i to bardzo pilna. Kwestionuję uproszczenia w narracji. Jeśli mamy podjąć decyzję o wieloletnim zobowiązaniu, powinniśmy uczciwie porównać koszt finansowania unijnego z kosztem emisji własnego długu – z Piotrem Nowakiem, byłym ministrem rozwoju i technologii, wiceministrem finansów, doradcą szefowej Międzynarodowego Funduszu Walutowego w Waszyngtonie, rozmawia Jakub Maciejewski.

eprasa.pl 837dc6b7c9

▶ Trudno dziś krytykować SAFE, gdy propaganda szantażuje nas, że istnieje tylko dylemat: albo SAFE, albo bezbronność.

Potrzeba zbrojeń nie jest kwestionowana. Spór dotyczy narracji i sposobu finansowania. Zbudowano przekaz, że jeśli będzie tzw. SAFE, to będziemy się zbroić, a jeśli nie – to nie. Tymczasem to fałszywa alternatywa. Jeżeli rząd uznaje projekty za strategiczne, może je realizować niezależnie od tego, czy korzysta z konkretnego europejskiego instrumentu finansowego, czy nie.

▶ Czyli problem dotyczy sposobu finansowania?

Dokładnie. Jeśli chcemy finansować zbrojenia, mamy kilka instrumentów. Jednym z nich może być unijny mechanizm SAFE, innym – budżet państwa. Tymczasem w debacie publicznej pojawiła się teza, że to wyjątkowo korzystna pożyczka na 45 lat, „najtańszy pieniądz", rzekomo oprocentowany na poziomie około 3 proc. Taki przekaz pojawiał się zwłaszcza na początku. Postanowiłem sprawdzić, jak to wygląda naprawdę. Wniosek o finansowanie z listą projektów jest utajniony, natomiast ogólne zasady mechanizmu są publicznie dostępne. Instrument został przyjęty przez instytucje unijne, a jego konstrukcja jest zbliżona do tej znanej z Krajowego Planu Odbudowy w ramach programu Next Generation EU.

Komisja Europejska nie dysponuje „własnymi" pieniędzmi w sensie rynkowym. Ma środki zapisane w siedmioletnich ramach finansowych, które są już w znacznej mierze rozdysponowane. Jeśli potrzebuje dodatkowego finansowania, musi wyjść na rynek i wyemitować obligacje.

▶ Czyli mechanizm jest podobny do tego, który zastosowano przy KPO?

Komisja emituje obligacje, pozyskuje środki od inwestorów, a następnie pożycza je państwom członkowskim. Koszt dla danego kraju to koszt finansowania uzyskany przez Unię na rynku plus bufor płynności oraz marża za zarządzanie i emisję.

W przeszłości – zarówno przy KPO, jak i przy instrumentach stosowanych po kryzysie finansowym 2008 roku – marża ta wynosiła od 0,02 do 0,15 punktu procentowego. To wartości relatywnie niewielkie i w kontekście całej operacji nie one są kluczowe. Kluczowy jest natomiast koszt samego finansowania rynkowego.

▶ Jak wygląda on obecnie?

Jeśli mówimy o finansowaniu na 45 lat, Komisja powinna zabezpieczać się emisjami długoterminowymi. Tymczasem w styczniu 2026 roku wyemitowano 30-letnie obligacje z rentownością około 4,06 proc. na 5 mld euro. W lutym – 20-letnie, z rentownością około 3,84 proc. również na 5 mld euro.

To pokazuje, że realny koszt pieniądza na rynku jest dziś wyraźnie wyższy niż 3 proc., o których mówiono w przestrzeni publicznej. Oczywiście ostateczny koszt dla Polski zależy od struktury emisji, harmonogramu oraz warunków szczegółowych, których nie znamy w pełni. Jednak twierdzenie o „najtańszym pieniądzu" wymaga doprecyzowania.

Finansowanie zbrojeń jest koniecznością. Pytanie brzmi: ile ono realnie kosztuje i jakie są alternatywy. Bez rzetelnej informacji o kosztach emisji obligacji i warunkach pożyczki trudno prowadzić poważną debatę ekonomiczną.

▶ To ile w końcu wyniesie to oprocentowanie?

Zweryfikujmy to spokojnie. Jeżeli Komisja Europejska ma pożyczyć Polsce pieniądze na 45 lat, to przy obecnych warunkach rynkowych nie ma szans, by koszt wyniósł 3 proc. Oczywiście diabeł tkwi w szczegółach – ostateczne warunki znajdą się w umowie kredytowej. Być może Komisja zastosuje mechanizm średnioważony z różnych tenorów [terminów spłaty – przyp. red.] może dołoży emisje dziesięcioletnie. Trudno przesądzać.

Trzeba też pamiętać, że nawet jeśli pożyczka ma horyzont 45-letni, to w praktyce jest amortyzowana. Ale raczej można być pewnym – to nie będzie 3 proc. Przy obecnym poziomie rentowności europejskich obligacji to po prostu nierealne.

▶ Pojawił się też argument o tzw. wakacjach kredytowych. Premier Donald Tusk mówił o 10-letnim okresie odroczenia.

Tak, ale wyjaśnijmy, co to oznacza. „Wakacje kredytowe" w tym przypadku nie oznaczają braku płatności w ogóle. Przez pierwsze 10 lat płacimy odsetki, a dopiero później zaczynamy spłacać również kapitał. To technikalia, które dla finansistów są oczywiste, choć nie zawsze przebijają się do debaty publicznej. Spłacamy odsetki przez całą dekadę, a kwota zadłużenia się nie zmniejsza.

▶ A co jeśli Polska finansowałaby się samodzielnie poprzez emisję obligacji Skarbu Państwa?

Weźmy przykład emisji w euro ze stycznia tego roku. Polska wyemitowała wtedy pięcioletnie obligacje w euro z rentownością około 2,96 proc. oraz 10-letnie z rentownością około 3,74 proc. Łączny popyt – jeśli

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 837dc6b7c9

dobrze pamiętam – przekroczył 12 mld euro, choć nie pamiętam dokładnego podziału na transze.

To pokazuje, że państwo polskie może finansować się pięcioletnim długiem w euro na poziomie około 3 proc. I co ważne — nie musi tego robić jednorazowo.

▶ Czyli bylibyśmy w stanie sami wyemitować obligacje na kwotę 200 mld złotych z oprocentowaniem korzystniejszym niż unijne?

Byłoby to około 200 mld zł w perspektywie pięciu lat – czyli mniej więcej 40 mld zł rocznie, co odpowiada około 10 mld euro rocznie. Przy takim tempie emisja pięcioletnich obligacji na poziomie 10 mld euro rocznie – a nawet 15 czy 20 mld euro – nie stanowiłaby dla Polski żadnego problemu z punktu widzenia rynku.

Mechanizm jest prosty: emitujemy pięcioletnie obligacje na 10 mld euro, przez pięć lat płacimy odsetki. Jeśli zbliża się termin wykupu, emitujemy kolejną serię i rolujemy dług. W tym sensie „wakacje kredytowe" mogą trwać w praktyce bezterminowo – dopóki rynek finansuje nasze potrzeby. W modelu unijnym po 10 latach zaczynamy spłacać również kapitał, co zwiększa obciążenie budżetu.

▶ A nie jest tak, że wszystko zależy od ratingu i skali emisji?

Oczywiście, rating ma znaczenie. Ale spójrzmy na liczby. Dług Skarbu Państwa wynosi obecnie około prawie 2 bln złotych. Średnia zapadalność [termin spłaty] całego długu to około 5,7 roku.

Ktoś mógłby powiedzieć: „Tym długiem da się zarządzać, ale dodatkowe 40 mld zł rocznie już nie". Tyle że w 2024 roku nowy dług netto – wynikający z deficytu – wyniósł około 300 mld zł. W 2025 roku skala jest podobna. W 2026 roku również 300 mld zł nowego długu. W ciągu trzech lat mówimy więc o około 900 mld zł nowego długu, nie licząc refinansowania zapadających obligacji. I rynek to wchłonął. I nagle słyszymy, że 200 mld zł w pięć lat – czyli 40 mld zł rocznie – „się nie da".

▶ Pada argument, że to inne potrzeby – wydatki bieżące versus inwestycyjne.

Ale mechanizm finansowania jest ten sam. Państwo emituje dług. I tak zarządza się nim na całym świecie – poprzez utrzymywanie średniej zapadalności na poziomie kilku lat. Im dłuższy tenor, tym wyższy koszt. To podstawowa zależność rynkowa.

Dla porównania: średnia zapadalność długu Stanów Zjednoczonych wynosi około 70 miesięcy, czyli również niespełna sześć lat. Tak działa największa gospodarka świata. Tak funkcjonują rynki długu.

Przez pięć lat pracowałem w Ministerstwie Finansów, wcześniej zajmowałem się rynkami finansowymi. Polska była zresztą pionierem w pewnych obszarach – jako pierwszy kraj na świecie wyemitowaliśmy zielone obligacje. Nie dlatego, że nagle staliśmy się ideologicznymi entuzjastami klimatu, lecz dlatego, że i tak finansowaliśmy inwestycje kwalifikujące się jako „zielone": rewitalizację terenów pokopalnianych, infrastrukturę kolejową. Wpisaliśmy je w format zielonej emisji, co pozwoliło poszerzyć bazę inwestorów i – mówiąc wprost – zamknąć usta tym, którzy sprowadzali Polskę do roli „węglowej gospodarki".

▶ Czyli mamy rozmaite instrumenty finansowania zbrojeń, także innowacyjne, sprawdzone w ostatnich latach, a nagle sięgamy do zewnętrznej i bardzo zobowiązującej pożyczki.

Nie kwestionuję potrzeby zbrojeń, a jako były wojskowy rozumiem, że to nasza egzystencjalna potrzeba, i to bardzo pilna. Kwestionuję uproszczenia w narracji. Jeśli mamy podjąć decyzję o wieloletnim zobowiązaniu, powinniśmy uczciwie porównać koszt finansowania unijnego z kosztem emisji własnego długu oraz uwzględnić elastyczność, jaką daje zarządzanie zapadalnością na poziomie pięciu–sześciu lat. Dopiero wtedy można mówić o racjonalnym wyborze.

▶ Mogliśmy emitować obligacje na potrzeby ekologiczne, a nagle rząd twierdzi, że nie możemy na potrzeby bezpieczeństwa...

Finansowaliśmy w ten sposób rewitalizację terenów pokopalnianych, inwestycje kolejowe. Uporządkowaliśmy to formalnie i jako pierwsi na świecie wyemitowaliśmy sovereign green bonds [„zielone obligacje" – przyp. red.]. Dostaliśmy za to nagrody, dzieliliśmy się dokumentacją z innymi państwami, które nie wiedziały, jak przeprowadzić taką operację.

Byliśmy też pierwszym krajem europejskim, który przeprowadził emisję tzw. panda bonds na rynku chińskim – czyli obligacji denominowanych w juanie, emitowanych lokalnie w Chinach. Wcześniej zrobiła to Kolumbia Brytyjska, ale to jednostka federacji Kanady, a nie suwerenne państwo. Żaden kraj europejski nie przeprowadził takiej operacji przed Polską.

Co więcej, uzyskaliśmy zgodę – po negocjacjach – by środki pozyskane w Chinach mogły zostać transferowane do Polski. To wcale nie jest oczywiste. W pewnym momencie udało się nawet przeprowadzić arbitraż: przy dodatnich stopach w Europie uzyskaliśmy w Chinach ujemną rentowność emisji i środki te prze-

eprasa.pl 837dc6b7c9

suwaliśmy do strefy euro. To są fakty, o których mówił m.in. minister Paweł Szałamacha w wywiadach z okresu, gdy kierował resortem finansów. Mamy kompetencje do samodzielnego zarządzania długiem.

▶ Ale czy unijne finansowanie nie może być tańsze, gdy na przykład Niemcy mają wyższy rating? Ambasador Niemiec zwracał uwagę, że RFN posiada najwyższą ocenę kredytową w UE.

To prawda – Niemcy mają jeden z najwyższych ratingów w Europie. Jeśli emitują 10-letnie obligacje, ich koszt finansowania jest niższy niż przeciętny koszt finansowania całej Unii, w której są także kraje o słabszej wiarygodności kredytowej, jak Grecja czy Hiszpania.

Ale trzeba rozróżnić dwie rzeczy. Po pierwsze, rating Polski. Obecnie mamy rating na poziomie A– , przy czym niedawno zmieniono perspektywę z neutralnej na negatywną. Podczas jednej z ostatnich konferencji analityk agencji Fitch Ratings wskazywał na rosnące ryzyka fiskalne w horyzoncie kilku lat.

Po drugie, konstrukcję instrumentu. Jeśli Komisja emituje obligacje 45-letnie, to naturalnie koszt tak długiego pieniądza będzie wyższy niż w przypadku pięcio- czy dziesięcioletnich emisji Polski. Nam nie jest potrzebna zapadalność 45-letnia, bo w praktyce długiem zarządza się poprzez rolowanie krótszych serii.

▶ Skąd więc pomysł na tak długi horyzont czasowy?

Nie uczestniczyłem w tych rozmowach, więc mogę tylko spekulować. W Komisji Europejskiej nie funkcjonuje klasyczna, wyspecjalizowana agencja zarządzania długiem na wzór krajowych struktur. Komisja emitowała obligacje w czasie kryzysu po 2008 roku, później przy okazji programu Next Generation EU, a teraz w związku z SAFE.

Możliwe, że konstrukcja została w dużej mierze skonsultowana z potencjalnymi nabywcami – bankami i inwestorami instytucjonalnymi. To oni wskazują, jakie papiery są dla nich atrakcyjne. Ktoś te obligacje musi kupić. W tym sensie rynek współkształtuje parametry emisji.

Historycznie podstawą naszego finansowania były obligacje w złotych – najbezpieczniejsze z punktu widzenia ryzyka walutowego, choć droższe ze względu na wyższe stopy procentowe. Emisje w euro były tańsze, ale niosą ryzyko kursowe: państwo polskie nie generuje dochodów w euro w sposób naturalny. Jeśli złoty się osłabi, koszt obsługi długu w euro rośnie – analogicznie do doświadczeń kredytobiorców frankowych.

Istniał jednak pewien bufor: jako beneficjent netto budżetu UE Polska otrzymywała rocznie około 8–10 mld euro netto w ramach wieloletnich ram finansowych. Byliśmy – i jeszcze jesteśmy – beneficjentem netto. Utrzymywaliśmy zadłużenie w walutach obcych na poziomie około 55–65 mld euro, tak aby w razie potrzeby można było je obsługiwać z wpływów unijnych. Ograniczaliśmy ekspozycję na dolara, koncentrując się na euro.

To miało sens przy niskich stopach procentowych – gdy można było pożyczać w euro po 1,5–2 proc., podczas gdy w złotych koszt był wyraźnie wyższy.

Tymczasem zbliżamy się do momentu, w którym możemy przestać być beneficjentem netto, a stać się płatnikiem netto. Wtedy zabezpieczanie kredytów unijnymi transferami się skończy.

Dlatego przy ocenie SAFE trzeba patrzeć nie tylko na nominalne oprocentowanie, lecz także na ryzyko walutowe w horyzoncie zapadalności – 45 lat, a nie na przykład pięć lat – oraz przyszłe saldo przepływów w euro.

▶ *Czy mechanizm SAFE może być instrumentem nacisku w sprawie przyjęcia przez Polskę waluty euro?

Nacisk na przyjęcie euro ma przede wszystkim charakter polityczny. Natomiast każdy mechanizm wspólnego zadłużania w euro jest kolejnym elementem wiążącym państwa członkowskie ze wspólną walutą i z centrum decyzyjnym.

Jeżeli – jak zapowiadano – ma powstać stała agencja zarządzania wspólnym długiem Komisji Europejskiej, to oznacza instytucjonalizację procesu. Państwa mają swoje agencje zarządzania długiem lub wyspecjalizowane departamenty w ministerstwach finansów. Komisja do tej pory emitowała dług incydentalnie – po kryzysie finansowym 2008 roku, później przy programie Next Generation UE, w ramach którego funkcjonował KPO, a teraz przy SAFE.

Jeśli tworzy się trwałą strukturę zarządzania wspólnym długiem, to jest to krok w stronę dalszej centralizacji. Pytanie brzmi: czy to tylko rozbudowa administracji, czy budowa zalążków quasi-fiskalnego państwa na poziomie unijnym?

▶ Dochodzi jeszcze kwestia warunkowości – powiązania prawa do tych pieniędzy z politycznymi kryteriami.

Mechanizm jest politycznie bardzo sprytny. Po pandemii COVID-19 łatwo było zbudować narrację: „chcecie odbudowy gospodarki – oto pieniądze". Trudno było być przeciw.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Teraz mamy analogiczną sytuację: „chcecie się zbroić w obliczu zagrożenia – oto najtańsze pieniądze". W takiej atmosferze każda próba zadawania pytań o koszt, warunki czy alternatywy bywa przedstawiana jako sprzeciw wobec samej idei wzmacniania bezpieczeństwa. To zamyka przestrzeń do merytorycznej dyskusji. A potem się okazuje, że otrzymanie środków wiąże się z warunkami pozafinansowymi.

▶ W standardach demokratycznych moglibyśmy być spokojni o weto prezydenta. Ale rząd już wysyła sygnały, że SAFE wprowadzi bocznymi drzwiami. Czyli jak?

W innych krajach środki trafiają bezpośrednio do budżetu państwa. W Polsce można by je również wprowadzić do budżetu. Zamiast tego pojawia się koncepcja wprowadzenia tych środków do Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, który może być zasilany emisją obligacji, dotacjami, pożyczkami czy sprzedażą mienia. Technicznie nie ma przeszkód, by środki SAFE przechodziły przez ten fundusz.

▶ Czyli nowa ustawa nie będzie potrzebna. Jakie to jeszcze będzie miało skutki?

Jeśli zobowiązanie trafia bezpośrednio do budżetu, podnosi wskaźnik długu publicznego liczony według krajowej metodologii. Jeśli przechodzi przez fundusz poza budżetem – formalnie może być klasyfikowane inaczej w ujęciu krajowym (choć w statystyce unijnej i tak jest uwzględniane), a więc minister finansów uniknie alarmowej sytuacji, do której doprowadził obecny rząd, w którym zbliżymy się albo przekroczymy granicę dopuszczalnego konstytucyjnego długu. Mówimy o około 200 mld zł w perspektywie kilku lat, czyli rzędu 4–5 proc. PKB. To nie jest wartość marginalna, szczególnie w kontekście wysokich deficytów.

▶ Trudno się o tym dyskutuje, gdy część dokumentów w tej sprawie – z uwagi na bezpieczeństwo – jest tajna.

Argument o tajności wojskowej jest zrozumiały. Ale warto zauważyć, że lista została zatwierdzona na poziomie Rady UE – czyli znają ją przedstawiciele 27 państw. Skoro wiedzą inne rządy, to trudno mówić o absolutnej tajemnicy. Ten „sekret" zna więc już tysiąc ministrów w 27 krajach o różnym nastawieniu do Rosji, a nie zna polskie społeczeństwo. To przed kim próbuje się ukryć szczegóły programu – przed Rosją czy przed obywatelami?

Problemem może być coś jeszcze innego: jeśli projekt jest zatwierdzony w ramach mechanizmu unijnego, może to ograniczać klasyczne procedury przetargowe. Pojawia się pytanie o transparentność i konkurencyjność zamówień.

Zasadą w polityce przemysłowej – zwłaszcza w sektorze zbrojeniowym – jest wspieranie krajowych firm, budowanie mocy produkcyjnych, nawet kosztem niewielkiej premii cenowej. To standard na świecie. Ale kluczowe jest pytanie: za ile?

Jeżeli spółka państwowa lub prywatna w Polsce oferuje pocisk za 4 tys. euro, inna polska firma za 4,1 tys., a zagraniczny dostawca za 3,9 tys., to można uzasadnić wybór krajowy – budujemy suwerenność produkcyjną. Natomiast jeśli cena krajowa wynosiłaby 7–8 tys. euro przy dostępnych tańszych alternatywach, wtedy dyskusja o racjonalności wydatkowania środków publicznych staje się zasadna. A rząd może wybrać wtedy krajowych dostawców, nie z patriotyzmu gospodarczego, ale z racji, że to będą ludzie powiązani z nimi politycznie. Ujawnienie przez media sprawy firmy, w której prezesem jest dawny polityk PO, zaczyna być znaczące. Dlatego warto sprawdzić, nie jak wielkie jest zlecenie dla danej firmy, tylko ile kosztuje jednostkowy produkt, który jest od niej zamawiany.

▶ I znowu trudno polemizować z argumentem, że unijne pieniądze trafią do polskich firm zbrojeniowych.

Wiemy, że „polskość" tych firm ogranicza się czasem do adresu siedziby, a nie faktycznej struktury kapitałowej. Ale to nie koniec. Jeśli na przykład Polska Grupa Zbrojeniowa miała przychody rzędu kilkunastu miliardów złotych rocznie, a nagle w tym sektorze pojawi się kilkadziesiąt miliardów rocznie, to kto i jak to zaabsorbuje? Firmy z dnia na dzień nie zwiększają swojej mocy produkcyjnej, na przykład 10-krotnie. To gdzie trafią te pieniądze? To tak jakbyśmy w kawiarni, w której teraz siedzimy, zamówili nagle 5 tys. kaw. To żadna szansa dla tej kawiarni, bo tutaj nikt sobie z takim zamówieniem nie poradzi. A tu dochodzi jeszcze kwestia specyfiki przemysłu zbrojeniowego.

▶ To powtórzę Pańskie pytanie: gdzie trafią pieniądze za te „5 tys. kaw"?

Mechanizm SAFE ma podejrzanie szeroki zakres, który obejmuje nie tylko Ministerstwo Obrony Narodowej, lecz także na przykład Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Katalog potencjalnych wydatków bardzo łatwo rozszerzyć na infrastrukturę, cyberbezpieczeństwo i inne. Nie twierdzę, że to złe, ale twierdzę, że to dość nieprecyzyjne i uznaniowe.

eprasa.pl 837dc6b7c9

▶ Wiemy już, że firmy niemieckie będą mogły korzystać z pożyczki SAFE zaciągniętej przez Polskę.

Ale nie tylko w ten sposób przemysł zagraniczny zyska. Spójrzmy na giełdę. Kursy spółek takich jak Rheinmetall wystrzeliły. Podobnie jak wcześniej w sektorze technologicznym, choćby SAP. Rynek dyskontuje przyszłe zamówienia – inwestorzy najszybciej się zorientowali, kto naprawdę zyska. Jeżeli środki z SAFE będą wymagały zakontraktowania w określonym terminie, może się okazać, że zamówienia trafią do podmiotów już przygotowanych inwestycyjnie. A pytanie brzmi: czy zdolności produkcyjne są gotowe, czy dopiero będą budowane z tych pieniędzy?

Jeżeli dziś Europa produkuje na przykład około 30 czołgów rocznie, to jak szybko da się to skalować? Czy ktoś już zainwestował i teraz potrzebuje długoterminowych zamówień, by te inwestycje się zwróciły?

Zatem SAFE to nie tylko unijna centralizacja fiskalna, finansowo dla Polski niekorzystna, nietransparentna, w dodatku trudna do skontrolowania ze względu na zasłanianie się bezpieczeństwem państwa.

Przy czym powtórzę – zbroić się trzeba, tylko stać nas na zrobienie tego samodzielnie, a nie przez Unię Europejską, której środki rząd przepuści przez nieodpowiednie ręce. I dochodzi jeszcze jeden aspekt. SAFE jest elementem większego procesu integracji Unii, o czym mówi się bardzo konkretnie w kontekście grupy E6.

▶ Czyli grupy państw Europy, które będą ciągnęły resztę krajów członkowskich ku przyśpieszeniu. Polska ma być w tym gronie. Ale przyśpieszeniu czego?

Integracji europejskiej, integracji rynków kapitałowych oraz unii bankowej, czyli współdzielenia gwarancji depozytowych i przekazywania nadzoru bankowego do Frankfurtu.

▶ Przepraszam, ale myślałem, że mechanizm finansowania SAFE jest sporym problemem, a teraz odsłania Pan fakt, że to tylko wierzchołek góry lodowej?

W ramach tzw. E6 mówi się równolegle o zaciskaniu unii fiskalnej, unii rynków kapitałowych i unii bankowej. To system naczyń połączonych.

Unia rynków kapitałowych ma dwa oblicza. Pozytywne – to ujednolicenie prawa, w tym prawa upadłościowego. To obniża premię za ryzyko. Dlatego duże polskie spółki – jak na przykład PGNiG – emitowały obligacje pod prawem londyńskim czy luksemburskim. Inwestor w Nowym Jorku czy Londynie zna te systemy i potrafi oszacować stopę odzysku w razie bankructwa. W Polsce procedury potrafią trwać 10–20 lat, a poziom odzysku bywa nieprzewidywalny. To odstrasza kapitał. Ale jest też druga strona. Jeżeli ujednolicenie prawa wymusi ujednolicenie statutów spółek giełdowych, może to oznaczać utratę szczególnych uprawnień kontrolnych Skarbu Państwa w firmach takich jak PZU, PKO Bank Polski, Orlen czy KGM Polska Miedź. Państwo polskie może mieć jedynie 30 proc. kapitału, ale według zapisów statutowych ma i tak decydujący głos w kluczowych decyzjach. Unia kapitałowa sprawia, że struktura decyzji w takich spółkach się zmienia, Polska nad własnymi spółkami może stracić kontrolę.

▶ A unia bankowa?

To już realna władza. Dla Polski oznacza przekazanie nadzoru nad bankami do Europejskiego Banku Centralnego we Frankfurcie oraz przekazanie mechanizmu restrukturyzacji i likwidacji banków, prowadzony przez Single Resolution Board. Dziś w Polsce kompetencje SRB posiada Bankowy Fundusz Gwarancyjny i jest to ogromna władza – decydowanie o przymusowej restrukturyzacji, likwidacji czy przejęciu banku. I oto po zmianie, nagle, w innej stolicy decydują o zamknięciu placówek bankowych w małych miejscowościach, bo choć one są bardzo ważne dla lokalnej tkanki społecznej, to na wykresach w odległych gabinetach są mało atrakcyjne.

Ale w unii bankowej jest jeszcze trzeci filar – wspólny system gwarantowania depozytów tzw. EDIS. Jeżeli upada bank w jednym kraju, system sięga po środki z puli europejskiej. Wspólny system oznacza współodpowiedzialność za ryzyka największych, na przykład banków...

▶ ...niemieckich. Nietrudno zgadnąć.

Stwarza się więc Polsce coraz więcej okoliczności, w których presja na włączenie się w europejski system jest coraz większa. Nie pozostawia się tutaj swobody wyboru i rozważenia nowej drogi, tylko stawia się przed kolejnymi faktami dokonanymi. I tak oto przyjęcie euro w praktyce będzie oznaczać przystąpienie nie tylko do Europejskiego Banku Centralnego, lecz także Europejskiego Mechanizmu Stabilności, z siedzibą w Luksemburgu. Dołączenie do tego systemu oznacza konieczność wniesienia wkładu kapitałowego, na wypadek kryzysów zadłużeniowych poszczególnych państw, jak to miało miejsce w przypadku Grecji czy Hiszpanii. Program SAFE to dopiero rozgrzewka. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9



Mateusz Matyszkowicz



AI I SZUKANIE ANTYCHRYSTA

Sztuczna inteligencja nie jest już narzędziem. Jest polem walki o władzę nad człowiekiem.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Temat sztucznej inteligencji przestał być czysto akademicki. Dziś niemal każdy z niej korzysta – gdy dzwoni na infolinię, gdy sklep internetowy porządkuje jego zamówienie, gdy szuka czegokolwiek w wyszukiwarce albo pyta chatbota o przepis kulinarny czy poradę prawną. Ludzkość oswaja się z tymi narzędziami i każdy ma na ich temat własną opinię. Czasem lekko prześmiewczą, czasem z odrobiną pogardy – jakie to głupie narzędzie – ale i tak bierze do ręki smartfon i korzysta.

Zabawki i narzędzia AI

W domu człowiek ogląda seriale. Przeżywa losy androidów z wszczepioną AI, gospodyń domowych, które przejmują kontrolę nad rodziną, albo dziewczyny, która na końcu zabija wszystkich. Kino przyzwyczajało nas do tego od dawna. To pewna trywializacja problemu, ale istotna: sprawia, że dla przeciętnego człowieka świata zachodniego AI nie jest czymś obcym, czysto technologicznym, na co przeznacza się potężne środki. To także zapuszczanie sondy – zbieranie danych, trenowanie modeli, badanie reakcji.

Wszelako przeciętnemu obywatelowi AI jawi się jako chatbot w jego komórce albo filmowa, mechaniczna dziewczyna. Obywatel się oswaja, ale jeszcze nie wie, że jego dotychczasowe życie ulegnie całkowitej zmianie – i że filozofia dopiero próbuje to uchwycić. Mam na myśli nie tylko ontologię i epistemologię AI – to tematy niezwykle zajmujące – lecz coś jeszcze. Pytanie o to, jak AI zmieni ludzkość i jakie są lub będą tego polityczne skutki.

Najgłośniejszym w ostatnim czasie głosem w tej sprawie było wystąpienie Yuvala Noaha Hararigo podczas forum w Davos w 2026 roku, kiedy powtórzył zasadnicze tezy swojej apokaliptycznej książki „Nexus".

Ludzkość od zarania wytwarza narzędzia – przypomina Harari. Prymitywne oszczepy łowieckie, groty, narzędzia rolnicze. Wytwarzanie narzędzi jest jedną z istotnych cech odróżniających człowieka od zwierząt, podobnie jak używanie rozumu, które wiąże się nie tylko z kreacją narzędzi, lecz także ze zdolnością przekraczania codziennych potrzeb – choćby w filozofii czy kulturze. Człowiek, jako jedyne zwierzę, zdołał wznieść się ponad naturalne ograniczenia i wytworzyć zewnętrzne ekstensje, przedłużenia własnego ciała i umysłu.

W ten sposób człowiek przekracza także swoje jednostkowe istnienie – zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Weźmy choćby opowieści przy ognisku, dzięki którym informacja rozchodzi się od ogniska do ogniska, dalej, niż pozwalałaby na to moc ludzkiego głosu. Co więcej, przekracza ona czas, bo te opowieści – nieustannie modyfikowane – przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

Człowiek przekracza w ten sposób samego siebie, ale narzędzia, które wytwarza, choć wobec niego zewnętrzne, wciąż pozostają pod jego kontrolą. To człowiek decyduje, jak i kiedy ich użyje. To człowiek jest zdolny ustanawiać moralne granice użycia narzędzi.

Weźmy nóż – ulubiony przykład Hararigo. Nożem można kroić w kuchni, można też zabić innego człowieka. Jest narzędziem potencjalnie niebezpiecznym, ale pozostaje w ludzkiej władzy. Sztuczna inteligencja – twierdzi Harari – nie jest już nożem. Tylko na razie wydaje nam się, że ją kontrolujemy. Nawet nie zauważamy, jak przejmuje nad nami kontrolę, odbierając nam podstawową cechę dystynktywną, jaką jest unikalna racjonalność.

Człowiek ulega racjonalności i to przekonanie organizuje porządek społeczny. Hierarchizacja wspólnot opiera się na założeniu, że wyższa racjonalność, sprawniej działający umysł daje prawo do roszczenia sobie władzy. Co więcej, wiedza – za Foucaultem – jest systemem władzy. Sprawia, że działamy tak, a nie inaczej; że dokonujemy określonych wyborów; że uznajemy pewne narracje za prawdziwe, a inne odrzucamy.

Dotąd ta władza pozostawała w rękach człowieka, który – jako pan stworzenia – wytwarza idee organizujące społeczeństwa, przetwarza je, powiela i samodzielnie decyduje, którym zawierzyć.

Pokłon przed AI

Konfrontacja z AI jest potencjalnie starciem z wyższą racjonalnością. Nie w porządku mądrości – tej kategorii nikt chyba jeszcze nie zastąpi – lecz w porządku sprawności. Sprawności opartej na potencjalnie nieograniczonej mocy obliczeniowej, zdolnej do zbierania i przetwarzania niewyobrażalnych ilości informacji oraz tworzenia na ich podstawie modeli, które przewyższają ludzką zdolność syntezy.

Aby wrócić do przykładu z życia codziennego. W społeczeństwie, które wkrótce może zostać nazwane tradycyjnym albo społeczeństwem przeszłości, gdy ktoś stara się o kredyt, przedstawia dokumenty niezbędne do oceny swojej zdolności kredytowej. Owszem, bankowy analityk porządkuje te informacje w systemie, zestawia je z modelami ryzyka, wykonuje obliczenia – ale na końcu to człowiek podejmuje decyzję. Od tej decyzji inny człowiek może się odwołać, argumentować dalej, powoływać się na czynniki dodatkowe, które nie mieszczą się w tabeli.

W świecie, w którym to narzędzia AI będą decydować, kto otrzyma kredyt – bo przecież będzie to tańsze, szybsze i rzekomo bardziej obiektywne – zniknie ludzka instancja. Dziś decyzję podejmuje pełnomocnik banku – człowiek – w oparciu o reguły zatwierdzone przez za-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 837dc6b7c9

rząd banku, również złożony z ludzi, opierających się na analizach ryzyka przygotowanych i podpisanych przez człowieka. A co, jeśli – i ten proces już się zaczyna – modele ryzyka będą przygotowywane nie przez ludzi, lecz przez systemy uczące się, których działania nie jesteśmy w stanie w pełni prześledzić?

Tak, krok po kroku, człowiek wyzbywa się swojej autonomii i de facto uznaje nowego pana. Pana, który rozumuje sprawniej, szybciej, na podstawie większego zasobu informacji. I który nie musi się tłumaczyć. Z góry zakładamy, że ma rację, i nie mamy wyjścia, bo system przetworzył znacznie więcej informacji, niż możemy sobie wyobrazić. Na tym kończy się nasza możliwość polemiki, a jeśli tak, to pozostaje nam uznanie tego nowego zwierzchnictwa. Trochę jak wizja uznania zwierzchnictwa naukowców, jaką mieli scjentyści, albo kilka wieków wcześniej uznania kapłanów. Za każdym razem wyżej był ten, kto miał dostęp do większego zasobu informacji i zdolności nimi operowania.

I tego prostego mechanizmu bankowego nie można lekceważyć, bo trzeba sobie uświadomić, że ten punktowy przykład rozciąga się na niemal każdą dziedzinę ludzkiej aktywności: na usługi, medycynę, inżynierię, administrację. W miejsce człowieka coraz częściej pojawiają się agenci AI. Tak bowiem ewoluuje powszechne użycie narzędzi opartych na sztucznej inteligencji.

Jeszcze dwa lata temu mówiło się głównie o asystentach AI – o systemach, które wspomagają człowieka w działaniu, są jak podręczne kalkulatory nowej generacji, przyspieszają analizę, porządkują dane, podpowiadają rozwiązania. Rok 2026 ma być natomiast rokiem agentów AI – narzędzi, które nie tylko wspierają, lecz także działają w imieniu człowieka. Nie czekają na każde polecenie, lecz same wykonują ciągi operacji, podejmują decyzje w określonych ramach i wchodzą w relacje z innymi systemami.

To subtelna, lecz fundamentalna zmiana. Asystent wspiera, agent zastępuje. Nasz kalkulator zyskuje zatem pewną samodzielność – już nie tylko przetwarza informacje i podsuwa nam wnioski, ale może działać. Dokonywać zakupów, wypełniać formularze – to jeszcze porządek codzienny, banalny. W wyższym wymiarze bierze jednak udział w procesach decyzyjnych dotąd zarezerwowanych dla ludzi, choćby wtedy, gdy wspiera dowodzenie atakiem dronów, mając wpływ na trajektorię ich lotu.

▶ Kolonizacja przez AI

Jest wprawdzie zależny od celu, jaki mu wyznaczamy, bo to wciąż człowiek tworzy dla niego ramy, ale granica niebezpiecznie przesuwa się w stronę autonomii. Już samo przyznanie mu roli „agenta" jest znaczące. Słowo to nie jest neutralne. Oznacza kogoś, kto działa w czyimś imieniu, ale jednak działa – podejmuje inicjatywę, wykonuje sekwencje czynności, wchodzi w relacje z innymi podmiotami.

Harari mówi tu o kolonizacji – porównywalnej z presją migracyjną, która sprawia, że nagle na naszym lądzie pojawiają się tysiące, miliony osób z zewnątrz, podejmują pracę, awansują w strukturach społecznych, zmieniają krajobraz kulturowy. Na naszych oczach – według Hariariego – dokonuje się kolonizacja Ziemi w niespotykanej dotąd skali. Pojawiają się nowe, nieludzkie tym razem istoty, które przejmują nasze obowiązki i nie do poznania zmieniają znany nam świat. I co najbardziej przerażające, pod wieloma względami nas przewyższają. W przeciwieństwie do wielkich wędrówek ludów w przeszłości odbywa się to bardzo stopniowo, bez większego sprzeciwu tubylców, wręcz za ich zachętą.

A jednak świat się zmieni – i to niekoniecznie na lepsze, mówi Harari. Po pierwsze, zwraca uwagę na nowe ryzyka nierówności ekonomicznych. Rozwój przemysłu i dywersyfikacja miejsc produkcji – przy wszystkich negatywnych zjawiskach, jakie ze sobą niosły – dawały jednak możliwość wyrównywania szans ekonomicznych. Przenoszenie produkcji do krajów mniej zasobnych, dysponujących tańszą siłą roboczą, było dla nich realną szansą podniesienia dobrobytu, a nawet jego upowszechnienia na niespotykaną wcześniej w historii świata skalę.

Nowa kolonizacja, ta związana z AI, nie będzie już podążaniem za człowiekiem, który jest niezbędny do pracy. Fabryki przyszłości będą mogły powstawać wszędzie – ale bez ludzi. Zyski z ich funkcjonowania popłyną nie do regionów dostarczających pracę, lecz do coraz węższej grupy państw bogatych i technologicznie rozwiniętych, a w ich obrębie – do jeszcze węższej klasy właścicieli kapitału i infrastruktury.

Ta zmiana będzie powodowała powstawanie coraz większej grupy ludzi zbędnych. Odpowiedzią nie może być już bez końca powtarzane hasło przekwalifikowania się. Już dziś miliony ludzi tracą pracę, bo stają się niepotrzebni gospodarce – zastępują ich nieludzcy agenci. Ludzie próbują więc szukać obszarów jeszcze nieskolonizowanych przez AI, ale tych jest coraz mniej i dostępne są dla coraz bardziej nielicznych.

Po drugie, ta rosnąca masa ludzi zbędnych – przydatnych systemowi już tylko jako kopalnia danych – może stać się zapleczem przyszłych reżimów totalitarnych, które władzę nad człowiekiem będą sprawować poprzez gromadzoną i przetwarzaną przez AI wiedzę. Proces ten już się zaczyna, a najczęściej przywoływanym przykładem są Chiny. Narzędzia te umożliwiają nie tylko podporządkowywanie sobie własnych obywateli, lecz także kolonizowanie i zarządzanie innymi

eprasa.pl 837dc6b7c9

państwami. Jeśli w jednych rękach znajdzie się pełna wiedza o człowieku – o jego zachowaniach, preferencjach, słabościach – zarządzanie nim, a wraz z nim całymi społeczeństwami, stanie się kwestią techniczną.

Człowiek zhakowany

Człowiek zostanie „zhakowany" – mówi Harari. Dziś naszą obroną, tarczą przed totalitarną władzą, jest prywatność, którą uznajemy za nienaruszalną. Nasze preferencje, słabości, wybory – to wszystko, co chcemy zachować dla siebie. Właśnie tam znajduje się obszar naszej autonomii, nasze „ja", o którym sami decydujemy.

W nowej erze te obszary mają zniknąć. Jeśli każdy impuls, każda emocja, każdy wzorzec zachowania stanie się danymi możliwymi do zebrania i przetworzenia, prywatność przestanie być schronieniem. Człowiek w pełni transparentny stanie się człowiekiem bezbronnym – przewidywalnym i podatnym na manipulacje. A jeśli można go przewidzieć, można nim także sterować. Tak może pojawić się Stalin XXI wieku.

Co więc proponuje Harari? Cofnięcie się do stanu sprzed rewolucji technologicznej jest niemożliwe. Powrotu nie będzie. Konieczne jest zatem utworzenie ponadnarodowych norm oraz narzędzi kontroli rozwoju AI. W tym punkcie jego stanowisko współgra z propozycjami Nicka Bostroma – jednego z najważniejszych filozofów zajmujących się problemem sztucznej inteligencji i wyznaczania jej granic.

Oznaczałoby to konieczność osiągnięcia ponadnarodowego, realnie przestrzeganego konsensusu dotyczącego AI. Nie deklaratywnego, lecz instytucjonalnego. Takiego, który obejmowałby zarówno standardy bezpieczeństwa, jak i mechanizmy nadzoru nad rozwojem najbardziej zaawansowanych modeli. Innymi słowy – globalnej architektury kontroli technologii, która z definicji przekracza granice państw.

Luddyści Thiela

Gdybyśmy mieli szukać idealnego kontrastu dla tego intelektualnego wywodu, powinien nasunąć się Peter Thiel – twórca PayPala, przedsiębiorca z Doliny Krzemowej, filozofujący inwestor i jedno z finansowych oraz intelektualnych zapleczy amerykańskiej prawicy. W przeszłości skrajny libertarianin, dziś deklarujący się jako chrześcijanin, choć wciąż zwolennik wolnego rynku. A przede wszystkim myśliciel niezwykle śmiały – i równie kontrowersyjny.

Thiel przywołuje znany z XIX-wiecznej Anglii obraz luddystów – ruchu tkaczy, którzy sprzeciwili się postępującej industrializacji niszczącej tradycyjne zakłady rzemieślnicze i dotychczasowy system pracy. Zwracali uwagę, że postęp technologiczny w formie, jaką obserwowali, rozbija relacje społeczne i staje się narzędziem wyzysku. Luddyści masowo protestowali, a symbolem ich oporu stało się niszczenie krosien.

Dziś takich luddystów Thiel widzi wśród ekologów – przywołuje choćby często wspominaną przez siebie Gretę Thunberg – ale także wśród intelektualistów pokroju Bostroma, ludzi, którzy jego zdaniem pod płaszczykiem troski o przyszłość próbują zahamować rozwój technologii w imię lęku przed jej konsekwencjami. W jednej ze swoich licznych metafor mówi o „cywilizacyjnych lewicowych zombie", broniących obumierającego świata. Według Thiela ten sposób myślenia od lat 70. zahamował postęp technologiczny. Od tamtej pory – twierdzi – nie dokonał się żaden prawdziwy przełom, co najwyżej drobne kroki eksplorujące dawne osiągnięcia. Jedynym wyjątkiem jest technologia AI, która rzeczywiście stanowi jakościowy skok ludzkości i której nie powinniśmy ani ograniczać, ani hamować.

Jego sprzeciw jest jednak o tyle interesujący, że nie stanowi prostego przeciwieństwa stanowiska, które omawialiśmy wcześniej. Thiel również dostrzega istotne zagrożenia niesione przez postęp technologiczny, w tym przez rozwój AI. Owszem, pokpiwa z krytyków sztucznej inteligencji, nazywając ich alarmistami, używa ironicznego określenia „AI-wokizm", ale jako zwolennik wolności dostrzega jednocześnie problem rosnących zdolności nowych narzędzi do inwigilacji ludzi. Mówi wręcz o nowym „Oku Saurona", które może każdego obserwować.

Jego opór nie wynika więc z negowania zagrożeń, lecz z różnicy co do sposobów reagowania na nie. Najgorszym z możliwych rozwiązań – według Thiela – jest tworzenie ponadnarodowych ograniczeń dla rozwoju technologii: instytucji nadzorczych, ciał regulacyjnych, struktur, które zaczęłyby przypominać rząd światowy posiadający monopol na to niebezpieczne narzędzie, jakim może stać się AI. Właśnie tam Thiel dostrzega zalążek przyszłego dyktatora. To tam – w koncentracji władzy uzasadnionej lękiem – widzi figurę, którą utożsamia z Antychrystem.

Kim jest Antychryst

W tym miejscu Thiel nawiązuje wprost i bardzo wyraźnie do jednego ze swoich mistrzów, René Girarda, autora teorii mimetycznej. Girard opisał mechanizm naśladownictwa jako podstawowy motor ludzkich konfliktów. Ludzie pragną nie rzeczy samych w sobie, lecz tego, czego pragną inni. Z tego rodzi się rywalizacja, która w momentach kryzysowych prowadzi do eskalacji przemocy. Społeczeństwa, by przerwać spiralę konfliktu, uruchamiają mechanizm kozła

eprasa.pl 837dc6b7c9

ofiarnego: wskazują winnego, którego eliminacja przywraca pozorny pokój.

Thiel przenosi tę logikę na grunt współczesny. Gdy świat ogarnia lęk – przed wojną, klimatem, pandemią, a dziś przed AI – pojawia się pokusa znalezienia rozwiązania totalnego. Pokusa oddania władzy jednej instytucji, która „zapanuje" nad chaosem. W języku girardowskim byłby to moment konsolidacji przemocy w jednym centrum, uzasadniony obietnicą pokoju. Antychryst w tej interpretacji nie jest demoniczną postacią z apokaliptycznych wizji, lecz projektem politycznym: obietnicą globalnej stabilności okupionej rezygnacją z wolności.

Dlatego dla Thiela nie sam rozwój technologii jest największym zagrożeniem, lecz reakcja na niego. Nie AI jako taka, lecz strach przed nią może doprowadzić do ustanowienia systemu, który w imię bezpieczeństwa przejmie kontrolę nad informacją, komunikacją i – ostatecznie – nad człowiekiem.

Rozwiązaniem tego problemu – w ujęciu Thiela – nie jest więc centralizacja kontroli nad AI, lecz jej przeciwieństwo: daleko posunięta decentralizacja. To właśnie różnorodność podmiotów, konkurencja między nimi oraz brak jednego ośrodka decyzyjnego mają stabilizować system i utrzymywać uczestników gry w stanie wzajemnej równowagi. Chodzi o to, by żaden z nich nie uzyskał władzy zwierzchniej nad technologią, która z definicji daje przewagę nad innymi.

Interpretując tę myśl szerzej, można powiedzieć, że Thiel widzi możliwość osłabienia ryzyka poprzez jego rozproszenie. Zamiast budować jeden globalny system kontroli, który – jeśli zostanie przejęty – stanie się narzędziem dominacji, należy dopuścić wielość centrów rozwoju i zastosowania AI. Ryzyko nie znika, ale przestaje być skupione w jednym punkcie.

W obrębie poszczególnych państw Thiel postuluje podobny kierunek: znoszenie barier regulacyjnych, ograniczanie nadmiernej kontroli administracyjnej oraz tworzenie impulsów dla start-upów i nowych firm technologicznych. W jego wizji to konkurencja, przedsiębiorczość i swobodny przepływ kapitału mają działać jak naturalne zabezpieczenie przed monopolizacją władzy technologicznej. Nie globalny nadzór, lecz pluralizm sił i permanentna rywalizacja mają – paradoksalnie – chronić wolność.

Nowa suwerenność

W tej wizji jest oczywiście wiele naiwnego amerykańskiego libertarianizmu – przekonania, że sama konkurencja wystarczy, by osłabić despotyczne zapędy. Trochę jak w angielskiej filozofii XVII i XVIII wieku dominowało przeświadczenie, że kapitalistyczne republiki kupieckie uczynią świat bardziej pokojowym, bo handel będzie silniejszy niż ambicje imperialne. Historia nie zawsze potwierdzała tę wiarę.

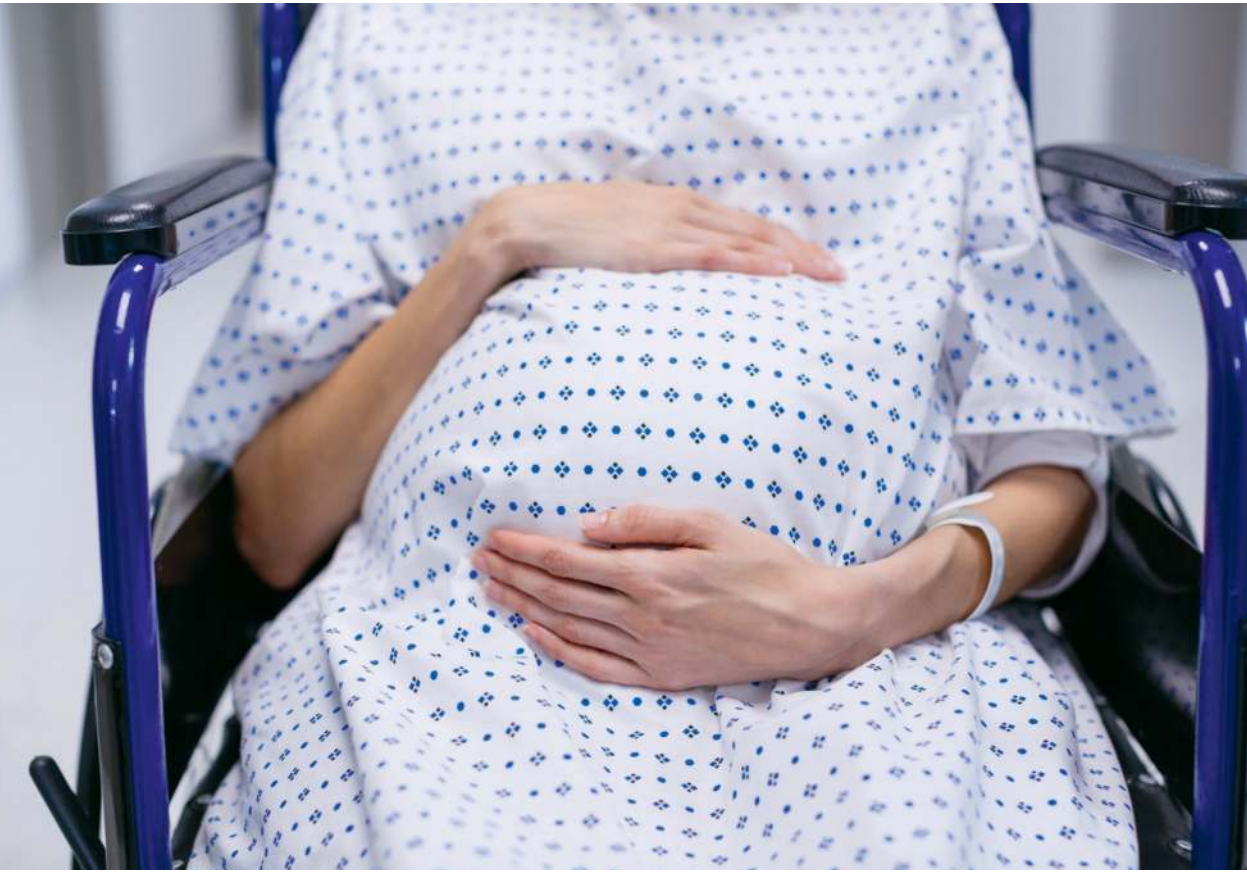
A jednak można w tej propozycji dostrzec także pewien realistyczny pomysł na świat, który – chcemy tego czy nie – stał się już multipolarny. Skoro nie istnieje jedno centrum władzy, a powrót do świata jednobiegunowego wydaje się mało prawdopodobny, trzeba myśleć o tym, w jaki sposób rosnące rozproszenie siły może służyć ludzkiej wolności, a nie stanowić dla niej zagrożenia. Być może to nie centralizacja, lecz równowaga napięć będzie stabilizatorem nowej epoki.

Pytanie staje się szczególnie istotne z perspektywy państw średnich, takich jak Polska. Dziś jesteśmy daleko od suwerenności w zakresie AI. Rozwój tej technologii będzie w coraz większym stopniu uzależniał naszą gospodarkę, wojsko, administrację, a ostatecznie także politykę od dominujących na świecie sił. To z jednej strony realne zagrożenie – utrata kontroli nad kluczową infrastrukturą poznawczą i decyzyjną. Z drugiej jednak strony jest to również szansa na przekroczenie wielu dotychczasowych barier: technologicznych, kapitałowych, a nawet demograficznych.

Warunek jest jeden – potrzebni są politycy i decydenci, którzy rozumieją naturę tej zmiany. Nie jako kolejnej mody technologicznej, lecz jako przesunięcia cywilizacyjnego. Bez takiej świadomości pozostaniemy jedynie odbiorcami cudzych systemów i cudzych decyzji, a to w świecie opartym na danych i algorytmach oznacza utratę podmiotowości. ■

KONFRONTACJA Z AI JEST POTENCJALNIE STARCIEM Z WYŻSZĄ RACJONALNOŚCIĄ. NIE W PORZĄDKU MĄDROŚCI – TEJ KATEGORII NIKT CHYBA JESZCZE NIE ZASTĄPI – LECZ W PORZĄDKU SPRAWNOŚCI. SPRAWNOŚCI OPARTEJ NA POTENCJALNIE NIEOGRANICZONEJ MOCY OBLICZENIOWEJ, ZDOLNEJ DO ZBIERANIA I PRZETWARZANIA NIEWYOBRAŻALNYCH ILOŚCI INFORMACJI ORAZ TWORZENIA NA ICH PODSTAWIE MODELI, KTÓRE PRZEWYŻSZAJĄ LUDZKĄ ZDOLNOŚĆ SYNTEZY.

eprasa.pl 837dc6b7c9



Małgorzata Matuszak



NARODZINY W CIENIU SYSTEMU

To właśnie na tym poziomie zaczyna się cicha zmiana cywilizacyjna. Gdy przestrzeń początku znika, początek sam traci swój wyjątkowy status. Nie jest już momentem, który wyznacza granicę, lecz zdarzeniem, które system musi jedynie pomieścić.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 837dc6b7c9

Jest coś głęboko niepokojącego w tym, że w XXI wieku musimy w ogóle rozważać możliwość rodzenia dzieci w przestrzeni szpitalnych oddziałów ratunkowych. Nie dlatego, że medycyna nie potrafi tam ratować zdrowia i życia, bo przeciwnie, jej możliwości są większe niż kiedykolwiek wcześniej. A jednak sam fakt, że narodziny człowieka muszą zostać wpisane w strukturę zdarzeń nagłych i nieprzewidzianych, skłania do głębszego namysłu. Nie chodzi tu tylko o organizację opieki zdrowotnej, lecz o coś bardziej podstawowego: o to, jakie miejsce współczesna polska rzeczywistość jest gotowa przeznaczyć dla początku człowieka w świecie i czy potrafi jeszcze traktować narodziny jako wydarzenie wymagające czegoś więcej niż tylko proceduralnej gotowości.

Przestrzeń, która nadaje sens

Debata wokół możliwości rodzenia w przestrzeniach ratunkowych wybuchła nie dlatego, że ktoś nagle postanowił zrewolucjonizować położnictwo, lecz wyrosła z czegoś znacznie bardziej prozaicznego i niepokojącego: z powolnego zanikania klasycznej infrastruktury porodowej. W wielu miejscach w Polsce oddziały położnicze zostały zamknięte z powodów finansowych, kadrowych i demograficznych. W próżni organizacyjnej pojawiły się nowe rozwiązania prawne. Formalnie nie chodzi o „porody na SOR-ach", lecz o tworzenie interwencyjnych pokoi porodowych w szpitalach, które nie mają oddziałów położniczych. W praktyce jednak są to pomieszczenia funkcjonujące w bezpośrednim sąsiedztwie szpitalnych oddziałów ratunkowych, w przestrzeni, która rządzi się zupełnie inną logiką niż położnictwo.

Spór o „porody na SOR-ach" nie dotyczy jednak wyłącznie logistyki opieki zdrowotnej. Dotyczy tego, czy potrafimy jeszcze odróżnić to, co fundamentalne, od tego, co tylko funkcjonalne.

Człowiek od zawsze wiedział, że to, gdzie coś się wydarza, nie jest obojętne. Miejsca są nośnikami znaczeń. To, gdzie coś się wydarza, współtworzy bowiem sposób, w jaki tego doświadczamy. Inaczej przeżywa się modlitwę w przestrzeni do tego przeznaczonej, inaczej w miejscu przypadkowym. Inaczej żegna się zmarłych tam, gdzie świat uznaje ich odejście, inaczej tam, gdzie ich obecność jest tylko epizodem. Miejsca nadają bowiem sens wydarzeniom. To samo doświadczenie zmienia swój ciężar w zależności od tego, gdzie się dokonuje. Przestrzeń może je wyodrębnić i uczynić momentem granicznym albo wchłonąć w ciąg zwykłych wydarzeń. Ta intuicja, opisywana przez historyków religii, mówi, że przestrzeń porządkuje doświadczenie świata. Oddziela to, co zwyczajne, od tego, co graniczne.

Narodziny są zaś jednym z najbardziej granicznych wydarzeń ludzkiego życia. To moment, w którym ktoś, kto, istniał dotychczas „w ukryciu", w łonie matki, wchodzi nagle w świat relacji, odpowiedzialności i historii. Dlatego w niemal wszystkich kulturach istniały specjalne miejsca dla rodzących kobiet, nie tylko z powodów higienicznych, lecz także symbolicznych. Były to przestrzenie początku.

Szpitalny oddział ratunkowy jest przestrzenią zupełnie innego rodzaju. To miejsce wypadku, nagłości, załamania porządku. Trafiają tam ludzie, których życie zostało brutalnie przerwane przez chorobę, uraz, zawał. W tym sensie SOR jest architekturą kryzysu. Włożenie w nią porodu oznacza wpisanie początku w logikę porodowi nieprzystającą. Nawet jeśli wydzieli się osobny pokój, znaczenie całego otoczenia pozostaje niezmienne: tu nie celebruje się narodzin, ale zarządza się nagłymi zdarzeniami. biologicznymi.

To właśnie na tym poziomie zaczyna się cicha zmiana cywilizacyjna. Gdy przestrzeń początku znika, początek sam traci swój wyjątkowy status. Nie jest już momentem, który wyznacza granicę, lecz zdarzeniem, które system musi jedynie pomieścić.

Granice systemowego bezpieczeństwa

Nowoczesny system ochrony zdrowia działa sprawnie, bo opiera się na procedurach, które pozwalają działać szybko, przewidywalnie i w sposób możliwy do powtórzenia. Pozwalają także zarządzać ograniczonymi zasobami – personelem, sprzętem, czasem. W tej logice każda sytuacja musi zostać rozpoznana, zaklasyfikowana i poprowadzona zgodnie z określonym schematem. Poród nie jest tu wyjątkiem. W systemie również on staje się jednym z wielu procesów fizjologicznych, które trzeba bezpiecznie przeprowadzić od początku do końca.

Właśnie w tym kontekście Ministerstwo Zdrowia przedstawia ideę interwencyjnych pokoi narodzin jako rozwiązanie zwiększające bezpieczeństwo kobiet, które z różnych powodów nie zdążą dotrzeć do oddziału położniczego. W sensie proceduralnym mają rację, lepiej bowiem, by kobieta rodziła w szpitalu niż w drodze do niego. Lepiej, by ktoś kompetentny był obecny, niż by nie było nikogo. System tworzy więc rozwiązanie minimalne: przestrzeń, w której poród może się odbyć, gdy inne możliwości nie istnieją.

A jednak właśnie tutaj pojawia się zasadnicza wątpliwość. Poród nie jest wszak wydarzeniem w pełni przewidywalnym. Może przebiegać prawidłowo, by w jednej chwili stać się stanem zagrożenia życia. W takich sytuacjach nie wystarczy obecność jednej osoby ani podstawowego wyposażenia, interwencyjny pokój narodzin nie jest zaś z definicji miejscem,

eprasa.pl 837dc6b7c9

które dysponuje pełnią możliwości. Bezpieczeństwo, o którym się mówi, może mieć więc charakter bardziej deklaratywny niż rzeczywisty. Nie dlatego, że położne nie są kompetentne, lecz dlatego, że ich kompetencje nie zastąpią całego systemu, który w standardowych warunkach stoi za porodem.

Nie można również pominąć faktu, że rozwiązania te pojawiają się w określonym kontekście ekonomicznym i demograficznym, wydają się więc kompromisem między tym, co idealne, i tym, co możliwe. Kompromis ten odsłania jednak głębsze napięcie. Spadająca liczba narodzin nie jest tylko problemem ekonomicznym, lecz także sygnałem egzystencjalnym. Decyzja o posiadaniu dziecka należy do najbardziej fundamentalnych decyzji ludzkiego życia, a jej podjęcie zawsze wiąże się z pytaniem o bezpieczeństwo. Kobieta musi mieć pewność, że w chwili porodu nie zostanie pozostawiona w przestrzeni improwizacji. Że w razie bólu otrzyma pomoc. Że w razie komplikacji będzie ktoś, kto potrafi je rozwiązać. Że system nie tylko umożliwi poród, lecz także przejmie za niego odpowiedzialność. Jeśli tej pewności brakuje, pojawia się lęk, który nie jest abstrakcyjną emocją, lecz racjonalną odpowiedzią na niepewność. Świadomość, że poród może odbyć się w przestrzeni, która nie została w pełni zaprojektowana do jego prowadzenia, zmienić może sposób, w jaki myśli się o macierzyństwie.

Godność a etyka minimum

Zwolennicy rozwiązań interwencyjnych podkreślają, że najważniejsze jest bezpieczeństwo biologiczne. Jeśli matka i dziecko przeżyją, cel zostaje osiągnięty. W tej perspektywie poród jest procesem fizjologicznym, który należy doprowadzić do pomyślnego zakończenia, niezależnie od miejsca, w którym się odbywa. Liczy się skuteczność. Liczy się wynik. Wszystko inne wydaje się wtórne wobec podstawowego faktu ocalonego życia. A jednak taka odpowiedź, choć zrozumiała, pozostaje niepełna, redukuje bowiem wydarzenie narodzin do jego wymiaru biologicznego, pomijając jego wymiar ludzki. Człowiek nie jest zaś wyłącznie organizmem, który należy bezpiecznie przeprowadzić przez określony proces. Jest osobą, a osoba nie istnieje wyłącznie w porządku funkcji, lecz także w porządku znaczenia. Godność nie polega na tym, że ciało działa prawidłowo, lecz na tym, że istnienie człowieka zostaje uznane za coś więcej niż tylko element biologicznego ciągu zdarzeń. I nie chodzi tu o komfort rodzącej kobiety i jej dziecka rozumiany jako wygoda, lecz o adekwatność przestrzeni do wagi wydarzenia. Istnieją sytuacje, w których minimum biologiczne nie jest wystarczające, ponieważ nie odpowiada temu, kim jest człowiek. Poród zaś bez wątpienia do takich sytuacji należy, a nawet przede wszystkim on.

Etyka minimum jest etyką przetrwania. Jej celem jest uniknięcie najgorszego: śmierci, powikłań, katastrofy. Ale człowiek nigdy nie żył wyłącznie według tej etyki. Cywilizacja powstaje tam, gdzie pojawia się pragnienie czegoś więcej niż tylko biologicznego ocalenia. Tam, gdzie życie nie jest jedynie podtrzymywane, lecz przyjmowane. Tam, gdzie jego początek zostaje uznany za wydarzenie wymagające osobnej przestrzeni, uwagi i odpowiedzialności.

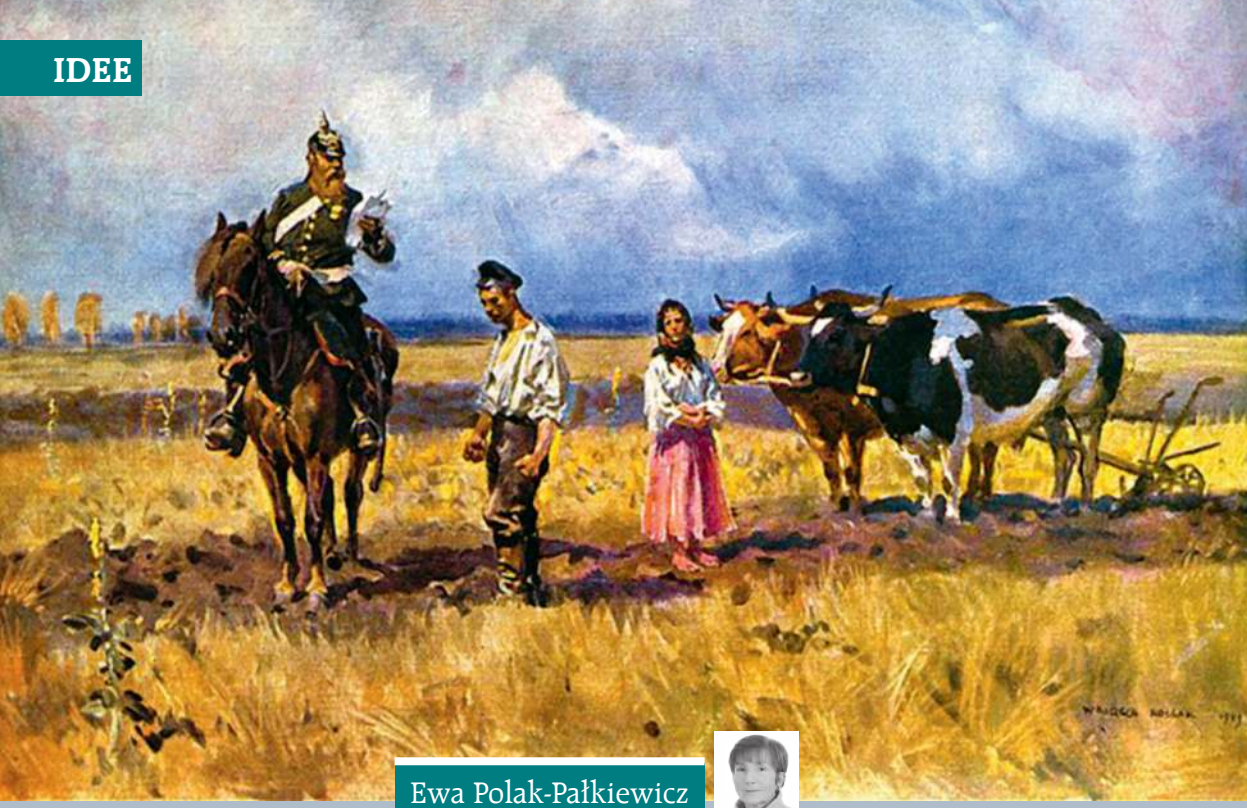
Poród w przestrzeni, która nie została w pełni przeznaczona do jego prowadzenia, pozostaje więc nie tylko kwestią organizacyjną, lecz także moralną. Nawet jeśli wszystko przebiega prawidłowo, pozostaje pytanie o to, czy świat był w tym momencie w pełni obecny, czy był gotów przyjąć nowego człowieka, czy jedynie poradził sobie z jego pojawieniem się w tym świecie. W tym sensie problem nie polega na pojedynczych przypadkach ani na kompetencjach konkretnych osób. Polega na logice, która stopniowo redefiniuje granice tego, co uznajemy za wystarczające. Jeśli wystarczające staje się minimum biologiczne, maksimum ludzkie zaczyna znikać z pola widzenia. Narodziny nie przestają się wydarzać, ale przestają być traktowane jak moment, który przekracza zwykły porządek funkcjonowania organizmu. A przecież są właśnie takim momentem. Nie dlatego, że są rzadkie, lecz dlatego, że są absolutne. Każdy człowiek pojawia się bowiem na świecie tylko raz. I sposób, w jaki świat odpowiada na to pojawienie się, mówi bardzo wiele o nim samym.

Cywilizacja, która nie umie świętować początku

Cywilizację można rozpoznać nie tylko po tym, jak radzi sobie ze śmiercią, lecz także po tym, jak przyjmuje narodziny. To właśnie początek odsłania jej najgłębsze intuicje dotyczące człowieka. Dlatego pytanie o miejsce narodzin nie jest pytaniem technicznym. Jest pytaniem o to, czy cywilizacja zachowała zdolność do traktowania początku jako czegoś więcej niż tylko faktu biologicznego i społecznego. Czy potrafi jeszcze zatrzymać się wokół niego, stworzyć dla niego przestrzeń, uznać jego ciężar i jego sens.

Cywilizacja, która nie potrafi świętować początku, nie traci bowiem jedynie pewnego rytuału. Traci zdolność rozumienia samej siebie. Traci świadomość, że jej przyszłość nie zaczyna się w planach, strategiach ani systemach, lecz za każdym razem, gdy pojawia się na świecie mały człowiek. A sposób, w jaki odpowiada na tę chwilę, pozostaje jednym z najprawdziwszych świadectw tego, kim jest. Bo świat, który nie potrafi stworzyć godnego miejsca dla początku, niepostrzeżenie traci zdolność obrony wszystkiego, co przychodzi później. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9



Ewa Polak-Pałkiewicz

Każden Niemiec Robespierrus natus est!*

* Stwierdzenie Zygmunta Krasińskiego.

Chesterton, widząc bestialstwo Niemiec podczas I wojny, szał militaryzmu i coraz większy rozmach w pseudonaukowych eksperymentach związanych z obsesją „czystości" rasy po wojnie, szaleństwo eugeniki w tym kraju, nie mógł sobie darować porównania: „Cóż, nie ulega wątpliwości, że do pewnych rzeczy Polacy są niezdolni. […] Polacy są niezdolni do owej doskonałej organizacji, która sprawia, że masakra niemowląt zaczyna się na określony sygnał, kończy na określony sygnał i zaczyna znów przy trzecim sygnale. Istotnie, nie posiedli niemieckiego daru świetnej organizacji; i Niemcy z pewnością mogliby ich sporo nauczyć, gdyby Polacy zniżyli się do pobierania podobnych nauk".

eprasa.pl 837dc6b7c9

Czy Gilbert K. Chesterton zgodziłby się z tytułową diagnozą naszego wieszcza? Wszystko wskazuje na to, że przyjąłby ją za swoją. Jedną z najbardziej intrygujących zagadek w kulturze XX wieku była przenikliwość tego pisarza dotycząca wydarzeń, które przewidywał na wiele lat wcześniej, zanim ujawniły się wraz z tragicznymi następstwami.

Splot pychy, arogancji i zaborczości

Już na początku lat 20. ubiegłego wieku zapowiadał, że Niemcy wywołają w Europie wojnę; w 1933 roku przestrzegał, że rozpocznie się ona od napaści Hitlera na Polskę. Nie tylko nie ufał Niemcom, lecz także opisywał to państwo jako największe zagrożenie dla Europy, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak jego historia, krok po kroku, ukształtowała bezwzględne wobec sąsiadów elity i społeczeństwo, które odżegnało się od etosu rycerskiego Europy. Napięcie między Niemcami a Polską, które pilnie obserwował, podsycane w ciągu ostatnich stuleci przez pruskich władców i wychowanych na niemieckim romantyzmie ideologów, miało osiągnąć, jak przewidywał, apogeum w połowie XX wieku.

Chesterton potrafił celnie podsumować ten jedyny w swoim rodzaju splot pychy, arogancji i zaborczości, jaki popychał Niemców do nieustających połajanek, gróźb i agresji wobec Polski, i trafnie nazwać jego przyczyny. Niezliczone upokorzenia, których nie szczędzili Polakom, były rezultatem obsesji, jak twierdził, mającej źródło najpierw w protestantyzmie, później także w rasizmie, przyjętym bezkrytycznie jako wykwit wiedzy naukowej. Choć rozwinął się jako popularna ideologia szczególnie w Niemczech – na przełomie XIX i XX wieku – był jednak krótko hołubiony także m.in. w Anglii.

Chesterton dostrzegał, że Polacy byli dla Niemców „brudem" Europy, bo byli katolikami i Słowianami; te dwie przynależności dyskwalifikowały ich jako naród zasługujący na własne państwo na równi z innymi narodami. Polska była solą w oku zwłaszcza Prus. Zdaniem pisarza awersja ta osiągnęła punkt szczytowy wtedy, gdy „prawdziwe Niemcy", to znaczy „federacja małych, administracyjnie suwerennych państw, zamieszkiwanych przez jeden naród i złączonych jedną mową i kulturą" – jak przypomina tłumaczka Chestertona i znawczyni jego twórczości Jaga Rydzewska – „zostały mentalnie i administracyjnie podbite przez Prusy"[1]. To Prusy, z Lutrem i Fryderykiem Wielkim, były faktycznie odpowiedzialne za pieriekowkę, jakby powiedzieli Rosjanie, niemieckiej duszy.

Chesterton także surowo oceniał bezsensownie uległą wobec Niemiec politykę swojego kraju, która zawsze kończyła się dla Anglii fatalnie. W książce „The Crimes of England" („Zbrodnie Anglii") pisał: „Kogokolwiek byśmy nie krzywdzili, nigdy nie skrzywdziliśmy Niemiec".

„Na forum polityki europejskiej Anglia stanowiła praktyczne narzędzie Niemiec, działające wbrew długotrwałym interesom własnym" – konkluduje Jaga Rydzewska. Przypomina też, że Chesterton nigdy nie ukrywał, że to Anglia „ramię w ramię z Niemcami współdziałała w osłabieniu Francji, Danii i Polski, co w efekcie doprowadziło do wzrostu niemieckiej potęgi i osłabienia samej Anglii[2]. Rozbiory Polski, dokonane z angielską aprobatą, Chesterton porównał do satanistycznej czarnej mszy"[3].

Autorka odszukała zapomniany poemat Chestertona „The Battle of the Stories" z 1919 roku, w którym wyraźnie wybrzmiewa przekonanie, że tragedia I wojny światowej była skutkiem przyzwolenia i obojętności Zachodu wobec rozbiorów Rzeczypospolitej. Taką samą tezę stawiał w swoich pismach francuski poeta i dramaturg Paul Claudel, znany z sympatii do Polski, którego Chesterton bardzo cenił. Claudel nie krył przeświadczenia, że rozbiory Polski, ów grzech śmiertelny Europy, jak mówił, musi zostać odpokutowany, inaczej kontynent nie zazna pokoju. „Gdyby Prusy nie urosły w siłę kosztem Polski, gdyby Polska w XIX wieku pozostała wielkim państwem i tradycyjnym sojusznikiem Francji, prawdopodobnie nie doszłoby ani do Pierwszej, ani zresztą i do Drugiej Wojny Światowej" – konkluduje Jaga Rydzewska[4].

Dlaczego zdecydowanie stoimy po stronie Polski

Sympatia i atencja Chestertona wobec naszego kraju miały swoje źródło w doskonałej znajomości na-

[1] Jaga Rydzewska jest autorką książki „Chesterton. Dzieło i myśl" (Wydawnictwo Antyk Marcin Dybowski, Komorów), z której pochodzą cytaty zamieszczone w tekście.

[2] Tak samo uważał Zygmunt Krasiński. W „Memoriale dla Guizota" w 1847 roku pisał: „A jednak stronnictwo, rządzące we Francyi i w Anglii, jeżeli rozumuje logicznie, jeżeli nie jest zupełnie pozbawione zmysłu przeszłości, nie może nie wiedzieć, że jego własny los jest ściśle związany z losem Polski. Jeżeli niema dla swej równowagi na drugim końcu Europy Polski niepodległej i rozwijającej się roztropnie, to jego własna budowa nie ma oparcia, sklepienie runie prędzej czy później. Gdyby nawet ta budowa pokryła całe Niemcy, to musiałaby się zapaść, gdyby nie znalazła podpory na Wschodzie i Północy".

[3] Jaga Rydzewska, „Chesterton. Dzieło i myśl" (rozdział „Anglik i dżentelmen").

[4] Tamże.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 837dc6b7c9

szych dziejów; pisarz uważał historię Polski za jeden z najbardziej budujących przykładów w dziejach świata. Był pełen uznania dla szlacheckiego rysu naszej kultury i rycerskiego etosu, który przetrwał tu dłużej niż w jakimkolwiek kraju europejskim. Był także pod wielkim wrażeniem zamiaru uszlachcenia wszystkich Polaków, jaki pojawił się w zapisach Konstytucji 3 maja. „Świat dzieli się dziś na tych, którzy pragną, by wszyscy byli szlachtą, i na tych, którzy pragną, by wszyscy byli niewolnikami, czy też niewolnymi pracownikami najemnymi" – pisał w 1925 roku w tygodniku „G.K.`s Weekly". „Otóż, pod tym względem Polska odgrywa szczególną rolę, gdyż w jej narodowym charakterze leży ten właśnie rodzaj ludzkiej godności, który można nazwać szlachetnością. […] I jeśli ktoś chce wiedzieć, czemu tak zdecydowanie stoimy po stronie Polski przeciw bolszewikom […] to dlatego, że chcemy każdemu dać szlachectwo. Nie bezpieczeństwo, nie pensję; nie ochronę przed bolszewicką zgrają […] lecz status człowieka honoru i wpływ na losy kraju"[5] (tłum. J. Rydzewska).

Właśnie ów kontrast, jaki uderzał Chestertona w zestawieniu polskiej kultury z tym wszystkim, co w tej dziedzinie reprezentowały Prusy, budził w nim niepowstrzymaną niechęć i sprzeciw wobec odwiecznych wrogów Polski. W eseju opublikowanym w Stanach Zjednoczonych (w zbiorze „The End of the Armistice")[6] wyznawał, że to podziw i uznanie dla Polaków wywołuje w nim tak silną odrazę wobec Prus i prusactwa. „Polska – to kultura katolicka wepchnięta niczym nagie ostrze miecza pomiędzy bizantyńską tradycję Moskwy i pruski materializm" – pisał. „Wiara katolicka stanowi najjaskrawszą różnicę pomiędzy Polakiem a bolszewikiem czy pruskim junkrem".

Pisarz z satysfakcją obnażał także hipokryzję rozmaitych nadymających się mędrków w prasie angielskiej, którzy chcąc ukryć awersję do katolicyzmu i różne wariackie pretensje do Polski, prezentowali się jako rzecznicy „»prawdziwych« interesów »prawdziwej« Polski". Ten typ samozwańczych mentorów dziś jest u nas aż nadto znajomy. „Właśnie dlatego nie chcą, by Polska miała port morski lub dobre granice. Właśnie dlatego wyrażają pobożne życzenie, by armia polska została pokonana przez bolszewików, a ziemia polska ukradziona przez Prusaków. […] Europa Zachodnia z dużo większym upodobaniem mówi o swoim wrogu [tj. Rosji – przyp. E.P.P.] niż o swoim przyjacielu; mógłbym dodać, jedynym przyjacielu w Europie Wschodniej. […] Nie dość, że większość Anglików nic nie wie o Polsce, to w dodatku jeśli już się czegoś dowiadują, to wyłącznie od ludzi, którzy Polski nienawidzą. […] Jest na przykład taki autor, pisujący dla »New Statesman«, który od czasu do czasu dostaje istnego ataku nienawiści do Polski. Czytywanie jego artykułów można porównać ze słuchaniem wykładu w Londyńskiej Wyższej Szkole Ekonomii, kiedy monotonny głos, który przez dwie godziny ciągnie suchy wykład, znienacka załamuje się i przechodzi w dzikie wycie furiata. Oto właśnie nienawiść – i jest to dokładnie ta sama nienawiść, którą bolszewicy czują wobec chrześcijaństwa, a Prusacy wobec rycerstwa"[7].

W czasie gdy rozstrzygał się na międzynarodowym forum kształt granic niepodległej Polski, Chesterton zauważył, że w Anglii nie brakowało podłych uśmieszków i fałszywych łez „przyjaciół" naszego kraju, którzy załamywali ręce nad słabością i efemerycznością naszego państwa. Niejaki T. Armstrong pisał w „Nation": „Na pewno dobrze by było wznieść nową słowiańską barierę na wschodzie Niemiec, ale czy to się da zrobić? Bismarck, dobry znawca tamtejszych realiów, uznał to za niemożliwe". To tak jakby napisać, że „Neron, dżentelmen o wysokiej kulturze osobistej, nie liczył zbytnio, że chrześcijańskie wysiłki zbawienia ludzkości zostaną uwieńczone sukcesem" – drwił Chesterton. „Bismarck na pewno nie łamał sobie głowy nad rozważaniem, czy jakiś Słowianin może założyć jakieś państwo. Nie chciał być sojusznikiem Polski, bo chciał być jej prześladowcą. Nie widział przeszkód, by być sojusznikiem Rosji, pod warunkiem, że Rosja też będzie prześladować Polskę…"[8].

Tego rodzaju logika żurnalistów, zjadliwie wykpiwana przez Chestertona, najwyraźniej przetrwała owe sto lat, które minęły od napisania tego eseju, i dziś w całej swej krasie i pompatycznej powadze pojawia się w pseudonaukowych rozprawkach, książkach, w publicystyce, nierzadko w wypowiedziach polityków z kraju naszych sąsiadów.

Polska rozszarpana na części

[5] Tamże.

[6] Chesterton dowodził tutaj, że pokój zawarty w Europie w 1918 roku był jedynie przerwą w walce i niechybnie doprowadzi do kolejnego, jeszcze groźniejszego konfliktu. Przewidział, że jego zarzewiem stanie się kwestia granic Polski. Uznawał nazizm – o pruskim rodowodzie – i rasizm za duchowe zagrożenie dla cywilizacji oraz podkreślał kluczowe znaczenie Polski jako bastionu chrześcijańskiej cywilizacji w Europie Środkowej.

[7] G.K. Chesterton, „The End of the Armistrice" [za: Jaga Rydzewska, *op. cit.*].

[8] Jaga Rydzewska, *op. cit.*

eprasa.pl 837dc6b7c9

Chesterton był jednym z nielicznej grupy ludzi pióra, do której bez ironii można odnieść określenie „intelektualiści". Czyli ludzi, którzy nie tylko znali, lecz także naprawdę rozumieli historię, potrafili wyciągnąć z niej wnioski, dostrzec subtelne zależności. Mówiąc, że w XVIII wieku „Polska została zamordowana dopiero na skutek nienormalnego spisku", niczego nie koloryzował, w niczym nie przesadzał. Być może już wtedy także lękał się o jej przyszłość. Jego ostre widzenie rzeczywistości, brak złudzeń co do polityki championów europejskich, kazały mu przewidywać, że przyjdą jeszcze nowe próby unicestwienia Polski. „Polska upadła i rozsypała się na części, ponieważ została rozszarpana na części. Teutońska teoria, że w samej naturze Polski tkwi coś anarchicznego, to obrzydliwa wymówka stworzona już po fakcie. Polacy z pewnością mają swoje narodowe wady, jak każdy inny naród, ale nie można twierdzić, że ich wady uniemożliwiają zbiorowe działanie w jednym wspólnym celu. Przeczy temu historia"[9].

Chesterton, widząc bestialstwo Niemiec podczas I wojny, szał militaryzmu i coraz większy rozmach w pseudonaukowych eksperymentach związanych z obsesją „czystości" rasy po wojnie, szaleństwo eugeniki w tym kraju, nie mógł sobie darować porównania: „Cóż, nie ulega wątpliwości, że do pewnych rzeczy Polacy są niezdolni. Nie mieli świetnie zgranego pruskiego społeczeństwa, w którym wszyscy profesorowie w tym samym czasie pisali jedno i to samo zdanie, na wzór pruskich żołnierzy, salutujących w jeden i ten sam sposób. Polacy są niezdolni do owej doskonałej organizacji, która sprawia, że masakra niemowląt zaczyna się na określony sygnał, kończy na określony sygnał i zaczyna znów przy trzecim sygnale. Istotnie, nie posiedli niemieckiego daru świetnej organizacji; i Niemcy z pewnością mogliby ich sporo nauczyć, gdyby Polacy zniżyli się do pobierania podobnych nauk. Tak się jednak składa, że istnieje na świecie również inny rodzaj organizacji, niebudzący tak ponurych skojarzeń jak niemiecka, a za najlepsze jego przykłady mogą służyć właśnie Francja i Polska. Jest spontaniczna, oddolna organizacja wolnych ludzi, która nie tylko nie potrzebuje mundurów ani urzędów, ale potrafi działać przeciw nim. Ona również odnosi zwycięstwa; i próżno by szukać tryumfu równie wspaniałego jak ten, gdy prawodawstwo pruskie, nastawione na zagarnięcie polskiej ziemi, zostało pokonane przez żywą organizację Polaków"[10].

[9] „The Illustrated London News", 1919 r., [za:] J. Rydzewska, *op. cit.*

[10] Tamże.

Zapomniana idea pamięci i przysięgi

Nasze dzisiejsze kłopoty z ludźmi „z innej bajki", tymi z przeciwnej strony barykady, jakby sporządzonymi na modłę niemiecką lub bolszewicką, są kłopotami z tymi, którzy utracili poczucie przynależności do siebie samych. Wykonują rozkazy, nawet te bezgłośne, przekazywane tylko wydęciem warg, spojrzeniem. Są podporządkowani, subordynowani, lojalni, nie dlatego, że ufają rozkazodawcom, lecz dlatego że utracili poczucie, iż sami warci są cokolwiek. Tego właśnie tak bardzo obawiał się Chesterton. To skutek praktycznego – w głowach ludzkich – bolszewizmu lub służalczego ducha pruskiego. Jesteś trybikiem, do życia może wskrzesić cię jedynie głos partii, korporacji etc.

Świat należy jednak – dziś, tak jak zawsze – do ludzi, którym ślepa lojalność i strach nie wiąże rąk, nie knebluje ust, nie zasłania oczu. Gilbert K. Chesterton czuł to całym sobą. Dziś jesteśmy wręcz smagani – także przez ludzi wypowiadających się w języku polskim, uważających się za Polaków – wynurzeniami, z których wynikać ma, że z powodu naszego niezgulstwa i tępoty nie mamy prawa do niezawisłości; z natury i przyzwyczajenia musimy od kogoś zależeć, komuś się podporządkować. Dla takich jak my nie ma gwarancji, nie ma stałych granic, nie ma umowy, która nie miałaby być złamana, obietnicy, która nie byłaby dotrzymana; nie ma prawa, które nie mogłoby być z powodu dowolnego kaprysu zakwestionowane. Cóż, po prostu dla tych silnych, potrząsających kiesą – jesteśmy niedobitkami, popłuczynami po istniejącym niegdyś silnym wojowniczym państwie, niepotrzebnym jednak dzisiejszej Europie. Wszystko w imię „unii", „pokoju i bezpieczeństwa", „stabilności i równowagi". A tak naprawdę – niemieckiej hegemonii wyrastającej z pruskiego ducha.

Chesterton podkreślał, że Niemcy „pod wpływem Prus wyzbyły się dawnych koncepcji prawa i ujęły obłęd w ramy instytucji. Co gorzej, Niemcy barbaryzują resztę Europy. Kultura europejska, z jej wartościami, cnotami i manierami, jest wypierana przez prymitywny pruski kult siły i skuteczności. Szczególnie oburzało Chestertona, że Prusy jawnie i demonstracyjnie gwałcą wszelkie umowy, niszcząc dwie idee, na których opiera się cywilizacja:

»Pierwsza to idea pamięci i przysięgi; druga to idea wzajemności. Jest ewidentne, że obietnica, czyli rozciągnięcie odpowiedzialności w czasie, to jedna z podstawowych cech, które odróżniają nas – nie powiem, że od dzikusów, ale bydląt i płazów. […] Przysięga, tak jak koło, jest nieznana w przyrodzie; to pierwsza oznaka Człowieka. […] Ale Prusacy dokonali nowego odkrycia na forum polityki międzynarodowej: odkryli, że nieraz wygodnie jest złożyć obietnicę, lecz dziwnie niewygodnie jej dotrzymać. Ich

eprasa.pl 837dc6b7c9

proste duszyczki były oczarowane tą rewelacją, toteż zapragnęli podzielić się nią z całym światem. Obiecali zatem Anglii, że złożą jej obietnicę, ale pod warunkiem, że Anglia złamie wpierw obietnicę daną komu innemu [Belgii – przyp. J. Rydzewska], i przy dorozumianym założeniu, że kiedy tylko będzie im to na rękę, sami złamią swą nową obietnicę równie łatwo jak złamali poprzednią. Ku bezgranicznemu zdumieniu Prus, ta racjonalna oferta nie została przyjęta![11]«".

„Wszystko stanie się kwestią opinii"

Cóż, wydawałoby się – nic prostszego! Powiedzieć, jak to jest dziś z Europą trzymaną w kleszczach niemieckich. Głośno i dobitnie. Przerwać krępujące milczenie. A jednak jakoś nikomu nie przechodzi to przez gardło. Jest dużo mowy o rozwoju i wzajemnej współpracy. O bezpieczeństwie i potrzebie zbrojeń. Ale w imię czego i w imię kogo? Żeby nam się wydawało, że Unia Europejska otworzyła wszystkim drzwi do nieba. Żeby świat szedł wciąż do przodu!

Jaga Rydzewska, która przewertowała niezliczone stronice prasy angielskiej, odnajdując tam nieznane lub zapomniane teksty Chestertona, znakomicie podsumowuje geniusz tego proroka patrzącego na swoją epokę oczami kogoś, kto widział aż nazbyt wyraźnie nadciągający przełom, o wiele donioślejszy niż mogliby sobie wyobrazić politycy.

„To naprawdę zdumiewające uczucie: otworzyć stronice »The Illustrated London News« z początku XX wieku, pełne rysunków, przedstawiających fin-de-siecle`owe damy w długich sukniach i kapeluszach – i nagle pośród tej miłej staroświecczyzny znaleźć esej tak aktualny i celny, jakby napisano go wczoraj. Jedną z najbardziej zaskakujących cech esejów Chestertona jest właśnie to, że tak znakomicie przystają do realiów XXI wieku. Zabrzmi to jak paradoks w odniesieniu do autora, który wykpiwał samo nawet pojęcie nowoczesności, ale jeśli Chesterton bywał za życia niezrozumiany, to po części dlatego, że jego teksty były zbyt nowoczesne dla ludzi, wyobrażających sobie, że świat, jaki znają, będzie trwał wiecznie. Tymczasem on dostrzegał nadciagające zmiany. »Wielki marsz umysłowej destrukcji pójdzie dalej. Wszystko zostanie zanegowane. Wszystko stanie się kwestią opinii«[12] – napisał w 1905 roku. »Poważni myśliciele nie muszą użalać się tak bardzo nad prześladowaniami minionych wieków. Nim liberalizm umrze lub zatryumfuje, ujrzymy jeszcze takie wojny i takie prześladowania, jakich świat dotąd nie widział«[13]. Na podstawie oznak już wtedy dla niego ewidentnych precyzyjnie opisywał zjawiska, które dopiero dziś w pełni się rozwinęły"[14].

Uwiąd logicznego myślenia i materializm dzisiejszych liberalnych elit europejskiego Zachodu potwierdzają tę diagnozę zarówno samego pisarza, jak i znawczyni jego twórczości. Optymizm polityków upatrujących cud społecznego pokoju tylko w doraźnej koniunkturze czy też w grze czysto politycznej zmierzającej do dominacji Niemiec i Brukseli – stoi w sprzeczności z rzeczywistością. Jednym z najważniejszych powodów tego mentalnego i moralnego kryzysu jest zanik myślenia w kategoriach celowości. Dla jakiego celu istnieje organizacja polityczna społeczeństwa, dla jakiego celu istnieją państwa?

Prymas Wyszyński i sztuka mówienia prawdy

Kardynał Stefan Wyszyński nie bał się Niemiec i Niemców. Był spokojny, gdy zdecydował się wystosować list biskupów polskich do biskupów niemieckich (inicjatywa należała do przyszłego arcybiskupa Wrocławia Bolesława Kominka), co było aktem historycznym o nieoszacowanej wartości, nierozumianym jednak zarówno wtedy (w 1965 roku), jak i w wielu wypadkach dziś. List będący zarazem przykładem sztuki mówienia prawdy w oczy w sposób elegancki. Bo przesłanie „przebaczenia i prośby o przebaczenie" było jednak nade wszystko przypomnieniem Niemcom, że Polacy naprawdę mają im co przebaczać, a co z dziwną skwapliwością było u nich wypierane z pamięci. Biskupi polscy nie wahali się nazwać zbrodni niemieckich „aktem totalnego zniszczenia i wytępienia Narodu polskiego". Jak przypomina prof. Grzegorz Kucharczyk: „W orędziu, które mówi o wzajemnym wybaczeniu win, znajduje się streszczenie historii zła sączącego się do niemieckiej kultury (w tym kultury politycznej) o wiele dłużej aniżeli rządy partii hitlerowskiej w Rzeszy Niemieckiej (1933–1945). Ta historia degrengolady rozpoczęła się wraz z zakonem krzyżackim"[15]. Profesor Kucharczyk zaznacza, że prymas określał krzyżaków mianem „rycerzy fałszywego chrześcijaństwa". W liście ten fałsz jest mocno podkreślony; biskupi mówią o „kompromitującym ciężarze dla europejskiego chrześcijaństwa, dla jego symbolu – krzyża,

[11] G.K. Chesterton, „The Barbarism of Berlin", London 1914, [za:] J. Rydzewska, *op. cit.*

[12] G.K. Chesterton, „Heretycy".

[13] „G.K. Chesteroton. A Half Century of Vievs", Oxford University Press, 1988 [za:] J. Rydzewska, *op. cit.*

[14] J. Rydzewska, *op. cit.*

[15] G. Kucharczyk, „Głębokie korzenie zła. Prymas Stefan Wyszyński o dialogu polsko-niemieckim", „Nasz Dziennik", 12 listopada 2025 r.

eprasa.pl 837dc6b7c9

a także dla Kościoła, w imieniu którego występowali". To znamienne, bo w historii nieprawości działań politycznych zaborczych, agresywnych wszystko zaczyna się od kłamstwa. Dziś Polska po raz kolejny zmaga się z naporem kłamstwa.

Skuteczny odpór antypolskiemu kłamstwu zakonu krzyżackiego dawał Paweł Włodkowic podczas soboru w Konstancji (1414–1418) – swoim mężstwem, logiką, konsekwencją i erudycją – mimo wpływu emisariuszy zakonu, wyjątkowo przebiegłych w sianiu propagandy na dworach królewskich i biskupich w Europie. Biskupi polscy w 1965 roku ukazali ciągłość niemieckiej myśli traktującej jak największego wroga katolicką Polskę – począwszy od „Krzyżaków poprzez Hohenzollernów i Bismarcka po Hitlera" (G. Kucharczyk). Przypomnieli Alberta Pruskiego (Albrechta Hohenzollerna) i „Fryderyka zwanego Wielkim". Apelowali, by zarówno aktualne, jak przeszłe winy Niemców zostały nazwane, naprawione, odpokutowane. Prymas Wyszyński nie zapomniał o celnej konkluzji Friedricha Wilhelma Foerstera, który o swoich rodakach pisał jako o „narodzie, który musi się wyspowiadać"[16].

List polskich biskupów został jednak przyjęty przez biskupów niemieckich chłodno. Jego intencje i przesłanie nie zostały zrozumiane i docenione. W liście do kard. Juliusa Döpfnera (z 1970 roku) prymas stwierdzał, że reakcja na list „rozczarowała nie tylko Polaków, ale i światową opinię publiczną. Naszą tak serdecznie wyciągniętą rękę przyjęto nie bez zastrzeżeń". Także w Polsce – nie wspominając nawet o jawnie wrogiej, pełnej zacietrzewienia reakcji komunistycznej władzy – szerzyły się, wzmacniane peerelowską propagandą, zarzuty zwykłych ludzi nierozumiejących przesłania, zarzucających Kościołowi „politykę".

Niemiecki bój „przeciw Pigmejom"

Sto lat temu papież Pius XI wydał encyklikę o Chrystusie Królu. Podsumował w niej naukę Kościoła o celu państwa i celu Kościoła. Potwierdził to, co Kościół przez prawie dwa tysiąclecia powtarzał: jeśli Bóg nie króluje w państwie, nic nie ustrzeże go przed zapanowaniem w nim kłamstwa, przemocy i drętwoty. Rządy mają rządzić, ale Bóg ma być ponad wszystkim. Jego prawo musi być respektowane nade wszystko. Tego przeciętny człowiek dziś nie rozumie, mimo że stworzona przez Boga zarówno natura człowieka, jak i natura społeczeństwa jest zawsze taka sama. Wydaje się dziś, że idea Chrystusa Króla to coś w rodzaju rządów Kościoła, teokracji. A przecież powinność władzy państwowej to chronić obywateli – kiedyś zwanych poddanymi – nie tylko fizycznie. Tak było u Polaków. U naszych zachodnich sąsiadów zbawienie osiągało się, budując siłę państwa, którego powinność rozumiano jako nieustający podbój. Gdy na tej drodze Niemcy dopuszczali się okrucieństwa, popadali w barbarzyństwo, powoływali się zawsze na wyższą konieczność – co nie przeszkadzało im protestować, gdy podobnie zachowywał się ich przeciwnik. Bowiem Germanie, jak głosiła propaganda niemiecka, to „lud powołany do panowania nad światem, lepszy od wszystkich innych ludów. W roku 1915 kanclerz niemiecki oznajmił, że Niemcy toczą bój przeciw otaczającym ich Pigmejom. Z kolei generał von Ditfurth był zdania, że Niemcy nikomu nie muszą się tłumaczyć z niszczenia zabytkowych katedr, bo kultura niemiecka jest warta więcej niż wszystkie zabytki i katedry Europy. […] Przeciw takim poglądom i przeciw ich angielskim zwolennikom, występował G.K.Ch. w swych publikacjach"[17].

Według „Roczników" Jana Długosza słowa króla Władysława Jagiełły przed bitwą pod Grunwaldem wypowiedziane do krzyżaków, którzy przybyli wręczyć mu dwa nagie miecze, brzmiały nieco inaczej niż napisał Sienkiewicz. Na pełną aroganckiej buty przemowę heroldów król odpowiedzieć miał „z dziwną tylko, jakby z nieba daną pokorą": „Chociaż nie potrzebuję mieczów mych wrogów, bo mam w mym wojsku wystarczającą ich liczbę, w Imię Boga jednak dla uzyskania większej pomocy, opieki i obrony w mej słusznej sprawie, przyjmuję także dwa miecze przyniesione przez was, a przysłane przez wrogów pragnących krwi i zguby mojego wojska". To zderzenie szlachetnego spokoju i godności polskiego władcy, niebawem zwycięzcy na polu bitwy, z pychą teutońskich najeźdźców ma dziś jeszcze większą wymowę niż 600 lat temu. ■

[16] Friedrich W. Foerster – pedagog, etyk i filozof zmuszony do emigracji z nazistowskich Niemiec. Jego dzieła publicznie palono w Monachium i Berlinie w latach 30.

[17] Jaga Rydzewska, op. cit. Autorka przypomina także, że w tym okresie „Anglią rządziła dynastia o silnych niemieckich korzeniach. Wywodząca się z tej dynastii królowa Wiktoria wyszła za mąż za Niemca i miała niemieckiego doradcę. […] wielu wpływowych brytyjskich historyków, w tym Carlyle, dowodziło, że wszystkie konstruktywne elementy w dziejach Anglii zostały zaczerpnięte z Niemiec bądź stanowią wynik »normańskiego zdrowego rozsądku«. Chesterton tymczasem uważał, że wszystko co najlepsze w swej kulturze Anglia zawdzięcza Rzymowi, Francji i Włochom [podobnie jak Polska – przyp. E.P.P.], zaś element germański był zawsze elementem barbarzyńskim".

eprasa.pl 837dc6b7c9



SYJONIZM
Największy z demonów?

Dawid Wildstein



eprasa.pl 837dc6b7c9



Trudno znaleźć dziś słowo, które zostałoby tak zgwałcone w debacie publicznej, jak „syjonizm". Stało się ono definicją wszelkiego zła, synonimem przemocy, mordów, ludobójstwa. Tymczasem wystarczy zajrzeć do jakiegokolwiek uczciwego podręcznika historii czy myśli politycznej (chociaż o to ost atnio coraz trudniej), a nawe t Wikipedii, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo fałszywy jest ten opis. Niestety, ta operacja demonizacji syjonizmu ma bardzo konkretny i niebezpieczny cel.

FOT. ADOBE STOCK

Czym więc właściwie jest syjonizm? Gdyby chcieć odpowiedzieć na to pytanie jednym zdaniem, brzmiałoby ono: Przekonaniem, że Żydzi mają i prawo do własnego państwa, i obowiązek walczyć o nie.

Owszem, za ojca syjonizmu uważa się Teodora Herzla. Jest to jednak bardzo umowna „pozycja", bowiem tak naprawdę refleksja (oraz powiązane z nią emocje), którą można nazwać „syjonizmem", istniała we wspólnocie żydowskiej właściwie od zawsze. Herzl zrobił jednak coś fundamentalnego. Złapał właściwy moment dziejowy i ujął to w odpowiednim języku. W swojej krótkiej książce „Państwo żydowskie" ubrał bowiem wspomnianą już refleksję w terminy typowe dla XIX-wiecznego nacjonalizmu, a jednocześnie odpowiedział na potrzeby gigantycznych, coraz bardziej wyalienowanych mas żydowskich, istniejących na peryferiach społecznych państw europejskich.

Setki syjonizmów

Warto jednak zauważyć, że o ile, do pewnego stopnia, Herzl faktycznie był iskrą, która na nowo rozniecila, nie tylko zresztą we wspólnocie żydowskiej, dyskusję o konieczności państwa dla Żydów, o tyle trudno uznać, by faktycznie ta figura zdeterminowała kształt tej myśli. Wytarczy powiedzieć, że tak Herzl, jak i jego najważniejsi współpracownicy byli typowymi „oświeconymi reprezentantami" ówczesnych salonów intelektualnych. Wielu też bardzo ważnych dla syjonizmu myślicieli miało stosunek do religii żydowskiej i kultury skrajnie negatywny. Szczerze jej nienawidzili, uznawali za zło, które należy wypalić. Sam zaś syjonizm traktowali jako konieczny element emancypacji, zniszczenia żydowskiego zacofania, wyczyszczenia tej wspólnoty z zabobonów, aby mogła, na równoprawnych zasadach, dołączyć do grona współczesnych narodów. Z tego powodu część syjonistów, w tym bliscy współpracownicy samego Herzla, odwołujących się do jego dziedzictwa, było przeciwnych temu, by państwo żydowskie zostało stworzone na jego dzisiejszym terytorium oraz by jego językiem był hebrajski, uznając, że oba te elementy świadczyłyby o zwycięstwie religijnych zabobonów.

Piszę o tym wszystkim z bardzo prostej przyczyny. Otóż, wbrew dzisiejszym manipulacjom semantycznym, syjonizm był i jest prądem ideologicznym niesłychanie wręcz bogatym i przejawiającym się w najróżniejszy sposób. Mamy syjonizm religijny i skrajnie antyreligijny. Prawicowy i tak lewicowy, że dzisiejsze Razem to przy nim faszyści. Postępowy lub konserwatywny. Uznający dzisiejsze państwo Izrael albo je negujący. Syjonizm, którego

eprasa.pl 3d7dc6b7c9

podstawą jest twardy, wręcz ksenofobiczny nacjonalizm, oraz taki, którego doktryna niczym się nie różni od banalnych hasełek z piosenki „Imagine", że wszyscy kiedyś powinni się roztopić w szczęśliwej wspólnocie ludzi, których nie dzielą te „straszne" różnice kulturowe czy religijne. O samym syjonizmie i tym, ile w jego obrębie pojawiło się różnych, często fascynujących i pięknych, często groźnych bądź groteskowych, prądów intelektualnych, można napisać i napisano całe tomy.

Ramię w ramię z islamistami

Podsumowując – tak, Izrael jest także dzieckiem syjonizmu. Jednocześnie jest to myśl bogata, wielowątkowa, objawiająca się w niesłychanej wręcz ilości form, bardzo często wzajemnie sprzecznych, ścierających się ze sobą. Tylko część z nich ukształtowała dzisiejszy Izrael, inne zostały w tym państwie i tożsamości jego mieszkańców zmarginalizowane albo wręcz zupełnie odrzucone. Dlatego nie tylko utożsamienie aktualnej polityki rządu Netanjahu z syjonizmem jest absurdalne. Także z samym państwem jako takim. Jest to, primo, oczywisty błąd kategorialny, secundo – dzisiejsze państwo Izrael jest tylko jedną z wielu odpowiedzi, jakie przez wieki na problemy losu żydowskiej wspólnoty dawał i daje dziś syjonizm.

Pytanie więc brzmi: skąd tak fałszywa, skrajnie niesprawiedliwa względem syjonizmu, narracja zachodniej lewicy? Zrobienie akurat z tej myśli demonicznego totemu, ucieleśnienia zła i podłości? Dwie odpowiedzi nasuwają się najszybciej. Pierwsza wypływa ze zwyczajnej praktyki politycznej. Po prostu antysyjonizm brzmi lepiej niż antysemityzm i jest sposobem ubierania w odpowiednio neutralną syntaktykę narracji będącej tak naprawdę ekspresją nienawiści do Żydów. Druga – jest to dziedzictwo propagandy ZSRS, ówczesnej frazeologii, do której lewica, szczególnie zachodnia, jest wciąż niebywale przywiązana. Obie te odpowiedzi są słuszne, niemniej bez odpowiedniego pogłębienia stają się zbyt płytką interpretacją lewicowej nienawiści do syjonizmu. Konieczne jest też dodanie, iż termin „antysyjonizm" jest rodzajem niezbędnego „narracyjnego mostu", pozwalającego zachodniej lewicy używać wspólnego języka z grupami fundamentalistów muzułmańskich, od których, przynajmniej w teorii, gdyby faktycznie była wierna swoim ideałom, powinna trzymać się jak najdalej. Poza tym, atakując syjonizm i uznając go za źródło Izraela, lewica może swobodnie negować samo istnienie tego państwa, ex definitione opartego na zbrodniczej ideologii, skażonego od zarania, z konieczności będącego więc rodzajem politycznego potwora.

Do pewnego momentu można było udawać, że islamiści i lewicowcy co prawda używają tego samego terminu, jednak inaczej go definiują. O ile w wypadku islamskiego fundamentalizmu „syjonizm" był po prostu określeniem mającym opisywać całość działań Żydów przez wieki, ich „zbiorową duszą", wyrazem ich zła, potworności, argumentem za tym, że należy dążyć do ich anihilacji, o tyle lewica odwoływała się tylko do relatywnie niedawnych czasów, utożsamiając syjonizm z zachodnim kolonializmem i imperializmem.

Obserwując jednak ewolucję antyizraelskiego dyskursu na lewicy, coraz wyraźniej widać, że przejmuje ona semantykę tego słowa właśnie od fundamentalistów islamskich. Wypaczony, wymyślony obraz syjonizmu staje się narzędziem, za pomocą którego można powiązać w sposób trwały i jednoznaczny współczesną politykę Izraela z Żydami jako takimi. Nie tylko tymi tu i teraz, lecz uznać także, że dzisiejsze zbrodnie Izraela wprost wypływają z tego, kim Żydzi są i byli przez wieki. Tym samym okazuje się, że cele tej propagandowej operacji, której źródłem jest odpowiednie, fałszywe, zdefiniowanie „syjonizmu", są tożsame w wypadku tak lewicy, jak i fundamentalizmu islamskiego.

Zneutralizować Holocaust

Syjonizm odwołuje się do symboli i narracji zakorzenionych w sposób trwały w historii Żydów przez tysiąclecia – nawet jeśli je neguje. Jest on oczywiście tylko jedna z możliwych odpowiedzi na pytania, które determinowały wiekami kształt żydowskich wspólnot, niemniej bardzo często używa on języka i znaków, bez których w ogóle o „żydowskości" nie można mówić. Chociażby odwołuje się do „Syjonu". Bardzo łatwo więc za pomocą kilku manipulacji, pokazania tożsamych terminów, odniesień czy symboli, które także egzystują w żydowskiej wierze i kulturze, dokonać utożsamienia obu tych światów. W ten sposób, gdy uznamy syjonizm za zło absolutne i ostateczne, z konieczności także to, z czego on wypływa, czerpie, z czym jest powiązany, staje się równie potworne i zbrodnicze.

W ten sposób zarówno współczesna lewica, jak i islamski terroryzm dążą do stworzenia wrażenia, że odpowiedzialność za sytuację w Gazie nie tylko spada na Żydów, na ten etnos i wiarę, lecz także, że jest niejako „zakorzeniona" w nich, nierozerwalnie z nimi związana. Jaki jest cel tej propagandy? W wypadku antyizraelskich islamistów, takich jak Hamas czy Hezbollah, sprawa jest oczywista. W ten sposób mogą oni

eprasa.pl 837dc6b7c9

usprawiedliwić wojnę totalną z Żydami, konieczność mordowania dzieci, odpowiedzialność zbiorową, rozciągniętą na pokolenia, które były, są i będą. Po prostu postulat nowego Holocaustu. Zachodnia lewica nie pozwala sobie oczywiście na tak radykalne postulaty. Niemniej wskazanie syjonizmu jako źródłowego zła we wspólnocie żydowskiej, uznanie, że ta zbrodnia jest w niej zakorzeniona, jest bardzo potrzebne dzisiejszej lewicy do dwóch operacji.

Po pierwsze, ten zakłamany obraz „syjonizmu" jest idealny do neutralizacji kwestii Holocaustu. Ofiary okazują się sprawcami. Owszem, może kiedy Żydzi milionami ginęli w obozach czy lasach, Izraela jeszcze nie było – ale syjonizm już istniał. Już to zło trawiło tę wspólnotę, już czekało, by urządzić koszmar w Gazie. Po drugie, umożliwia szantażowanie żydowskiej wspólnoty. Skoro to zło tkwi w niej, to dziś nie może ona milczeć, nieważne, jakie są jej realne związki z władzą Netanjahu. Żydzi są bowiem niejako ex definitione współsprawcami, zbrodniarzami, muszą się więc publicznie oczyścić. Przeprosić, błagać o wybaczenie, stanąć po właściwej stronie. Także ich rodzice oraz dzieci (w te tony uderzają już otwarcie rozmaici lewicowi publicyści czy aktywiści). Pozwala to także na zagarnianie kwestii Holocaustu do antyizraelskiej propagandy.

W przedstawionej powyżej perspektywie przestają być absurdalne oczekiwania, żeby instytucje związane z żydowską kulturą i historią, jak na przykład Polin, ŻIH, zajmowały się tylko piętnowaniem Izraela. Zrozumiałe też staje się oczekiwanie, wprost wyrażone choćby przez dyrektora łódzkiego teatru Jaracza, żeby obchody pamięci ofiar Holocaustu dotyczyły... Palestyńczyków. W ten sposób nabierają też sensu słowa, które regularnie padają z ust naszych wzmożonych lewicowców, że na przykład fakt, iż Polin nie zajmuje się na okrągło powtarzaniem ich antyizraelskiej propagandy, jest dowodem na to, że polscy Żydzi są współodpowiedzialni za to, co dzieje się w Gazie. W tej nowej optyce u Żydów istnieje swoiste „domniemanie winy", zaś ich jedynym celem powinno teraz być pokazanie, powtarzając oczywiście lewicowy przekaz, że są jednak niewinni. I ponury jest fakt, ilu Żydów faktycznie to robi.

Na koniec tego wątku trzeba też dodać, że taka manipulacja na słowie „syjonizm" pozwala też usprawiedliwiać regularne ataki na synagogi albo na muzea związane z Żydami czy Holocaustem.

Hitler nie był taki zły

Opisana tu neutralizacja Holocaustu to oczywiście tylko etap, celem jest zastąpienie dogmatu o wyjątkowości Szoa religią Gazy. Mamy do czynienia z wymianą, w obrębie zachodniej lewicy, jednego mitu na drugi – ponieważ Holocaust, z lewicowej perspektywy, przestał się sprawdzać. Gaza okazała się dużo lepszą legitymizacją do pretensji bycia „elitą sprawiedliwych ludzkości", tych dobrych i nieskażonych, a więc mających prawo do pełnienia przewodniej roli w społeczeństwie (bo czyż nie ci o najczyściejszych sercach powinni rządzić innymi?). Gaza i to, co się tam dzieje, ma więc być nowym aktem założycielskim moralnej i sprawiedliwej wspólnoty – ostatecznym złem, przy którym wszystko to, co dotychczas, nie ma znaczenia. Nawet Holocaust blednie.

I właśnie to widzimy w dzisiejszym dyskursie lewicowym. Raz po raz słyszymy, że naziści to właściwie pikuś przy Izraelu. Że Hitler mógłby się od Żydów uczyć okrucieństwa, że esesmani to mili chłopcy przy siepaczach z armii izraelskiej. A skoro Izrael jest gorszy od Trzeciej Rzeszy, to i to, co, w ujęciu lewicowym, go napędza, czyli syjonizm, musi być gorsze od nazizmu. W ten sposób demonizacja syjonizmu okazuje się wynikać też z samej dynamiki dzisiejszego antyizraelskiego wzmożenia zachodniej lewicy. W tej sytuacji narracja, że syjonizm ma wiele odcieni, że – nawet przy najostrzejszej ocenie sytuacji w Gazie – tylko jeden z typów syjonizmu można uznać za ideologię obecnego rządu Netanjahu, jest skrajnie niekompatybilna z lewicową histerią i samą infantylną, manichejską, na swój sposób bajkową konstrukcją dzisiejszej antyizraelskiej narracji. Zło bowiem trzeba napiętnować ostatecznie. Zaś niuansowanie nie sprzyja mitom, propagandzie, emocjonalnym szantażom. Syjonizm to demon ostateczny, kropka. Nie ma tu dyskusji.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o wywiadzie, jakiego udzielił niedawno w norweskiej państwowej (!) telewizji jeden z najważniejszych terrorystów z Hamasu. W sposób właściwie niekontrowany bredził o tym, że doniesienia o ofiarach masowych mordów z 7 października 2023 roku to w większości wielka mistyfikacja. A jeśli ktoś z Izraela zginął, to został zamordowany przez wojsko własnego państwa. Jednak najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że terrorysta z Hamasu ewidentnie nie „wyczuł" aktualnej atmosfery wśród swoich sprzymierzeńców z zachodniej lewicy. Im już dawno nie trzeba tłumaczyć, że żadnego 7 października nie było, że to wymysł Izraela. Oni już dawno uznali, że to był absolutnie zasadny i właściwy akt walki o wolność. Radykalny? Owszem. Ale akceptowalny. W końcu to nie była walka z ludźmi. To nawet nie była walka z kolonializmem. To była walka z największym złem, jakie kiedykolwiek nosił ten świat – z syjonizmem. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Krzysztof Wołodźko



Na miarę potrzeb i możliwości. Klasa średnia w III RP

Polska klasa średnia – tak wynika z wielu, jeśli nie większości badań – to koszyk zakupów. […] Medialne przedstawienia klasy średniej to wybory konsumenckie – zagraniczna wycieczka, od czasu do czasu obiad na mieście, kuchenne urządzenie, nawet bardzo drogi T-shirt. A przecież nie da się klasy średniej sprowadzić do konsumpcji! W zachodnich badaniach nikt by sobie nie pozwolił na taki redukcjonizm. Francuska klasa średnia to postawa wobec życia i przyszłości. Nie sposób jej zredukować do „nastrojów konsumenckich" – z prof. Małgorzatą Jacyno rozmawia Krzysztof Wołodźko.

▶ Polska klasa średnia jest jak kot Schrödingera – istnieje lub nie istnieje w zależności od perspektywy badawczej?

Nasza klasa średnia jest różnorako opisywana na potrzeby debaty publicznej właściwie od lat 80. XX wieku. Już wówczas badania pokazywały, że utożsamiało się z nią ponad 80 proc. ankietowanych. W fabrykowaniu debaty o klasie średniej i innych klasach uczestniczą media, politycy i intelektualiści. Podam przykład nie wprost.

▶ Bardzo proszę.

Niedawne badanie CBOS na temat ubóstwa w Polsce dotyczyło również jego przyczyn. W ankiecie podano kilka możliwych odpowiedzi odnośnie do przyczyn biedy. Pierwszy wybór to brak zaradności, wysoko znalazł się też alkoholizm.

▶ Co jest nie tak?

Zastanówmy się, czy tego rodzaju badania mają intencje poznawcze, czy są raczej formą wiecznego repetytorium: utrwalania tych samych stereotypów dotyczących najważniejszych zjawisk społecznych. Zastanawiam się, czy badacze nie słyszeli o dużym wzroście cen energii, rosnących falowo kosztach życia – albo o porządku oligarchicznym, spychającym mniej zamożnych w dół. I czy nie wiedzą, że alkoholizm i inne uzależnienia to także problem ludzi bogatych i wpływowych.

To nie tylko rodzimy kłopot. Czy badania społeczne, przedstawiane później jako miarodajne, służą jeszcze celom poznawczym, czy mają raczej monopolizować i narzucać pewien sposób widzenia rzeczywistości? A przecież to jest poważne ubóstwo intelektualne – niezdolność wyjścia poza szablonowe wyobrażenia i klasowe stereotypy narzucone przez warstwy wyższe.

▶ Wróćmy do klasy średniej.

Powyższy przykład ma bardzo klasowy kontekst. Dotyczy tego, co trzeba robić, żeby godnie żyć i osiągnąć sukces. Mitologia klasy średniej ujawnia się czasem w dość koszmarny sposób. Pod koniec stycznia 2022 roku, tuż przed inwazją Rosji na Ukrainę, w „Ga-

eprasa.pl 837dc6b7c9



Małgorzata Jacyno – polska socjolożka, doktor habilitowany nauk humanistycznych, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego. Pracuje w Zakładzie Socjologii Wsi i Miasta Instytutu Socjologii UW, gdzie zajmuje się socjologią kultury. Pracowała także w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Autorka m.in.: „Iluzje codzienności: o teorii socjologicznej Pierre'a Bourdieu", „Kultura indywidualizmu", „Przewodnik socjologiczny po Warszawie" (red.), „Dzieciństwo: doświadczenie bez świata" (współautorka: A. Szulżycka), „Kultura na peryferiach" (współredakcja: T. Kukołowicz, M. Lewicki).

zecie Wyborczej" ukazał się artykuł „Kryzys męskości? Nie istnieje. Po prostu większość mężczyzn chciałaby być Putinem, a nie może".

▶ Był to wywiad z dr hab. Katarzyną Wojnicką z Uniwersytetu w Göteborgu, która mówiła: „Męskość hegemoniczna to ta tradycyjna, patriarchalna – wielka władza, siła fizyczna, heteroseksualność, pieniądze, autorytet. […] Większość mężczyzn chciałaby się znaleźć w tej grupie. Tylko że nie mogą – bo nie wszyscy są Władimirem Putinem, który dzierży władzę nad jakąś częścią świata".

Pierre Bourdieu, francuski socjolog i antropolog, mówił o produkowaniu zbiorowego nieporozumienia. Powyższe przykłady, moim zdaniem, noszą podobny charakter: stereotypowe przyczyny ubóstwa i zakamuflowana projekcja specyficznej siły, widoczna w tytule, jaki „Wyborcza" nadała rozmowie z badaczką. W ten sposób od dekad media, politycy i część pola naukowego, które zmonopolizowały władzę, fabrykują konsensus dotyczący zjawisk i problemów społecznych.

▶ To nie dla każdego zabrzmi przejrzyście.

Ci, którzy zmonopolizowali debatę o klasie średniej, przekonują, że znają sposoby na uwolnienie się od grzechu ludowego pochodzenia i przynależności do klasy ludowej. Bez mała dekretują, co jest świadectwem przynależności do klasy średniej, czyli wspólnoty wybranych.

▶ Do tego worka wejdzie każdy?

Tak było już w późnym PRL, co było widać w badaniach, o których wspominałam. Należałoby właściwie mówić o syntetycznej klasie średniej, stworzonej z ludzi o różnym standardzie życia i odmiennych mentalnościach. Powiem więcej: w Polsce aspiracje związane z przynależnością do klasy średniej wynikają w dużej mierze ze strachu przed identyfikacją z klasą ludową czy ściślej: klasami ludowymi, bo to także nie jest jednolita kategoria społeczna.

Klasa średnia w naszym kraju to wielka enigma. Kluczowe jest to, że nie wiemy, kiedy mamy do czynienia z opisem rzeczywistości, a kiedy z porządkiem normatywnym, czyli narzucanym i upowszechnianym wzorcem czy ideałem. W Polsce identyfikowanie się z klasą średnią jest jakby kwestią biologicznej ewolucji. [śmiech] Żeby nie być małpą, trzeba należeć do klasy średniej.

▶ Zna Pani znakomicie francuskie realia społeczne czy też – nie bójmy się tego słowa – klasowe. Kogo zatem we Francji nazywamy klasą średnią?

Klasa średnia, o czym w Polsce się często zapomina, to klasa odporna na kryzysy, mająca ochronę przed materialnym i kulturowym ryzykiem. Nadzieja wiązana z jutrem, poczucie własnej istotności i sensu wykonywanej pracy były znakami rozpoznawczymi zachodnich klas średnich z lat 70. W 2024 roku na francuskich stronach rządowych ukazała się informacja o książce Agathe Cagé „Classes figées". Słowo figé możemy przetłumaczyć jako zastygły albo struchlały, sparaliżowany strachem.

▶ Francuska okładka tej książki przedstawia miejski sygnalizator z zapalonym czerwonym światłem.

Praca Cagé dobrze oddaje debaty i nastroje, jakie toczą się nad Sekwaną w mediach publicznych, prywatnych oraz niezależnych. Autorka mówi o upadku francuskiej klasy średniej w wyniku serii kryzy-

FOT. ARCHIWUM AUTORKI

eprasa.pl 837dc6b7c9

sów w XXI wieku. Gdy przyjmiemy do wiadomości ten upadek, można przejść do refleksji nad tym, kim stali się ludzie, którym odebrano nadzieję na godne życie – własne i ich dzieci.

▶ Co im odebrano?

Odebrano im przyszłość. Język francuski zna dwa określenia: avenir to najbliższa, pewna przyszłość – choćby sobotnie spotkanie z przyjacielem. A futur to nieznana przyszłość. Klasa średnia przez dekady nie bała się o swoje warunki bytowe i przetrwanie. Jej przedstawiciele mogli mieć różne rozterki życiowe, doświadczać niepowodzeń, cierpieć z powodu opóźnienia awansu lub jego braku, ale czekali na przyszłość jak na sobotnią randkę. [śmiech] Dla klasy średniej nad Sekwaną długo nie liczyła się nawet polityka (w tym sensie, że wyniki wyborów nie zagrażały jej interesom, nie groziły żadnymi wstrząsami). Co więcej, francuska klasa średnia czerpała dumę z tego, że w jej państwie wszystkim zapewnia się godziwe warunki życia, głównie za pomocą instytucji publicznych – to część jej mitu, jej wizji francuskiej cywilizacji.

Francuskie społeczeństwo zostało wybite z rytmu, a klasa średnia jest zdezorientowana, bo jej codzienność staje się walką o przetrwanie. Znam to z rozmów z francuskimi naukowcami pracującymi na uniwersytetach. Nagle się okazuje, że źródłem stresu mogą być cotygodniowe zakupy w hipermarkecie.

▶ Rzeczywistość i tam skrzeczy.

We Francji zdecydowana większość jest przekonana, że rzeczywistość społeczną określają podziały klasowe. Około 80 proc. badanych, niezależnie od politycznych poglądów, uważa, że walka klas jest istotą społecznej rzeczywistości. Protesty tzw. żółtych kamizelek (niższej klasy średniej), w polskich mediach przedstawianych jako radykalna prawica, nad Sekwaną cieszyły się dużym poparciem. Znaczna część francuskiego społeczeństwa popiera również aktualne protesty rolników, chce sprawiedliwych podatków i zwiększenia wydatków na ochronę zdrowia i edukację. A sytuację, w której następuje pogorszenie dostępu do publicznej opieki zdrowotnej, nazywa się tam głośno w debacie publicznej „utrzecioświatowieniem".

▶ Mam szersze pytanie. Na ile rodzima klasa średnia wpisuje się w często przywoływaną w Polsce opowieść Alexisa de Tocqueville'a o szerokiej warstwie, która zdobyła w Ameryce niezależne środki utrzymania, której zależało na rozszerzeniu demokratycznych swobód, ale im większe zdobywała wpływy – tym bardziej stawała się egoistyczna i skorumpowana?

Jestem zwolenniczką historycznego spojrzenia na zagadnienia społeczne i zwracania uwagi na kulturowe i lokalne uwarunkowania. Oczywiście Tocqueville był na początku transformacji chętnie u nas czytany, ale uważam, że historyczne opisy cnót i przywar klasy średniej trzeba traktować z ostrożnością. Szczególnie gdy ich autorem jest arystokrata. [śmiech]

W analizach klasy średniej łatwo popełnić inny błąd: także w Polsce często przyjmuje się za punkt wyjścia XIX-wieczne mieszczaństwo. A przecież współczesne klasy średnie powstały właściwie po II wojnie światowej. W naszych realiach najlepiej mówić o klasie średniej syntetycznej. Jeden powód już wskazałam – wiąże się on z jej medialnym obrazem. Drugi powód to uwarunkowania społeczne, kulturowe i historyczne. Emmanuel Todd w „Klęsce Zachodu" mówi brutalnie, że klasa średnia w Polsce jest sowieckiego chowu.

▶ Wiele tez przedstawionych przez Todda wyda się rodzimemu czytelnikowi zbyt kontrowersyjnych.

Książka Todda przede wszystkim dobrze wyraża francuski punkt widzenia. Autor zakłada, że aby powstała klasa średnia, muszą istnieć sprzyjające polityki publiczne, które zapewniają społeczeństwu zdrowie i szeroko rozumianą alfabetyzację. Dobra związane z funkcjonowaniem tych instytucji mają być dostępne wszystkim, a nie tylko niewielkiej uprzywilejowanej warstwie. We Francji istnienie klasy średniej jest kwestią wspólnego losu całego społeczeństwa. Pewnie jest w tym pewna przesada, ale widzimy jasny cel: klasa średnia to dobrostan jak najszerszej części społeczeństwa, a nie wyłącznie oligarchiczny przywilej.

▶ A w Polsce?

Polska klasa średnia ma polegać na sobie oraz dbać o własne interesy i przywileje. W mediach klasa średnia to ludzie, którzy albo jeżdżą na wakacje, albo mają kilka nieruchomości, albo mają miesięczny dochód około 4 tys. złotych. Wieloznaczność medialnych przedstawień klasy średniej w Polsce jest funkcjonalna, ponieważ tworzy się w ten spo-

eprasa.pl 837dc6b7c9

sób wizerunek klasy zarazem inkluzywnej i ekskluzywnej. Pierwotna złość na 500 plus i uprzedzenia wobec pięćsetplusów z klasy ludowej eksplodowały w Polsce właśnie z tego powodu, że uderzyły w konstruowaną przez lata w mediach granicę oddzielającą klasę ludową i średnią. Z tego powodu w społecznej wyobraźni program 500 plus od swego początku stał się dla niektórych bez mała końcem świata, ponieważ klasy ludowe jakby nielegalnie przekroczyły pewną granicę, a mianowicie w 2016 roku przyjechały na wakacje nad polskie morze.

To wiele mówi o klasie średniej w naszym kraju. Od początku lat 90., gdy zaczęła się realnie wyłaniać z transformacyjnych fal, jej aspiracją było dostatniejsze życie, uniknięcie beznadziei i poniżenia z powodu bezrobocia, zapewnienie sobie możliwości powrotu po pracy do domu, w którym jest ciepło i nie trzeba z lękiem patrzeć na rachunki za prąd. Kto sobie przypomni pierwszą dekadę transformacji, szybko spostrzeże, że ówczesne lęki i aspiracje są trudne do rozróżnienia. Z tych początków polskiej klasy średniej bierze się jej brutalność wobec mniej zamożnych. W pamięci tej klasy życie to ciągła walka o prawo do bycia człowiekiem Zachodu.

▶ Byt określił świadomość?

Pierwsze przymiarki do bycia klasą średnią zaczęły się w latach 70. W czasach PRL szaloną popularnością cieszyło się stworzone przez Mariusza Waltera telewizyjne „Studio 2". Ono dobrze pokazywało aspiracje i marzenia naszej raczkującej klasy średniej. W wielu domach pojawiły się nowe rytuały: w soboty i niedziele wyciągano z szafek drogie papierosy w biało-czerwonej paczce, lepsze alkohole i kawę, siadano w fotelu i delektowano się zachodnią tożsamością. Butelek i opakowań po używkach nie wyrzucano, stawiano je na regałach i meblościankach, przypinano do makatki z Cepelii – miały dodawać szyku. Ambicje, wyobrażenia, wizje polskiej klasy średniej tworzone były przez ówczesne realia w większym chyba stopniu, niż pisze Emmanuel Todd, który po prostu stwierdza pewien oczywisty fakt: „Mogliście się zaszczepić i zalfabetyzować w poprzednim systemie politycznym".

▶ Upodobanie rodzimej klasy średniej do naśladowania zachodniej konsumpcji zrodziło się z tamtej przaśności?

Jestem przekonana, że stąd wzięło się bardzo ważne wypaczenie w pojmowaniu klasy średniej. Polska klasa średnia – tak wynika z wielu, jeśli nie większości badań – to koszyk zakupów. Nie cnoty i aspiracje społeczne czy kulturowe, bo te są zróżnicowane wśród nieco zamożniejszych, ale konsumpcja. Medialne przedstawienia klasy średniej to wybory konsumenckie – zagraniczna wycieczka, od czasu do czasu obiad na mieście, kuchenne urządzenie, nawet bardzo drogi T-shirt. A przecież nie da się klasy średniej sprowadzić do konsumpcji! W zachodnich badaniach nikt by sobie nie pozwolił na taki redukcjonizm. Francuska klasa średnia to postawa wobec życia i przyszłości. Nie sposób jej zredukować do „nastrojów konsumenckich".

▶ A polska klasa średnia wciąż jest na dorobku i coraz częściej słyszy, że właściwie już powinna zaciskać pasa.

I coraz częściej radzi się jej najróżniejsze terapie, za względu na narastające zaburzenia lękowe. Obecnie media psychiatryzują spędzające z oczu sen obawy wynikające ze zmian systemowych, geoekonomicznych. Polskiemu społeczeństwu obiecywano koniec historii, a żyje w ogniu permanentnej transformacji. Wielkość klasy średniej zaczęła się zmniejszać na Zachodzie od lat 90., czyli dokładnie wtedy, kiedy w Polsce miała się ona urodzić.

W Polsce coraz częściej ubolewamy, że Unia Europejska zmienia się na gorsze. Tylko że zachodnie społeczeństwa utyskiwały na podobne problemy przed dekadami. Poczucie niekorzystnych zmian jest tam głębsze, niż się nam wydaje. Klasa średnia znika, a społeczeństwom Zachodu proponuje się kozetkę jako zamiennik systemowej walki z narastającą oligarchizacją ładu stworzonego po II wojnie światowej. Przy okazji, widział pan film „Ocaleni" z 2008 roku? Wszedł na ekrany kin w czasie dojmującego kryzysu finansowego.

▶ Zaraz to nadrobię!

Ja panu wszystko opowiem. [śmiech] To historia kilku osób, które sądzą, że ocalały z katastrofy lotniczej. Tajemnicza terapeutka pomaga im wyjść z dojmującej, dziwacznej traumy. Na końcu okazuje się, że pani psycholog jest istotą z zaświatów, a oni wszyscy zginęli w katastrofie.

Niemieccy socjologowie już w latach 70. XX wieku zwrócili uwagę na narastający niepokój klas średnich. Do tamtego czasu adekwatne były pewne wyobrażenia dotyczące budowania dobrobytu, inspirowane Maxem Weberem i jego interpretacją wpływu etyki protestanckiej na rozwój kapitalizmu.

▶ Przekładając to na tytuł pewnego zasłużonego, lecz nieistniejącego już polskiego pisma: powściągliwość i praca.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Tak, w tej koncepcji klasa średnia bierze się z pracy i oszczędności, czyli umiejętności odkładania na późniejszą gratyfikację. W latach 70. to przekonanie zaczęło gwałtownie tracić na znaczeniu, a potężnym czynnikiem zmiany była finansjalizacja rynków, na których spekulacja stała się cnotą. Nagle się okazało, że nie tylko niebotycznie urosły ekonomiczne ryzyka, ale że poczciwe ciułanie grosz do grosza to dla rekinów biznesu coś jak niezobowiązujące zbieranie znaczków i pamiątek z egzotycznych wakacji. Pojawiła się nowa frakcja klasy średniej, sprzymierzonej z oligarchią, która forsuje swoje interesy kosztem całego społeczeństwa.

▶ Dzisiaj to już nie jest nowinka, lecz zjawisko oswojone przez popkulturę: „Wilk z Wall Street" (2013), „Big short" (2015).

Początki polskiej klasy średniej trwale ją naznaczyły. Jeśli podjąć dominujący w mediach ton psychologizacji i psychiatryzacji, to można powiedzieć, że miała ona „trudne dzieciństwo".

▶ Pod koniec stycznia w „Newsweeku" ukazał się tekst „Klasa średnia tonie" z łzawym podtytułem: „Trzy lata temu czułem, że mogę wszystko, a teraz…". Będę złośliwy: co to za klasa średnia, którą w trzy lata – i to bez rewolucji – można wysadzić z siodła?

Mam wątpliwości, czy bohaterki i bohaterowie takich tekstów są prawdziwi. Możliwe, że takie teksty powstają w wyniku rozżalenia i są po prostu zapisem zbiorowych doświadczeń ludzi, którzy pracują w mediach głównego nurtu i sami już stracili wiarę, że naprawdę należą do klasy średniej.

▶ Magdalena Szcześniak na kartach wydanej kilka lat temu książki „Poruszeni. Awans i emocje w socjalistycznej Polsce" pisze, że w poprzednim ustroju „rzadko kiedy wykształcały się tożsamości czyste klasowo; system, klasy pochodzenia i dojścia wzbudzały w osobach awansujących złożone emocje". Dzisiaj w badaniach społecznych bardzo chętnie zapisujemy się do klasy średniej. Ale to chyba awans wątpliwy i mocno na skróty?

Powtórzę: silna klasa średnia równa się rozpowszechnieniu dobrostanu społecznego kojarzonego nie tylko z ekonomią. Proszę spojrzeć na rodzimą demografię.

▶ Żeby nie było, że prawicowe media bawią się w czarnowidzów, zacytuję „Wyborczą": „W 2025 r. urodziło się w Polsce 238 tys. dzieci, najmniej od II wojny światowej. Różnica pomiędzy liczbą urodzeń a zgonów wyniosła 168 tys. Tak źle nie było nigdy".

Emmanuel Todd, który uważa się za ucznia École des Annales, mówi, że dla gruntownego zbadania fenomenów społecznych musimy sięgnąć po wskaźniki, których sfałszować się nie da, a które jednocześnie najpełniej wyrażają nastawienia wobec życia i przyszłości. Takimi wskaźnikami są właśnie dane demograficzne, pokazujące, kto jak długo żyje, ile ma dzieci, jaka jest śmiertelność niemowląt. Widać jak na dłoni, że niż demograficzny jest stałą, jeśli chodzi o przemiany transformacyjne, choć śmiertelność noworodków znacznie spadła.

Skupiono się na wzroście materialnego dobrobytu, ale zbagatelizowano bardzo ważny czynnik, który wiele mówi o negatywnych, ukrytych kosztach przemian, konsekwencjami sięgającymi w dekady. Depopulacja następuje z różnych powodów. Z Polski uciekali przecież ludzie i z wyższym, i z niższym wykształceniem; jedni i drudzy lądowali na zmywakach w Anglii. Dzisiaj słyszę, że polska klasa średnia to także ludzie, którzy wrócili ze zmywaka. Możliwe, że taka jest właśnie specyfika polskiej klasy średniej, ale to wiele mówi o tym, w jakich warunkach funkcjonujemy.

W Polsce za przejaw społeczeństwa obywatelskiego uchodzą zbiórki na chore dzieci. W krajach skandynawskich – znam to z bezpośrednich relacji znajomych – jest to traktowane jako antycywilizacyjny regres, odwrót od zaawansowanych polityk społecznych, zaprzeczenie tego, do czego powinna dążyć klasa średnia, jeśli zależy jej na dobrostanie.

Przez cały okres przemian słyszeliśmy, że jest tylko lepiej. Obok tego przekazu informacji i opinii funkcjonuje drugi, nieoficjalny. To jest na przykład wiedza, którą przekazywały sobie wprost i nie wprost kobiety o tym, jak są traktowane w pracy, gdy zajdą w ciążę i urodzą dziecko; jak działa – gdyby nie mogły liczyć na partnera – system alimentacyjny. To nie są sprawy, o których się mówiło często i głośno, zwłaszcza że dla niektórych są wstydliwe. Jednak wiele kobiet miało poczucie, że dziecko oznacza degradację z tej niby-klasy średniej, rezygnację z nieco wyższego poziomu konsumpcji indywidualnej, do którego każe aspirować całe społeczne otoczenie.

Media podpowiadają, jak interpretować te fatalne wskaźniki demograficzne. Pojawia się racjonalizacja: antynatalizm, psiacierzyństwo, tłumaczenie,

eprasa.pl 837dc6b7c9

że planeta płonie. We wszystkich krajach Unii Europejskiej mamy do czynienia – jak mówią badacze – z „karą za macierzyństwo", czyli trwałym obniżeniem dochodów. Niedawno zaś w jednym z francuskich dzienników ekonomicznych można było przeczytać, że najskuteczniejszym środkiem antykoncepcyjnym jest obecny rynek nieruchomości.

▶ A ślad węglowy jest zły, chyba że produkują go członkowie i członkinie realnej elity?

Klasę średnią prześladuje koszmar, że za chwilę wszystko straci. I że spadnie na dno społecznego kosmosu. A przecież to nie jest tak, że z klasy średniej spada się do klasy ludowej. Tacy ludzie znajdują się w limbo [po łacinie: otchłań – red.], czyli nigdzie. Są osamotnieni, bo nie są w stanie solidaryzować się z ludźmi klasy ludowej. Degradacja nie łączy ich z tymi, wobec których zawsze odczuwali niechęć. To powoduje, że politycznie stają się coraz bardziej niebezpieczni.

▶ Dlaczego?

Nie wiemy, jak zachowają się w przyszłości przy urnach. Czy ściślej: spostrzegamy, że coraz bardziej się radykalizują, czują narastającą złość, chcą coraz bardziej emocjonujących igrzysk. Ich głos – co pokazuje literatura przedmiotu – staje się decydujący także dla partii sytuujących się dotąd w centrum. Gilles Deleuze pisał kilka dekad temu, że neofaszyzm zrodzi się wówczas, gdy stary faszyzm przybierze postać folkloru. To oznacza, że nowy faszyzm przybierze niespodziewane formy, pojawi się tam, gdzie niekoniecznie bylibyśmy skłonni go szukać na podstawie dawnych tropów. Beznadzieję i obawy przed degradacją albo się psychiatryzuje, albo przeciwstawia się im karykatury przeciwników politycznych z przyczesaną grzywką i domalowanymi wąsami.

Jeśli prawdą jest, że nasza klasa średnia to produkt czasów Polski Ludowej, której po 1989 roku pomógł nowy układ geopolityczny, to równocześnie widzimy, że najważniejszą ideową tożsamością tej warstwy jest histeryczne wołanie, że „homo sovieticus to inni".

▶ Albo że są prawdziwymi Europejczykami.

Choć od etosu zachodnich klas średnich oddziela ich historyczna odmienność Europy Środkowo-Wschodniej.

▶ W dużym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" socjolog Tomasz Warczok, współtwórca projektu badawczego World Elite Database, wspominał, że polskie elity nie lubią mówić o swoich PRL-owskich korzeniach. Zwykle zwracamy uwagę na głośne nazwiska i ich powiązania z tajnymi służbami, ale kontekst jest przecież szerszy: dyrektorzy i kierownicy PGR-ów, szefowe lokalnych sieci spółdzielczych, ludzie działający w latach 80. na pograniczu państwowych przedsiębiorstw oraz dochodowych prywatnych biznesów… Mało się o tym opowiada, bo to wstydliwa scheda?

Raz jeszcze odwołam się do Emmanuela Todda, bo on mówi gorzką dla naszej klasy średniej rzecz: „[…] nie należycie do naszego świata, macie inne, zupełnie inne pochodzenie". I dodaje: „oczekujecie od nas pochwał i nagród, bo oddaliście polski proletariat globalnej gospodarce, ale my pamiętamy o waszej obcości".

▶ Todd pisze: „Nieautentyczność, jaką przypisuję wschodnioeuropejskim klasom średnim, może wynikać także z innej, dopełniającej je osobliwości: reintegracja dawnych demokracji ludowych ze światem zachodnim przywróciła im status podporządkowanych peryferii, wyspecjalizowanych w najbardziej niewdzięcznych formach działalności gospodarczej". Nawet jeśli brzmi to za mocno, to warto pamiętać o znikających właśnie z Krakowa helpdeskach, czyli zamykanych filiach globalnych firm.

Beneficjenci polskich przemian zasłużyli na surowe słowa. Dzisiaj nie chcemy już pamiętać o dzieciach mdlejących z głodu w szkołach w regionach strukturalnego bezrobocia. O rozpadzie ekonomicznym i kulturowym społeczności dotkniętych gwałtownym upadkiem przedsiębiorstw. O erozji norm, związanej z jednej strony z szokiem, jaki dotknął ludzi, którzy tracili pracę czy dach nad głową, a z drugiej – pojawieniem się agresywnych, aroganckich, nowobogackich elit. Po dekadach to są obrazy coraz częściej oswajane przez popkulturę, która przygląda się tamtym czasom trochę z sentymentem, trochę z odrazą. Socjolog może powiedzieć więcej: transformacyjne elity działały w ramach pewnego pułapu ambicji, który nie okazał się wcale tak wysoki, jak lubią przekonywać. Stąd też i klasa średnia wyrosła nam na miarę naszych potrzeb i możliwości. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Piotr Lisiewicz



Stanisław Marusarz na celowniku gestapo i UB. Nieocenzurowana historia legendy skoków narciarskich

Gdy Polska zachwycona jest talentem medalisty olimpijskiego Kacpra Tomasiaka, pora, by przypomnieć – bez cenzury – wielką legendę Stanisława Marusarza, którego imię w 1989 roku nadano zakopiańskiej Wielkiej Krokwi. Wicemistrz świata w skokach narciarskich z Lahti za „zbrodnie przeciwko Niemcom" skazany został na karę śmierci. I wtedy oddał swój najważniejszy skok w życiu – z okna więzienia na Montelupich w Krakowie, skąd uciekł Niemcom przez czterometrowy mur. A potem, dwa lata po wojnie, musiał ukrywać się na „ziemiach odzyskanych" w Karpaczu, bo jako kuriera tatrzańskiego i podporucznika Armii Krajowej zaczęło tropić go UB.

eprasa.pl 837dc6b7c9



FOT. NAC

eprasa.pl 837dc6b7c9

Zanim na wietrze swe rozpoczniesz jazdy,
Zanim się w śniegu białym umorusasz
I zanim w górę skoczysz, aż pod gwiazdy
Patrz, jak czyni to Stanisław Marusarz

– pisał o nim Kornel Makuszyński.

Najsłynniejsza ucieczka z niemieckiego więzienia. To nie miało prawa się udać

Słynna ucieczka Stanisława Marusarza z więzienia na Montelupich obrosła legendą. Gdy polski wicemistrz świata w skokach narciarskich z Lahti jako żołnierz AK i kurier tatrzański trafił do celi, Niemcy złożyli mu propozycję nie do odrzucenia – objęcie posady trenera skoczków z Bawarii. Odmówił, choć wiedział, że to prawdopodobnie oznacza karę śmierci.

O ucieczce z niewoli myślał od początku. W końcu spróbował. Podczas przejazdu samochodem ulicami Zakopanego uderzył niemieckiego żołnierza i wyskoczył z auta. Niestety, ucieczkę szybko zakończyła zamknięta brama na jednym z podwórek. Niemcy pobili go dotkliwe i wrzucili do karceru. Po kilku tygodniach skazany został na karę śmierci za „zbrodnie przeciwko Niemcom". Po miesiącu przewieziony został do fortu w Krzesławicach koło Krakowa, miejsca egzekucji polskich więźniów. Wraz z grupą kilkunastu więźniów stanął pod podziurawionym kulami murem, po którym spływała krew. Ale tym razem więźniów nie rozstrzelano, tylko dano im łopaty, by kopali rowy, w których pochowano ich kolegów z sąsiedniej celi.

2 lipca 1940 roku więźniowie na Montelupich, z inicjatywy Marusarza, nogą od taboretu wygięli kraty okna celi, na wysokości drugiego piętra. Udało im się otworzyć okno na wolność, choć pozostawał dalej jeszcze czterometrowy mur. Pierwszy przecisnął się współinicjator ucieczki, obok Marusarza, Aleksander Bugajski. Marusarz wyskoczył jako szósty. Spadał na głowę, ale zdołał wykonać obrót, który stosował, ratując się przed upadkiem na skoczniach narciarskich. Wylądował na obie nogi. Przebiegł przez dziedziniec, mijając współwięźnia, który po skoku z okna złamał nogę. Udało mu wspiąć się na czterometrowy mur. Wszystko dzięki klamce zamkniętej furtki, od której odbił się i złapał za drut kolczasty. Gdy uciekinierzy byli na murze, rozległy się strzały. Marusarz został postrzelony w udo. Ale cudem jemu i Bugajskiemu udało się uciec. Resztę więźniów Niemcy zastrzelili. Marusarz wmieszał się w wypełniony ludźmi targ Łobzów i dotarł do Wisły. Spotkał tam rybaka, który go opatrzył i nakarmił. Po wielu dniach rekonwalescencji przez Skawinę wrócił do Zakopanego, a potem przedarł się na Węgry.

„A skądżeś ty takie rękawice wziął?"

Stanisław Marusarz urodził się 18 czerwca 1913 roku w Zakopanem. „Od wczesnego dzieciństwa pałał wielką miłością do nart, zazdrościł pięknego sprzętu przyjezdnym z Krakowa czy Warszawy. Ojciec jako gajowy zarabiał niewiele, a do wyżywienia było sześcioro dzieci. W tajemnicy przed rodzicami wystartował na prawdziwych zawodach, a za niespodziewanie dobrą postawę otrzymał w nagrodę piękne, wełniane rękawice" – pisze Krzysztof Miklas w książce „Biało-czerwoni. Opowieści o niezwykłych ludziach sportu". „A skądżeś ty takie rękawice wziął?" – dziwiła się matka, pewnie podejrzewając, że mógł je znaleźć albo nie daj Boże ukraść. „Staszek nie miał już wyjścia i do wszystkiego się przyznał. Ojciec, który początkowo niechętnie patrzył na jego narciarskie zauroczenie, wystrugał dla niego narty. Nie spełniały jednak jego oczekiwań. Na prawdziwe narty zbyt długo nie czekał. Gdy miał niespełna czternaście lat, na pożyczonych deskach wystartował w zawodach na Krokwi, choć początkowo sędziowie nie chcieli go do konkursu dopuścić i niespodziewanie zajął trzecie miejsce" – pisze Miklas.

Miał cztery siostry – Helenę, Bronisławę, Marię i Zofię i brata Jana. Wyprzedźmy na chwilę przebieg wydarzeń, by pokazać patriotyczny rodowód rodziny. Najbardziej znana z nich była Helena Marusarzówna – narciarka, kurierka i żołnierz ZWZ-AK, w czasie wojny rozstrzelana przez Niemców. Jan walczył na Zachodzie, Zofia trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Od Zakopanego do Lake Placid

6 lutego 1927 roku 14-letni Staszek wziął udział w zawodach juniorów w Zakopanem. Zajął trzecie miejsce, za Bronisławem Czechem i Stanisławem Gąsienicą-Sieczką. Początkowo sędziowie nie chcieli dopuścić go do konkursu, bo był za młody. Rok później wygrał konkurs juniorów. I dołączył do czołówki zakopiańskich skoczków, do której należeli Aleksander Rozmus, wspomniany Czech, Gąsienica-Sieczka i Henryk Mückenbrunn.

W 1931 roku najpierw wygrał konkursy skoków w Zakopanem i Wiśle, a następnie zdobył tytuł wicemistrza Polski w skokach. Był to jego pierwszy medal na tej imprezie. W konkursie skoków narciarskich we Włoszech w miejscowości Ponte di Legno zajął czwarte miejsce. Podjął tam również nieudaną próbę bicia rekordu świata.

W styczniu 1932 roku wygrał dwa konkursy w Zakopanem, a następnie pojechał na igrzyska do Lake Placid. Konkurs skoków odbył się w koszmarnych

eprasa.pl 837dc6b7c9

warunkach. Zeskok rozmiękł, spływająca woda stworzyła na samym jego dole jeziorko o głębokości około 30 cm. Marusarz zajął ostatecznie 17. miejsce.

Po raz pierwszy w karierze zdobył też złoty medal mistrzostw Polski w skokach, a także w kombinacji klasycznej i w sztafecie pięć razy 10 km. Ustanowił też swój pierwszy rekord Krokwi, skacząc 72 m. Potem bił go jeszcze trzykrotnie – w 1934 (74 m) i w 1948 roku (83,5 m i 85 m).

Pojedynki z Norwegami na Velikance

W marcu 1935 roku Stanisław Marusarz przybył do znanej dziś wszystkim kibicom skoków narciarskich Planicy, gdzie odbywał się konkurs skoków na Bloudkovej Velikance, największej wówczas skoczni na świecie. Zawody reklamowane były jako pojedynek Marusarza z Norwegami, którzy przyjechali w najsilniejszym składzie. Podczas trzech dni treningów Marusarz skakał regularnie dalej od nich. W dniu konkursu Norwegowie… wycofali się z rywalizacji. „Byłem w doskonałej formie. Dystansowałem wszystkich skoczków o najmniej 2–3 metry. Norwegowie byli tym bardzo zmartwieni. Codziennie mieli telefon z Oslo i jak twierdzono zdawali Związkowi szczegółowe raporty z przebiegu treningów. Słyszałem, jak Reidar Andersen krzyczał z uniesieniem kilkakrotnie do słuchawki – »Marusar«" – wspominał.

Konkurs wygrał Marusarz (84 m, 87,5 m i 80,5 m) przed Antonínem Bartoňem z Czechosłowacji i Szwajcarem Marcelem Reymondem. Ale po zakończeniu zawodów sześciu Norwegów zgłosiło chęć pobicia rekordu świata. Po zgodzie organizatorów Reidar Andersen skoczył 91 m. Marusarz, mimo zmęczenia po trzech skokach, udał się na rozbieg i osiągnął 93 metry, o metr bijąc rekord świata Birgera Ruuda. Andersen ponownie ruszył na górę i skoczył 94 m. Polak w kolejnym skoku osiągnął 97 m, co było wtedy najdłuższym ustanym skokiem w dziejach. Ale Andersen po raz trzeci udał się na górę i skoczył na 99. metr. Marusarz chciał dalej skakać, ale pięć skoków oddanych w nerwowej atmosferze i pięciokrotne podchodzenie na rozbieg sprawiły, że jego organizm był już niezdolny do dalszej rywalizacji.

Wicemistrz świata, który przez szwindel nie został mistrzem

W styczniu 1934 roku Marusarz zwyciężył w zawodach w Poroninie oraz dwukrotnie w Zakopanem. Został mistrzem Czechosłowacji w skokach. W 1935 roku w Finlandii odbywały się mistrzostwa świata. Jak pisze Miklas, Marusarz w Lahti skakał rewelacyjnie. Oddał dwa najdłuższe skoki: 66 i 67 metrów. Najlepszy z Norwegów, najmłodszy z trójki słynnych braci Ruudów – Asbjoern, miał wyniki znacznie od Marusarza gorsze: „Po zawodach wszyscy podchodzili do niego gratulując mu zwycięstwa, ale sędziowie: Fin, Szwed i Niemiec, nie mogli się z tym pogodzić. Po długich deliberacjach, dopiero wieczorem, podczas uroczystego wręczania nagród ogłosili, że wygrał Ruud o trzy dziesiąte punktu przed Marusarzem. Tak kombinowali poprawiając noty, by pozbawić Marusarza złotego medalu i tytułu mistrza świata". Jak opisuje Miklas, sam Asbjoern Ruud podczas wręczania nagród starał się zachować honorowo: „Twierdził wszem i wobec, że to nie on, a Polak powinien mieć pierwsze miejsce i wręcz prosił Marusarza, a nawet – jak twierdzili świadkowie – wręcz wypychał go do odbioru pucharu za mistrzostwo świata. Marusarz jednak absolutnie nie chciał tego zrobić, by nie dopuścić do większego jeszcze skandalu".

W rodzinie Marusarzy objawił się jeszcze jeden wielki narciarski talent. Miklas pisze: „Wkrótce okazało się, że niezwykłym narciarskim talentem jest młodsza o pięć lat od Staszka jego siostra Helenka. Na zawodach narciarskich dla dzieci, w których startowało kilkuset chłopców i tylko jedna dziewczynka, zajęła siódme miejsce, po czym się… popłakała. Sam Kornel Makuszyński, który wręczał najlepszym w nagrodę swoje książki, miał ją pocieszać i powiedzieć: „Nie becz! Będziesz dobra!"… Makuszyński miał oczywiście rację, podczas zawodów w Zakopanem Helenka Marusarzówna czyniła niezwykłe postępy i zimą 1939 roku była już jedną z najlepszych narciarek alpejek świata.

„Czarnooka filigranowa jedynaczka"

Do Mistrzostw Świata w 1938 roku w Lahti Marusarz przygotowywał się we Lwowie, gdzie pracował w sklepie sportowym Scott i Pawłowski. Jak plotkowano, do Lwowa przyciągnęła go miłość. Stanisław Marusarz ze swoją wybranką Ireną pobrali się już w czasie wojny, w listopadzie 1939 roku. Waldemar Żyszkiewicz na stronie PrawdaJestCiekawa.pl pisze barwnie: „Ona, czarnooka filigranowa jedynaczka z »dobrego domu«. Wychowanka słynnego lwowskiego gimnazjum Sacré Coeur. Córka dyrektora banku we Lwowie Władysława Jeziorskiego, legionisty, autora i zbieracza pieśni żołnierskich. On, sława sportowa, wicemistrz świata w skokach narciarskich (Lahti 1938). A do tego wysoki, płowowłosy, o wesołych błękitnych oczach. Poznali się, gdy z zakopiańskiej willi »Heńka«, będącej wówczas własnością

eprasa.pl 837dc6b7c9

jej rodziców, uciekł ukochany biały szpic. Pies zapędził się na Małe Żywczańskie, tam, gdzie mieszkali Marusarze, i wybrał Staszka na swojego pana". W tej sytuacji małżeństwo było jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

Gestapowcy oglądali go jak małpę w klatce

W 1938 roku Marusarz został kierownikiem Schroniska na Pysznej. W czasie wojny schronisko to stało się punktem przerzutowym dla kurierów tatrzańskich. Po wkroczeniu wojsk niemieckich Marusarz wstąpił do ZWZ, a potem do AK, pełniąc od października 1939 roku służbę kurierską na trasie Zakopane–Budapeszt. Wykorzystując swoje fenomenalne narciarskie umiejętności, przeprowadzał przez granicę ludzi, przenosił materiały konspiracyjne i pieniądze na działalność podziemną.

Jak czytamy na stronie Muzeum Armii Krajowej:

Tu zaczęła się jego gehenna. „Marusarza przewieziono do Proszowa, stamtąd został przetransportowany do Muszyny, następnie do Nowego Sącza i Zakopanego, gdzie osadzono go w willi Palace przy Tatrastrasse (w okresie okupacji Niemcy zmienili nazwę z ul. Chałubińskiego na ul. Tatrzańską), w której mieściła się placówka Gestapo. Tu w czasie przesłuchania był torturowany. Ostatecznie skoczek został, na początku maja 1940 r., przewieziony do krakowskiego więzienia przy ul. Montelupich" – pisze Ewa Wójcicka na stronie Przystanku Historia.

„Przychodzili tu często różni gestapowcy i oglądali mnie jak małpę w klatce… Po takich wizytach byłem zwykle zabierany na przesłuchania, podczas których otrzymywałem nie tylko pogróżki, ale też i... ponętne propozycje. Hitlerowcy usilnie namawiali mnie do współpracy… Będziesz – powiadali – trenerem, pojedziesz do Garmisch-Partenkirchen uczyć skakać naszych zawodników" – wspominał.

Miał cztery siostry – Helenę, Bronisławę, Marię i Zofię i brata Jana. Najbardziej znana z nich była Helena Marusarzówna – narciarka, kurierka i żołnierz ZWZ-AK, w czasie wojny rozstrzelana przez Niemców. Jan walczył na Zachodzie, Zofia trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

„Pewnego dnia otrzymał informację, że ma przeprowadzić zimą grupę osób, która czeka na niego w jednym ze schronisk. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że znajduje się tam ponad... 30 polskich żołnierzy. To zadanie było niemal niemożliwe do wykonania. Stanisław tak wspominał tę wyprawę. »Nakarmieni i wypoczęci, o godzinie drugiej w nocy wyruszyliśmy w dalszą drogę. Od tej pory… wszyscy wykazywali godne podziwu zdyscyplinowanie… dotarliśmy szczęśliwie do wsi Vychodna. Tam znajomy Słowak zakupił bilety kolejowe i przejął opiekę nad grupą«„.

Jak trafił do niemieckiej niewoli, która zakończyła się sławną ucieczką z Montelupich? „Miał ze sobą dużą sumę pieniędzy, ale tisowcy nie dali się przekupić. Zdesperowany rzucił się szczupakiem w okno i rozbijając szybę, zniknął w ciemnościach. Po dwudziestu kilometrach ucieczki znalazł schronienie w zaprzyjaźnionym słowackim domu, po czym wrócił do Zakopanego. Grunt jednak palił mu się pod nogami i ponownie usiłował przedostać się na Węgry, tym razem wspólnie z żoną. Tuż przed granicą z Węgrami ponownie nakryli ich tisowcy i oddali w ręce gestapo" – pisze Miklas.

Po ucieczce na Węgry skorzystał z propozycji wspierania tamtejszych skoków. Pod zmienionym nazwiskiem, jako Stanisław Przystalski, trenował węgierskich skoczków i zjazdowców.

Za Niemca i za Ruska przemyt ludzi przez granicę

W 1945 roku Marusarz wrócił do Zakopanego. Prowadził schronisko turystyczne na Ornaku. Początkowo pozwolono mu normalnie startować. W 1946 roku ponownie został międzynarodowym mistrzem Czechosłowacji w skokach. Zdobył złote medale w mistrzostwach Polski w skokach i w kombinacji. Ale wtedy przypomniał sobie o nim Urząd Bezpieczeństwa, tropiący akowców, z których wielu było więzionych, torturowanych i mordowanych. „Powrót do normalności przerwany został przez komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa. Jego funkcjonariusze dokładnie sprawdzali wszystkich członków polskiego podziemia. Wielu dawnych konspiratorów trafiało do aresztu. Funkcjonariusze zainteresowali się także Stanisławem. Na szczęście Marusarz otrzymał wiadomość o grożącym mu niebezpieczeństwie

eprasa.pl 837dc6b7c9

i przeniósł się do Karpacza. Tam przetrwał niebezpieczny czas" – czytamy w artykule na stronie Muzeum Armii Krajowej.

Waldemar Żyszkiewicz na PrawdaJestCiekawa.pl pisze o tym: „Po wojnie nie było lepiej. Teraz Niemców zaczęli wyręczać komuniści. Nadszedł rok 1946. Staszek z żoną przebywał właśnie w Krakowie, gdy w domu rodziców na Małym Żywczańskiem zjawiło się UB. Ostrzeżony przez siostrę Zofię, prosto z Krakowa »skoczył« do Karpacza, gdzie ukrywał się przez dwa lata". Znów, jak za Niemca, pomagał w przekraczaniu granicy osobom prześladowanym. „Magdalena, młodsza córka Stanisława, pamięta, jak ojciec zwierzał się jej w tajemnicy, że dochowując wierności żołnierskiej przysiędze, także w Karpaczu ułatwiał przekraczanie zielonej granicy osobom prześladowanym, tym razem przez bezpiekę" – pisze Żyszkiewicz.

W 1951 roku wygrał mistrzostwa Polski po raz dziesiąty w karierze. Otrzymał także tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu, a w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego" został sklasyfikowany na piątej pozycji. W 1953 roku wygrał konkurs w Wiśle, triumfował także czterokrotnie w Zakopanem.

W 1957 roku zakończyć karierę. Był potem trenerem i wieloletnim kierownikiem zespołu zakopiańskich skoczni. To za jego czasów wybudowano Średnią Krokiew oraz całkowicie przebudowaną Wielką Krokiew. W 1966 roku został zaproszony do otwarcia konkursu Turnieju Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen. Postanowił skoczyć na nartach. Miał wtedy 53 lata, a w zawodach oficjalnych nie skakał od dziewięciu lat. Decyzja Marusarza wywołała wśród sędziów konsternację. Musiał pożyczyć narty i buty, skoczył jednak w garniturze i krawacie. Organizatorzy podali przez megafony wiek i życiorys polskiego skoczka. Niemieccy kibice żywiołowo dopingowali Polaka. Marusarz osiągnął odległość 66 metrów. Skoczkowie nosili go na ramionach. Niemieckie gazety pisały o fenomenalnym Polaku i niesamowitym człowieku. Marusarz nie ukrywał, że dla niego, na którego Niemcy w czasie wojny wydali wyrok śmierci, to były wyjątkowe chwile…

Potrafił opowiadać o zwierzętach, ptakach i pstrągach

Jak wspomina Żyszkiewicz: „Staszek był niezrównanym gawędziarzem. Nikt, jak on, nie potrafił opowiadać o zwyczajach zwierząt, ptaków. O tym, jak pachną trawy w letnią noc na Przysłopie Miętusim. O łowieniu pstrągów. O polowaniach, które z czasem coraz bardziej zamieniały się w podglądanie zwierząt. Całe noce potrafił spędzać na zbudowanej przez siebie ambonie, na którą »poszedł« cały zapas znajdujących się w domu kijków narciarskich".

Sława Marusarza robiła nawet po latach wrażenie, szczególnie w krajach, w których narciarstwo jest ważnym sportem. „Przez zakopiański dom Ireny i Stanisława przewijało się wiele znakomitości, nie tylko zresztą ze świata sportu… Jednym z nich był prezydent Finlandii Urho Kekkonen. W domowych zbiorach są narty ofiarowane Staszkowi przez fińskiego prezydenta, który sam czynnie uprawiał biegi narciarskie. Marusarz w rewanżu podarował swemu gościowi nóż myśliwski, własnoręcznie wykonany z jeleniego rogu" – pisze Żyszkiewicz.

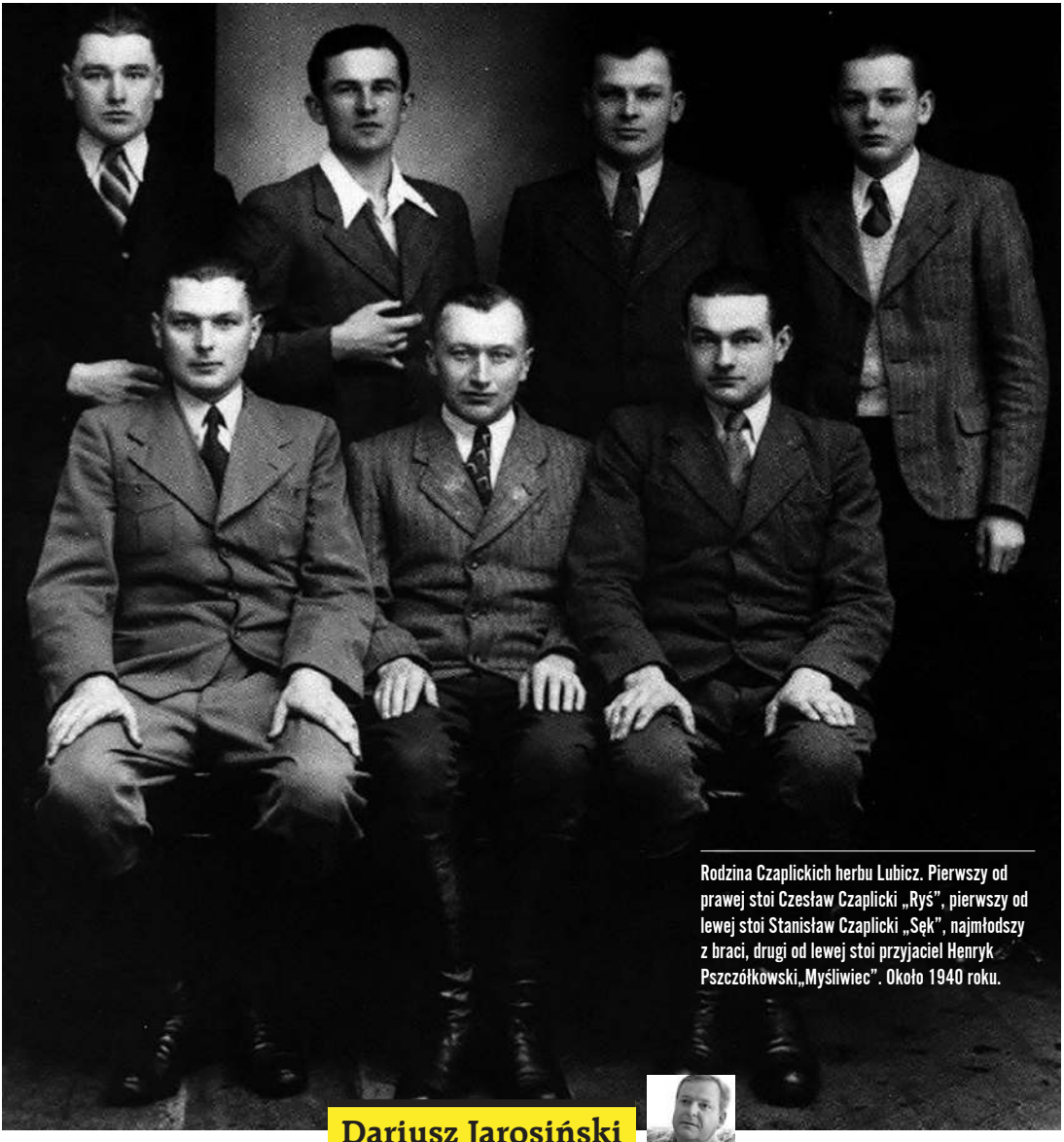
Sam Marusarz podsumowywał: „Gdy spoglądam wstecz, wydaje mi się, że osiągnąłem wiele. Dla siebie i dla naszego sportu. Walkę i rywalizację z najlepszymi o najwyższe trofea dla polskich barw zawsze uważałem za swój patriotyczny obowiązek. I dlatego, wierzę w to gorąco, czerwona czapeczka nie pozostanie jedynym po mnie wspomnieniem. Czerwona czapeczka, nazywana popularnie »marusarką«"…

Wielka Krokiew i cmentarz na Pęksowym Brzyzku

Gdy w 1989 roku Rada Zakopanego postanowiła nadać Wielkiej Krokwi imię Stanisława Marusarza, legendarny skoczek protestował, mówiąc, że za życia nie stawia się pomników. Tak jak niezwykłe było życie Stanisława Marusarza, pełna niezwykłej symboliki była jego śmierć. 29 października 1993 roku wygłaszał przemówienie na pogrzebie Wacława Felczaka – swojego dowódcy z czasów okupacji – na cmentarzu na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem. Nagle osunął się na ręce ambasadora Węgier w Polsce Ákosa Engelmayera.

Zmarł w 1993 roku i został pochowany na tym samym, niezwykłym dla historii Polski cmentarzu. Krzysztof Miklas tak wspomina w książce „Biało-czerwoni" pogrzeb Stanisława Marusarza: „W Kościele Świętego Krzyża, położonym między dwoma zakopiańskimi arteriami, ulicami Chałubińskiego i Zamoyskiego, nie wszyscy oczywiście mogli się pomieścić. Wiele osób spośród stojących na zewnątrz świątyni twierdziło, że w szklanej fasadzie kościoła odbijał się widok Wielkiej Krokwi, choć teoretycznie nie powinno to być możliwe… Kilka miesięcy później dołączyła do »Dziadka« jego ukochana żona Irena". Waldemar Żyszkiewicz pisze zaś: „Nad ich grobem czuwa drewniany krzyż i Madonna namalowana na szkle przez córkę Magdalenę. W sąsiedniej mogile spoczywa Helena Marusarzówna". W 2010 roku prezydent RP Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył Stanisława Marusarza Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9



Rodzina Czaplickich herbu Lubicz. Pierwszy od prawej stoi Czesław Czaplicki „Ryś”, pierwszy od lewej stoi Stanisław Czaplicki „Sęk”, najmłodszy z braci, drugi od lewej stoi przyjaciel Henryk Pszczółkowski„Myśliwiec”. Około 1940 roku.

Dariusz Jarosiński

Życie w potrzasku

eprasa.pl 837dc6b7c9



Kapitan Czesław Czaplicki

Najbardziej wyklętymi przez bolszewię żołnierzami podziemia niepodległościowego byli ci z obozu narodowego – Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Niewielu z nich udało się przeżyć powojenne lata. Byli nie tylko mordowani, poddawani brutalnym torturom, lecz także szkalowani, odzierani z godności. Kampania nienawiści wobec środowisk narodowych trwa do dzisiaj.

FOT. ARCH. WIKIPEDIA, IPN

Przecież to żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych, podobnie jak Armii Krajowej, walczyli o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą, zasługują na poczesne miejsce w panteonie polskich bohaterów narodowych, w przeciwieństwie do Armii Ludowej i Gwardii Ludowej, sowieckich organizacji, które były agenturą Stalina.

Sprawa z najwyższym priorytetem

Sprawie likwidacji podziemia narodowego Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego nadało najwyższy priorytet. Jesienią 1945 roku, we wrześniu i w październiku, Urząd Bezpieczeństwa rozbił całą ogólnopolską strukturę kierowniczą NSZ i większość jej organów terenowych. Ogółem aresztowano prawie 900 żołnierzy NSZ, w tym około 100 członków sztabów obszarów i okręgów oraz Komendy Głównej. Aresztowania udało się jedynie uniknąć komendantowi głównemu NSZ, gen. Zygmuntowi Broniewskiemu „Boguckiemu", który szczęśliwie przedostał się na Zachód.

Z badań Zbigniewa Siemaszki, nieżyjącego już historyka, emigracyjnego pisarza, autora książki o Narodowych Siłach Zbrojnych, wynika, że tuż po wojnie w 18 procesach publicznych skazano na śmierć 66 przywódców podziemia NSZ, wśród nich m.in. ostatniego komendanta głównego NSZ, płk. Stanisława Kasznicę „Bolesławskiego" (został komendantem w sierpniu 1945 roku po wyjeździe gen. Broniewskiego na Zachód) oraz szefa sztabu NSZ, ppłk. pilota Piotra Abakanowicza „Barskiego". Ponadto w nieznanej liczbie przypadków prowincjonalne sądy komunistyczne niemal automatycznie skazywały żołnierzy NSZ na śmierć, na przykład 27 lutego 1946 roku Sąd Okręgowy w Siedlcach na sesji wyjazdowej w Ostrowi Mazowieckiej „skazał na karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich i honorowych" 11 żołnierzy NSZ. Wyrok wykonano nazajutrz.

Wielu żołnierzy podziemia narodowego opuściło więzienia dopiero w latach 70. ubiegłego wieku. Porucznik Kazimierz Poray-Wybranowski „Kret", oficer NSZ, w komunistycznych więzieniach spędził 18 lat – od 1952 do1970 roku, przeszedł potworne tortury podczas przesłuchań, na przykład wpychano mu nogę od stołka w odbytnicę, do nosa wlewano terpentynę.

Leszek Żebrowski, historyk podziemia narodowego, wydobył z mroków historii postać Franciszka Cieślaka „Wilczura", który najdłużej przebywał w komunistycznych więzieniach, bo 21,5 roku! „Wilczur" pochodził z gminy Regimin w powiecie ciechanowskim na północnym Mazowszu. Odznaczał się niesłychaną wręcz odwagą, w 1939 roku zapisał się na listę „żywych torped" (była to grupa kilkudziesięciu ochotników do samobójczych misji morskich przeciwko Niemcom), wal-

eprasa.pl 8d7dc6b7c9

czył jako ochotnik w obronie Modlina. Po ucieczce z niemieckiego obozu jenieckiego, wstąpił do Armii Krajowej. Po najeździe Sowietów na Polskę walczył w oddziałach Ruchu Oporu Armii Krajowej (ROAK), m.in. por. Stanisława Bali „Sowy", a później w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym. Jego oddział NZW został rozbity pod koniec listopada 1946 roku, a on sam ciężko ranny trafił do aresztu. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z 12 grudnia 1947 roku został skazany na karę śmierci, zamienioną na mocy tzw. amnestii na 15 lat więzienia. Ostatni żołnierze NZW z jego oddziału, którym dowodził por. Wacław Grabowski „Puszczyk", zginęli 5 lipca 1953 roku w walce z 1300-osobową grupą operacyjną UB–KBW w miejscowości Niedziałki w powiecie mławskim.

Pod koniec 1956 roku Franciszek Cieślak został warunkowo zwolniony z więzienia. Nigdy nie pogodził się z tym, że Polską rządzą bandyci spod znaku sierpa i młota, powrócił więc wkrótce do konspiracji. Z byłymi żołnierzami NZW, którzy podobnie jak on wyszli z więzień lub byli nieujawnieni, zorganizował oddział zbrojny w okolicach Mławy. W czerwcu 1957 roku po akcji na posterunek MO, na skutek niefrasobliwości jednego z partyzantów, grupa została rozbita, a Franciszek Cieślak trafił na pięć lat do więzienia. Więzienie opuścił w 1962 roku z nakazem przymusowej pracy w gdańskim przedsiębiorstwie budowlanym. Nie zrezygnował jednak z walki z bolszewią, w 1964 roku zorganizował grupę opozycji antykomunistycznej opartą na zasadach konspiracji w Armii Krajowej. We wrześniu 1965 roku został aresztowany po raz trzeci i skazany przez Sąd Wojewódzki w Gdańsku na karę 12 lat więzienia. Został oskarżony o „założenie nielegalnego związku, mającego na celu działalność antypaństwową, polegającą na planowaniu gwałtownych zamachów na działaczy partyjnych, wysyłaniu do nich listów z pogróżkami oraz werbowaniu do tego związku innych osób".

Dzięki staraniom mecenasa Władysława Siły-Nowickiego, a także interwencji prymasa Stefana Wyszyńskiego, został zwolniony z więzienia w maju 1972 roku. Brutalne śledztwa sprawiły, że był wrakiem człowieka, inwalidą, miał na przykład połamane wszystkie palce rąk, jego palce wygięte były w drugą stronę. Żył w nędzy, pod ścisłą kontrolą bezpieki, szykanowany, wyszydzany. Zapewne gdyby zdrowie mu pozwoliło, walczyłby dalej z komuną. Dopiero po roku 1989 zaczął otrzymywać najniższą możliwą rentę. Zmarł w 1996 roku.

Podobny los jak żołnierzy NSZ czy NZW spotkał również polityków, działaczy obozu narodowego, jedynie Bolesławowi Piaseckiemu i jego środowisku udało się, dzięki pójściu na współpracę z komunistami, ocalić głowy. Jednak zemsta nie ominęła Piaseckiego. 22 stycznia 1957 roku porwany został w drodze do domu ze szkoły jego 16-letni syn Bohdan. Zwłoki Bohdana znaleziono przypadkowo prawie dwa lata później w jednej z piwnic warszawskich. Sekcja zwłok wykazała, że chłopiec został okrutnie zamordowany jeszcze w dniu porwania.

„Kochajcie Pana Boga, kochajcie Polskę"

Aby przeżyć, uniknąć strzału w tył głowy, piekła tortur, żołnierze podziemia narodowego, zresztą podobnie jak AK-owcy, zmuszeni byli często do zmiany tożsamości, ukrywania się. Nielicznym udało się zataić swoją przeszłość, co umożliwiło im przeżycie, tak uratował się na przykład pchor. Bohdan Szucki „Artur" czy por. Antoni Krężlewski „Strażyc". Nie tylko oni sami płacili wysoką cenę za to, że walczyli z Niemcami i bolszewią o wolną Polskę, lecz także ich rodziny, bliscy. Surowo karano każdego, kto w jakikolwiek sposób był związany z NSZ-owcami.

Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej NSZ, walczący z Niemcami i komunistami, po wycofaniu się na Zachód, powszechnie ukrywali swoją tożsamość, zmieniali nazwiska, ponieważ nie byli bezpieczni nawet tam. Agenci NKWD i UB dokonali kilku skrytobójczych zamachów na nich i ich rodziny. Dowódca, płk Antoni Szacki „Bohun", cudem uniknął śmierci z rąk komunistycznego zamachowca we Francji, musiał szukać bezpieczeństwa pod przybranym nazwiskiem w USA.

Andrzej Kiszka „Dąb", rocznik 1921, partyzant Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, należał do konspiracji niepodległościowej od 1941 roku w powiecie biłgorajskim na Lubelszczyźnie. Jesienią 1944 roku zagrożony aresztowaniem i zesłaniem na Syberię, wstąpił do oddziału kpt. Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka". Brał udział we wszystkich akcjach, potyczkach oddziału. Najbardziej krwawą bitwę oddział „Wołyniaka" stoczył 7 maja 1945 roku z formacjami NKWD i UB pod Kuryłówką. W bitwie, trwającej 10 godzin, zginęło 57 enkawudzistów i siedmiu partyzantów. Bitwa ta została upamiętniona na jednej z tablic na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Po śmierci „Wołyniaka" 29 grudnia 1946 roku, dowództwo nad oddziałem przejął jego zastępca, Adam Kusz „Garbaty". W połowie sierpnia 1950 roku oddział „Garbatego" został rozbity w Lasach Janowskich przez grupę operacyjną UB–KBW. Andrzejowi Kiszce szczęśliwie udało się wydostać z obławy. Przez ponad dwa lata ukrywał się wspólnie z trzema innymi partyzantami ocalałymi z oddziału „Garbatego", a później, od połowy listopada 1952 roku, już cały czas samodzielnie. Jesienią 1953 roku z pomocą dwóch kolegów zbudował w Lasach Janowskich niedaleko wioski Ciosmy w powiecie biłgorajskim świetnie zamaskowany bunkier.

„W bunkrze można było stać, miał ze dwa metry wysokości – wspominał po latach Andrzej Kiszka. – Z deszczułek zrobiłem dwa wywietrzniki: na wywiew i na-

eprasa.pl 837dc6b7c9

wiew, żeby przepływało świeże powietrze, było więc czym oddychać i mogła się palić lampa naftowa. […] W środku była studzienka, z półtora metra głęboka […] Miałem zapasy jedzenia na zimę: ziemniaki, makaron, suchary. Mięso było z upolowanych koziołków, dawałem je tym ludziom, którzy mi pomagali, oni mięso ugotowali, zalali smalcem, starczyło na całą zimę. Na zimę zamykałem się w bunkrze i z niego nie wychodziłem, żeby nie zostawiać śladów na śniegu. Mogłem wyjść tylko wtedy, kiedy padał śnieg i zaraz zasypał ślady. W bunkrze było ciepło, całą zimę siedziałem w koszuli. Jedzenie i gazety dostarczał mi Bożek. Jechał koniem do lasu, żeby ściąć drzewo. Specjalnie robił wtedy dużo śladów, że niby szukał tego drzewa. Było umówione, że uderzy trzy razy siekierą w dużą sosnę, która rosła koło bunkra. Kiedy usłyszałem uderzenia, uchylałem pokrywę, a on podawał mi jedzenie, gazety. Miałem różne książki i stare czasopismo »Bluszcz«, dużo czytałem. […] wiosną i latem byłem panem swoich lasów".

Ubecy stosowali wobec rodziny „Dęba" bandyckie metody, aby dowiedzieć się, gdzie on przebywa. Ojciec i brat zmarli na skutek odniesionych ran podczas przesłuchań ubeków, w sposób okrutny mszczono się na wszystkich bez wyjątku członkach rodziny, nawet tej dalszej. Zdewastowano rodzinny dom, rozebrano piece, podłogi, rozbito meble. Podobny los spotkał rodzinę jego ostatniego dowódcy, Adama Kusza „Garbatego". Bracia Adama, choć nie należeli do podziemia, zostali zamordowani przez UB, a ojciec zmarł na Syberii.

Andrzej Kiszka „Dąb" został ujęty przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa 30 grudnia 1961 roku, po wielu latach prowadzonych działań operacyjnych z użyciem agentury. Nie bronił się, choć posiadał pokaźny arsenał broni.

Peerelowski sąd potraktował partyzanta zasłużonego dla polskiej wolności jak pospolitego bandytę i skazał najpierw na karę śmierci, później karę dożywotniego więzienia, zamienioną następnie przez Sąd Najwyższy na 15 lat więzienia; ostatecznie w więzieniu spędził dziewięć lat. „Bolało mnie, że nazywają mnie zdrajcą, bo zdrajcami byli inni, ci, którzy mnie oskarżali" – mówił z goryczą po latach.

III RP również nie dostrzegła zasług Andrzeja Kiszki dla Polski, do dzisiaj sąd nie uznał jego prawa do rehabilitacji, bowiem wedle przepisów prawa podziemie niepodległościowe, antykomunistyczne istniało jedynie do 31 grudnia 1956 roku. Czyżby według prawodawców później odzyskaliśmy już niepodległość i nie było komunizmu? Inaczej Andrzeja Kiszkę potraktowało Ministerstwo Obrony Narodowej, bo otrzymał on awans do stopnia pułkownika.

Po roku 1989 Andrzej Kiszka zwrócił się w jednym z wywiadów do Polaków słowami, które można potraktować jako jego przesłanie: „Kochajcie Pana Boga, u niego zawsze można znaleźć siłę do przetrwania, a nawet wiarę w ludzi, on jest sprawiedliwością. Kochajcie Kościół, który był i jest ostoją polskości. W partyzantce, w więzieniu w UB, wszędzie byli z nami księża. Kochajcie Polskę, jej lasy, pola, łąki, wsie, miasta. Polska to nasze życie, bez niej żyć się nie da".

Przejmujące słowa, zważywszy na to, że wypowiedział je człowiek mocno doświadczony przez los, który osiem lat ukrywał się samotnie, z czego siedem w leśnym bunkrze, i dziewięć lat spędził w więzieniu. Andrzej Kiszka zmarł w czerwcu 2017 roku.

Przeciw dwóm wrogom

Porucznik Czesław Czaplicki „Ryś", rocznik 1922, oficer Narodowych Sił Zbrojnych, poszukiwany listem gończym przez Urząd Bezpieczeństwa, nie ukrywał się w bunkrze czy w innej kryjówce, a funkcjonował w tzw. normalnym życiu ze zmienioną tożsamością, pod fałszywymi nazwiskami. Jego życie pełne było sensacyjnych, niewiarygodnych zdarzeń.

Pochodził z drobnoszlacheckiej rodziny herbu Lubicz z miejscowości Zacisze w powiecie Przasnysz. Rodzice Czesława sympatyzowali z Narodową Demokracją, byli aktywnymi działaczami Akcji Katolickiej, przekazali swoim dzieciom – czterem córkom i sześciu synom – miłość do Boga i ojczyzny. Z powiatu przasnyskiego pochodzili m.in.: święty Stanisław Kostka; prymas ks. kardynał Aleksander Kakowski, członek Rady Regencyjnej, jeden z ojców polskiej niepodległości; Henryk Kakowski, poseł Stronnictwa Narodowego, zamordowany przez Niemców w czasie wojny; Stanisław Chełchowski, uczony, etnograf, działacz Ligi Narodowej i Narodowej Demokracji, poseł z guberni płockiej do I Dumy Rosyjskiej w Petersburgu. W powiecie przasnyskim komuniści przed wojną nie ujawniali się.

Czesław ukończył przed wojną gimnazjum w Przasnyszu. Po wybuchu wojny wszyscy bracia Czapliccy przystąpili do lokalnego ugrupowania konspiracyjnego Organizacja Wojskowa (OW). Czesław odbył szkolenie młodej kadry oficerskiej i podoficerskiej tajnej podchorążówki. Już jako plutonowy podchorąży pseudonim „Ryś" został w 1943 roku zastępcą dowódcy oddziału dywersyjno-sabotażowego do walki, samoobrony i odwetu w ramach Akcji Specjalnej Narodowych Sił Zbrojnych, dowódcą był sierż. Henryk Pszczółkowski „Myśliwiec", pochodzący z Przasnysza, przyjaciel z gimnazjum. Podobne grupy dywersyjno-sabotażowe istniały we wszystkich powiatach II Okręgu Mazowsze Północ NSZ. Najbardziej bojową grupą był oddział ppor. Romana Dziemieszkiewicza „Adama", starszego brata Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja", z powiatu ostrołęckiego. Oddział wykonał wiele brawurowych akcji dywersyjnych na terenach województwa warszawskiego, białostockiego, a także

eprasa.pl 837dc6b7c9

Prus Wschodnich. Część akcji oddział „Myśliwca" i „Rysia" przeprowadził wspólnie z oddziałem „Adama".

„W naszej działalności ważną rolę odgrywał Kościół – wspominał po latach Czesław Czaplicki. – Przede wszystkim podtrzymywał społeczeństwo na duchu […]. Księża najczęściej należeli do podziemnych organizacji lub współpracowali z nimi. Udzielali ukrywającym się kwater, a do spotkań pomieszczeń. Każdego księdza uważało się za »swojego człowieka« bez względu na jego przynależność organizacyjną".

W czerwcu 1944 roku doszło do włączenia NSZ do AK, co Czesław przyjął „z zadowoleniem", jak pisał we wspomnieniach. Nierzadkie były przypadki, przynajmniej w powiecie przasnyskim, że rodzice należeli do AK, a ich dzieci do NSZ.

Po zajęciu przez Sowietów północnego Mazowsza w styczniu 1945 roku pojawili się miejscowi „sympatycy" bolszewii. Funkcję komendanta Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Przasnyszu objął Ignacy Trams, w działaniach wspierał go Stanisław Niszczota, granatowy policjant z czasu okupacji niemieckiej, komendantem Milicji Obywatelskiej został Marian Sobolewski, nazywający się faktycznie Gorączko, najprawdopodobniej współpracownik Gestapo, a nad wszystkim czuwała sowiecka komenda wojenna. Piwnice UB zapełniły się młodymi żołnierzami podziemia niepodległościowego.

Wiosną 1945 roku, po rozwiązaniu AK, żołnierze NSZ powrócili do swojej starej nazwy. W kwietniu na murach domów i na parkanach w Przasnyszu pojawiły się napisy: „Pod sąd AK i NSZ!", „Śmierć faszystom spod znaku NSZ i AK, zaplutym karłom reakcji!", doszło także do dużej fali aresztowań. Kapitan Stanisław Borodzicz „Wara", szef sztabu Okręgu Mazowsze Północ NSZ, podjął decyzję o odbiciu żołnierzy AK i NSZ z więzienia Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnosielcu w powiecie Maków Mazowiecki, bowiem istniało duże zagrożenie, że więźniowie zostaną zamordowani lub wywiezieni na Syberię.

Na dowódcę akcji wyznaczony został por. Roman Dziemieszkiewicz, który w czasie okupacji sowieckiej przyjął pseudonim „Pogoda", a na zastępcę „Pogody" ppor. Czesław Czaplicki „Ryś". W nocy z 1 na 2 maja 1945 roku żołnierze weszli do Krasnosielca i zablokowali wszystkie drogi wylotowe. Po krótkiej wymianie ognia z piwnic aresztu uwolniono 42 więźniów, żołnierzy AK i NSZ. W czasie akcji po stronie partyzantów zginął ppor. Henryk Pszczółkowski „Myśliwiec", główny organizator akcji, dowódca przasnyskiego oddziału NSZ. „Myśliwiec" dowództwo przejął jako 18-letni żołnierz po poległym bracie Zdzisławie ps. „Pomian", obaj bracia w momencie śmierci mieli 21 lat, obaj byli najbliższymi przyjaciółmi „Rysia". „Myśliwiec" został pośmiertnie odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari. W czasie walki zginęło pięciu ubeków, kilkunastu zostało rannych, czterech ubeków zostało rozstrzelanych tuż po akcji.

Nowe dokumenty, nowe życie

W czerwcu 1945 roku „Ryś" został dowódcą przasnyskiego oddziału powiatowego NSZ. Jego żołnierze wymierzali kary konfidentom i zdrajcom, wykonali kilka wyroków śmierci na funkcjonariuszach PPR, UB, MO. Działalność ta nie trwała jednak długo, bo Warszawski Okręg NSZ wydał 16 lipca decyzję o rozwiązaniu oddziałów NSZ na północnym Mazowszu. Ci żołnierze, którzy zdecydowali się na dalsze prowadzenie walki, podporządkowali się powstałej Komendzie Okręgu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, której komendantem został kpt. Zbigniew Kulesza „Młot".

Wielu żołnierzy z oddziału „Rysia" wyjechało na Ziemie Odzyskane, próbowało zatrzeć za sobą ślady, ci, którzy wrócili do swoich rodzinnych domów i ujawnili się, najczęściej zginęli w skrytobójczych zamachach. Porucznik Roman Dziemieszkiewicz „Pogoda" został zamordowany na jesieni 1945 roku przez sowieckich zbirów na ulicy Ciechanowa. Jego młodszy brat, 20-letni Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój," na wieść o śmierci brata zorganizował oddział partyzancki NZW, który operował na terenie powiatu przasnyskiego, makowskiego i ciechanowskiego, dał się mocno we znaki bolszewikom. Legendarny dowódca, postrach komunistów, zginął w kwietniu 1951 roku w walce z 300-osobową grupą operacyjną UB i KBW.

Zdaniem Czesława Czaplickiego to komunistyczna władza wypędziła do lasu tysiące ludzi zagrożonych śmiercią lub więzieniem.

„Ryś" z pomocą osób zaufanych rozpuścił plotkę w Przasnyszu i okolicy, że zginął wraz z bratem w potyczce z UB koło Gruduska 2 sierpnia 1945 roku. Ba, znalazł się nawet ubek o nazwisku Rogowski, który chwalił się, że obaj „bandyci" zginęli z jego ręki. Brat „Rysia", Stanisław Czaplicki ps. „Sęk", rzeczywiście zginął, Czesław zaś wyjechał do Torunia, gdzie pod nazwiskiem Mirosław Chodkowski, jako tzw. repatriant z Wilna, rozpoczął nowe życie. W toruńskim liceum zdał maturę. W 1948 roku wyjechał z Torunia do Szczecina, gdzie został przyjęty do Szczecińskiej Akademii Handlowej i podjął pracę w Polskiej Agencji Drzewnej „Paged".

Przasnyska bezpieka nie dała się jednak zwieść opowieści o śmierci „Rysia", uruchomiła agenturę, a także wypuściła agenta tropiciela, Stefana Lewandowskiego, który go znał. Lewandowski liczył na zgarnięcie wysokiej nagrody za ujęcie „Rysia". Okazał się sprawnym szpiclem, bo dotarł do Szczecina i z pomocą milicjantów aresztował go. Jednak „Rysiowi" udało się przechytrzyć szczecińskich milicjantów oraz ubeckiego agenta i uciec z komisariatu MO. W przebraniu kobiecym, w damskim

eprasa.pl 837dc6b7c9

płaszczu, chustce na głowie i okularach, Czesław wyjechał do Warszawy. Pierwsze swoje kroki skierował do kościoła św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu, aby podziękować Bogu za cudowne ocalenie.

W Warszawie zdobył dokumenty na nazwisko Zbigniew Rylski, mocno odmłodzony metrykalnie zaczął nowe życie. Aby zdezorientować ubeków, poprosił znajomych o wysłanie z Londynu kartek pocztowych do koleżanki i kolegi z firmy „Paged" w Szczecinie, pozorując, że niby uciekł za granicę, choć jak zawsze mówił, matki i ojczyzny nie opuszcza się, kiedy potrzebują pomocy. W grudniu 1950 roku dostał skierowanie do pracy we Wrocławiu w Okręgowym Przedsiębiorstwie Polskich Zakładów Zbożowych. Dobrze mu się tam pracowało, uzyskał nawet tytuł „przodownika pracy". Nawiązał też bliższe relacje z koleżanką z pracy Marią Rozynek.

Najciemniej pod latarnią

Odmłodzony o dziewięć lat w dokumentach, w których miał wpisaną datę urodzenia 1931 rok, na jesieni 1951 roku Czesław dostał powołanie do wojska. On, oficer Narodowych Sił Zbrojnych, został wzięty w kamasze do sowieckiego wojska! Trafił do Brygady Wojsk Ochrony Pogranicza w Kętrzynie, które podlegały w owym czasie ministrowi bezpieczeństwa publicznego Radkiewiczowi. Tutaj skierowano go do znajdującej się po sąsiedzku, tuż za płotem, Szkoły Oficerskiej WOP, której komendantem był Rosjanin o nazwisku Romanow, niemówiący po polsku. Długo nie zniósł bolszewickich bredni, symulował więc chorobę i został ze szkoły zwolniony. Powrócił do Brygady, gdzie powierzono mu funkcję kierownika tajnej kancelarii jednostki! Miał dostęp do ściśle tajnych informacji! W 1953 roku został powołany rozkazem dowódcy Brygady na kuriera przewożącego tzw. spec pocztę, korespondencję między Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego a Brygadą WOP w Kętrzynie. W tym samym czasie rozesłane były za Czesławem Czaplickim listy gończe ze zdjęciem do Urzędów Bezpieczeństwa i komend Milicji Obywatelskiej na terenie całego kraju.

Po odbyciu służby wojskowej powrócił do Wrocławia. W sierpniu 1955 roku w kaplicy ojców oblatów wziął ślub z Marią Rozynek, której wcześniej wyjawił swoje życiowe tajemnice. Wymagane dokumenty do zawarcia ślubu kościelnego wystawił i podpisał ksiądz Szczepan Soszyński, były kapelan przasnyskiej organizacji NSZ. W niedługim czasie przyszły na świat dzieci.

„Ryś" nie kontaktował się z rodziną, nie uczestniczył w pogrzebie matki i ojca, miał świadomość, że komuniści mu nie odpuścili i nie może się czuć bezpiecznie nawet po tzw. odwilży październikowej w 1956 roku.

Czesław Czaplicki został aresztowany 8 marca 1963 roku. Na jego ślad nieświadomie naprowadziła esbeckich szpicli siostra, Halina Duczymińska z Olsztyna, która odwiedziła brata we Wrocławiu. Cały czas zatem rodzina „Rysia" musiała być pod obserwacją. 18 lat! Co jakiś czas też ktoś z rodziny, najczęściej brat Wacław, był aresztowany i bity do nieprzytomności, aby wyjawił miejsce pobytu Czesława. Do piwnicy, w której przetrzymywany był Wacław Czaplicki, wpuszczano głodne szczury.

Po wstępnym przesłuchaniu „Ryś" został przewieziony do warszawskiego więzienia przy ulicy Rakowieckiej. Nadzorujący śledztwo prokurator Rataj, stary ubek, nie ukrywał: „Gdybyśmy dorwali pana przed październikiem 1956 roku, ślad by z pana nie pozostał! Ale obecnie najwyższy wymiar kary także pana nie minie! Hak jest dla pana przygotowany!".

17 czerwca 1964 roku Czesław Czaplicki został skazany na 15 lat więzienia. Dzięki amnestii wyszedł na tzw. wolność po pięciu latach. W 1975 roku ukończył studia we wrocławskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej. Po sierpniu 1980 roku włączył się aktywnie w budowę struktur Solidarności, był członkiem Zarządu Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność". 13 grudnia 1981 roku został internowany i przebywał w Darłówku. Po wyjściu z internowania prowadził działalność w podziemiu. Po roku 1989 był bardzo aktywny społecznie, należał m.in. do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Akcji Wyborczej „Solidarność", organizował struktury Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych.

Od 1991 roku czynił starania o unieważnienie komunistycznych wyroków sądowych. Jak już wspominałem, prawodawcy nie przewidzieli, że byli w Polsce żołnierze wyklęci, którzy zmagali się z bolszewią po 1956 roku. Dopiero 21 stycznia 1997 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie unieważnił wyroki Sądu Wojewódzkiego i Sądu Najwyższego z 1964 roku.

Czesław Czaplicki zmarł 16 lipca 2006 roku.

***

Układ zawarty przez część środowisk opozycyjnych z komunistami w Magdalence sprawił, że po roku 1989 komunistyczni zbrodniarze stali się bezkarni, nie odpowiedzieli za swoje zbrodnie. Towarzysz Włodzimierz Czarzasty powtarza narrację komunistów z lat 40. ubiegłego wieku, że okupacja sowiecka to było wyzwolenie Polski, a żołnierze podziemia niepodległościowego byli bandytami. Haniebne słowa. Od państwa polskiego winniśmy wymagać ochrony naszych bohaterów narodowych. Ale gdzie jest to polskie państwo? ■

Źródła: Czesław Czaplicki, „Poszukiwany listem gończym", Wydawnictwo NORTOM, Wrocław 2004; Bartłomiej Ilcewicz, „Żołnierz nadal Wyklęty. Kpt. Andrzej Kiszka »Dąb«", Wyklęci, kwartalnik nr 2, 2016.

eprasa.pl 837dc6b7c9



Agnieszka Kowalczyk

Karoliny Lanckorońskiej rozmowy z katami. Część II

eprasa.pl 837dc6b7c9

Karolina Lanckorońska była dumną Polką, której nie zdołali pokonać ani bolszewicy, ścigający ją we Lwowie, ani hitlerowcy, którzy przetrzymywali ją w kolejnych więzieniach, a potem w Ravensbrück. Polką, która umiłowała swoją ojczyznę ponad wszystko i z myślą o niej przeciwstawiła się niszczycielskim totalitaryzmom. I to ona odniosła nad nimi ostateczne zwycięstwo.

W obliczu najazdu Niemców i Sowietów na Polskę już w styczniu 1940 roku prof. Karolina Lanckorońska, wybitna historyczka sztuki związana z uniwersytetem we Lwowie, wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej, by stanąć w szranki z wrogami Rzeczypospolitej. Działała jako konspiratorka pod rozkazami płk. Tadeusza Komorowskiego „Bora", a także jako wolontariuszka Polskiego Czerwonego Krzyża, niosąc samarytańską pomoc rannym i chorym jeńcom. Najważniejszą jednak wojenną misją, jakiej się podjęła, było roztoczenie opieki nad 27 tys. więźniów z całej Generalnej Guberni. Od połowy 1942 roku stała się mózgiem i sercem zakrojonej na szeroką skalę akcji Rady Głównej Opiekuńczej, która polegała na zbiorowym dożywianiu i dostarczaniu wszelkiej możliwej pomocy więźniom, wśród których znalazły się niezliczone rzesze umierających z głodu i poddawanych torturom polskich patriotów. Każde więzienie – w Jaśle, Sanoku, Nowym Sączu, Częstochowie, Piotrkowie Trybunalskim, Lwowie czy w wielu jeszcze innych miastach – stało się dla niej twierdzą do zdobycia. Za każdym razem musiała mierzyć się z katami – panami życia i śmierci setek uwięzionych, by wymóc zgodę na dożywianie i przesyłanie więźniom najpotrzebniejszych rzeczy. Jej niebywała odwaga i determinacja, a do tego arystokratyczne pochodzenie i perfekcyjna znajomość języka niemieckiego sprawiły, że niemal każda rozmowa kończyła się jej moralnym zwycięstwem. Wtedy do więzienia wjeżdżały wielkie kotły z gorącą zupą, a potem paczki z żywnością, lekarstwami, kocami i środkami higienicznymi.

Stanisławów

Przewrotny los sprawił jednak, że niosąca pomoc ofiarom niemieckiego okupanta Karolina sama stała się więźniem za sprawą niemieckiego zbrodniarza wojennego Hauptsturmführera SS Hansa Krügera, szefa gestapo w Stanisławowie, który miał na sumieniu wymordowanie 250 Polaków – przedstawicieli stanisławowskiej inteligencji, ponad 10 tys. Żydów oraz 23 profesorów lwowskich wraz z rodzinami. Choć nie została zdemaskowana jako członek akowskiego podziemia i cały czas działała legalnie z ramienia RGO, stała się w oczach władz niemieckich niewygodnym świadkiem ich zbrodni, depozytariuszką tajemnicy mordu na uczonych lwowskich w 1941 roku, którą zdradził jej podczas przesłuchania sam Krüger. Ten, pałając nienawiścią do Polaków i nie mogąc znieść patriotyzmu i niezłomnego charakteru Lanckorońskiej, nie bał się wyznać jej prawdy, przekonany, że nie wyjdzie żywa z rąk Niemców.

Krüger co jakiś czas zaglądał do celi Lanckorońskiej, ale widząc, że jest nieprzejednana i że nie chce przyznać się do pracy konspiracyjnej, o którą ją podejrzewał, wpa-

FOT. MUZIP.PL

837dc6b7c9

dał w jeszcze większą furię. W końcu rozkazał umieścić ją w ciemnicy. Ona zaś uznała, że to pewnie ostatni etap przed „podwórkiem", na którym rozstrzeliwano co jakiś czas skazańców. Pozostawiona sama w tym „Krügerowskim grobowcu" wyobrażała sobie, że zwiedza najsłynniejsze galerie malarstwa – Wiedeń, Prado, Luwr, a potem – Uffizi i Wenecję, co pozwalało jej przetrwać.

Kiedy po tygodniu opuściła swą izolatkę wychudzona i blada, Krüger nakazał zamknąć ją w zbiorowej celi, gdzie panowały „zaduch, gorąco i zapach tłumu nieumytych i chorych". Za ścianą dało się słyszeć krzyki i rzężenie konających. Codziennie wynoszono stamtąd jednego lub dwa trupy zagłodzonych… Potem przyszły jedne z tych strasznych dni, gdy kobiety wywoływano z cel, a pod więzienie przyjeżdżały ciężarówki, które wiozły je do lasku, na egzekucję.

Pewnej nocy strażnik wywołał też Lanckorońską. „Miałam w tej chwili tylko jedno jedyne uczucie wielkiego żalu, że muszę ginąć w nocy, w ciemnościach, a nie w dzień, w świetle, w słońcu […]. Byłam zupełnie pewna śmierci i zupełnie spokojna" – wyznawała. Doprowadzono ją do biura w głównym gmachu więziennym, gdzie po przesłuchaniu przez oficera, kazano jej podpisać protokół. Wiedziała, że przed straceniem każdy więzień dopełniał tej formalności, bo oznaczała ona zakończenie jego sprawy. Tym razem jednak odesłano ją z powrotem do celi, a następnego dnia znów wywołano, obwieszczając, że… wychodzi na wolność! Gdy przekroczyła próg, a drzwi zatrzasnęły się za nią, półprzytomna wsiadła do czekającego na nią samochodu gestapo.

Lwów

Był 8 lipca 1942 roku. Niemcy wieźli ją do Lwowa. Nie mogła się nasycić uczuciem wolności i pięknem mijanych ojczystych krajobrazów – tak bliskich jej złotych pól, wiejskich chałup, kościołów i cerkwi, wreszcie Dniestru – rzeki jej młodości. W końcu zatrzymali się przed centralą Gestapo przy ul. Pełczyńskiej. Szukali komisarza Kutschmanna, ale go nie zastali. Z każdą chwilą Karolinę ogarniał coraz większy niepokój, bo zamiast obiecanej wolności nadal pozostawała w rękach wroga. Wreszcie strażnik pod bagnetem zaprowadził ją do głównego więzienia przy ul. Łąckiej i zamknął w celi przejściowej. Wyczerpana do granic rzuciła się na lepką od brudu podłogę i zaraz zasnęła.

W końcu doprowadzono ją do komisarza Waltera Kutschmanna, podporucznika SS, który do marca 1942 roku był szefem referatu IV (odpowiedzialnego za zwalczanie polskiego podziemia) na Posterunku Policji Granicznej w Drohobyczu. Podczas przesłuchania pytał ją o oświadczenie, jakie złożyła przed Krügerem, twierdząc, że uznaje tylko niepodległe państwo polskie i jest wrogiem Niemiec. Lanckorońska stwierdziła, że nie mogła powiedzieć inaczej, by nie narazić swojego honoru, a Krüger wymagał od niej wyłącznie odpowiedzi: „tak" lub „nie". Od Kutschmanna dowiedziała się też, że swoje życie zawdzięcza interwencji włoskiej rodziny królewskiej, która wstawiła się za nią u Heinricha Himmlera.

Mimo że Karolina Lanckorońska stała się znów więźniem, postanowiła wykorzystać swoją pozycję i wydać wojnę Krügerowi – mordercy stanisławowskiej inteligencji i lwowskich profesorów. Zamierzała wykorzystać wrogi stosunek Kutschamanna do Krügera, aby „uwolnić szmat swojej ziemi ojczystej od tego kata". Dlatego odważyła się na przesłuchaniu wyjawić, że za zamordowanie profesorów lwowskich odpowiada właśnie Krüger, który sam jej o tym powiedział. Kutschmann zaproponował spisanie protokołu w tej sprawie. Lanckorońska zgodziła się i na piśmie przedstawiła wszystkie fakty, zaś komisarz zobowiązał się zawieźć osobiście dokument do Berlina i okazać go najwyższym władzom jako koronny dowód przeciwko Krügerowi. Oprócz tego przygotowała też pismo w obronie własnej, w którym przekazała wszystkie obciążające go informacje. Odtąd, choć niewinna, musiała pozostać we Lwowie jako więzień aż do wyjaśnienia sprawy.

Tymczasem zamiast celi otrzymała osobny pokoik z dużym oknem bez krat. Miała też możliwość swobodnego poruszania się po oddziale kobiecym więzienia. Dlatego postanowiła jak najlepiej wykorzystać swoje uprzywilejowane położenie. Zaangażowała się w pomoc współwięźniarkom, mając pozwolenie na obchodzenie cel i rozdawanie leków oraz robienie opatrunków. W związku z tym, że miała dostęp do „nieograniczonej ilości prowiantu", przysyłanego jej przez opiekę więzienną komitetu RGO, organizowała potajemne dożywianie, w które włączyły się również strażniczki Polki, szmuglując żywność do poszczególnych cel. Jeszcze nie tak dawno panowały tu przerażające warunki: „Tyfus plamisty szalał w tym więzieniu, gdzie rano, po nocy, wynoszenie trupów stanowiło dużą trudność techniczną, z powodu konieczności przeskakiwania przez chorych, by z trupem, pokrytym nieraz wrzodami, dostać się do drzwi. Brak wody, brud fenomenalny, miliony wszy i innego robactwa oraz głód ostateczny panowały w tym gmachu". Sytuacja poprawiła się dopiero dzięki akcji dożywiania RGO, która przysyłała do lwowskiego więzienia trzy razy w tygodniu kotły z zupą mięsną oraz zbawienną dla zdrowia cebulę.

Niedługo jednak położenie Lanckorońskiej zmieniło się diametralnie. Wydano bowiem rozkaz, że ma zostać umieszczona na oddziale niemieckim więzienia, gdzie w zupełnym odosobnieniu przebywali m.in. więźniowie polityczni. Zamknięto ją na klucz w dużej, jasnej celi. W tej zupełnej izolacji jedyną pociechą stały się dla niej książki przysyłane przez Komitet RGO. Najpierw były to cztery tomy „Wielkości i upadku Rzymu" Guglielmo Fer-

eprasa.pl 837dc6b7c9

rero, potem „Marek Aureliusz i koniec świata antycznego" Ernesta Renana, wreszcie dramaty Szekspira i „Literatura grecka" Tadeusza Sinki. Przez długie dnie i noce myślała o „Iliadzie" Homera, kontemplowała „słoneczną atmosferę heroizmu" bijącą nie tylko z tarczy Achillesa, lecz także z ofiary Hektora. I ona sama postanowiła pokonać barbarzyńców bronią nauki i sztuki. Wzięła się więc za przygotowywanie monografii o Michale Aniele. Choć nie miała potrzebnych materiałów, wszystko, co istotne, odtwarzała z własnej pamięci i wyobraźni. Gdy jedna z Żydówek sprzątających korytarz wzięła do ręki Tucydydesa, stanęła oniemiała, szepcząc jej na ucho: „Toż to był kiedyś mój świat! Jestem uczennicą prof. Ganszyńca [znanego lwowskiego grecysty]". Szła i płakała bezgłośnie. Lanckorońska widywała ją jeszcze kilkakrotnie, ale potem i ona zniknęła pochłonięta przez machinę niemieckiego terroru.

Berlin

W niedzielę 22 listopada 1942 roku obwieszczono Karolinie, że nazajutrz wyjeżdża do Rzeszy. Była oszołomiona tą wiadomością, tym bardziej że niespodziewanie stanął przed nią… Kutschmann, którego nie widziała od wielu tygodni. Oświadczył jej, że odniósł w Berlinie tryumf nad Krügerem i jego wspólnikiem Stawitzkym. Sprawozdanie Lanckorońskiej miał czytać sam Führer. „Zerwała się burza – mówił Kutschmann. – Himmler szalał […]. Pani miała być natychmiast zastrzelona, ale za panią stoi dom sabaudzki. […] Przez szereg miesięcy się tam kłócili o sprawę zasadniczą, czy w tym wypadku można w ogóle przesłuchać Polkę jako świadka; jedni głosowali za tym, drudzy za egzekucją pani. Wygrali pierwsi. Ja już zrobiłem swoje. Oddaję teraz sprawę w ręce Pani. Na pani spoczywa w tej chwili wielka odpowiedzialność wobec jej Narodu […]. Jeśli pani pozyska zaufanie sędziów, wyjdzie zakaz zabijania aryjczyków na terenie Galicji, bez wiedzy Berlina. Byłaby to już wielka rzecz, choć bardzo długo to już trwać nie może, gdyż wojna jest przegrana". Lanckorońska poczuła wtedy, że staje się mścicielem swojego uniwersytetu, wszystkich profesorów lwowskich, którzy zginęli z rąk Niemców.

W Berlinie trafiła do wąskiej celi niesamowicie brudnego, ogromnego więzienia przy Alexanderplatz. Zawieziono ją na przesłuchanie do sędziego Himmlera – Sturmbannführera Hertla, którego ton był „rzeczowy, ale ostry", a z rozmowy wynikało, że badał on sprawę osobiście w Stanisławowie, przesłuchał szereg gestapowców, którzy przyznali rację Lanckorońskiej. Sam natomiast Krüger wypierał się stanowczo, że powiedział jej o zamordowaniu profesorów. Karolina miała przy tym wrażenie, że dla Niemców ważniejsze jest to, że Krüger zdradził tajemnicę, niż to, że dopuścił się mordu na lwowskich uczonych. Obserwując stosunki panujące w Berlinie, doszła do wniosku, że „dla Niemca dziś już właściwie wyjścia nie ma. Tego śmiertelnego grzechu, który popełnił każdy z nich wówczas, gdy dopuścił zbrodnię do władzy, gdy uległ kusicielowi, który mu mówił, że należy do narodu wyższego ponad inne, i obiecał panowanie nad światem, tego grzechu już nie zmyje z niego nigdy nic – nawet zdrada stanu". W tym przekonaniu Lanckorońską utwierdziła tylko czytana w berlińskim więzieniu „Mein Kampf" Hitlera – po jej lekturze żaden Niemiec nie miał wątpliwości, na co się pisze, idąc za Führerem.

Ravensbrück

Wraz z początkiem 1943 roku Lanckorońska została wywieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Uderzyła ją nadzwyczajna wręcz brzydota tego miejsca, ale pierwsze ujrzane twarze życzliwych Polek dodały jej sił. Nawet Niemki przyznawały, że „jedne tylko Polki wchodzą tu z głową do góry". Sama otrzymała numer 16076 oraz czerwony trójkąt z literą P – oznaczający więźniarkę polityczną narodowości polskiej. Blokowa Eliza Cetkowska pytała ją, czy w kraju wiedzą o tym, że w Ravensbrück rozstrzeliwują za sprawy polityczne wyłącznie Polki i tylko Polki są tu królikami doświadczalnymi, na których Niemcy przeprowadzają eksperymenty medyczne. Wyjawiła jej przy tym, że „niektóre ofiary już umarły; inne, jest ich sześćdziesiąt kilka, są kalekami do końca życia. Prawie same młodziutkie dziewczyny, wszystkie mają ogromne blizny na nogach". Niedługo potem Lanckorońska ujrzała je na własne oczy. Istotnie miały po dwie lub trzy stare blizny z poprzednich operacji, po 20 cm długości. Poruszona tym widokiem z trudem mogła się do nich odezwać. Równie wstrząsające okazały się dla niej wiadomości o przeznaczonych na rozstrzelanie polskich więźniarkach politycznych, które zawsze przed egzekucją odmawiały wypicia napoju oszałamiającego i nie pozwalały zawiązać sobie oczów. Wszystkie, bez wyjątku, umierały z okrzykiem: „Niech żyje Polska!". Nawet Niemcy, upiwszy się w kantynie SS, nie ukrywali bezgranicznego podziwu dla Polek, ich odwagi i miłości ojczyzny.

Już na początku swego pobytu w Ravensbrück Lanckorońska na prośbę współtowarzyszek niedoli rozpoczęła dla nich „nauczanie". Podczas „szarej" godziny w niedzielę, w ciemnym kącie baraku prowadziła swój pierwszy obozowy wykład o malarstwie katakumbowym, co zasłuchane kobiety odciągało od obozowej beznadziei, przenosząc w świat Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Rembrandta… To znów opowiadała im dzieje Rzymu albo przybliżała ducha kultury średniowiecznej. Wykłady z historii renesansu prowadziła dwa razy w tygodniu specjalnie dla ofiar eksperymentów i z myślą o nich przygotowała też swój ostatni obozowy cykl przypadają-

eprasa.pl 837dc6b7c9

cy na Wielki Tydzień 1945 roku. Opowiadała, jak słynni artyści przedstawiali główne sceny Męki Pańskiej – „na Wielki Czwartek wypadła Ostatnia Wieczerza Leonarda i ten sam temat u Tintoretta, na Piątek i Sobotę […] – dzieła i wiersze Michała Anioła wraz z opisem wielkich przejść religijnych ostatniego okresu jego życia". Był to jeden z najtrudniejszych momentów obozowych, kiedy w czas nadchodzącego Zmartwychwstania Pańskiego więźniarki oczekiwały śmierci.

W bunkrze

Ponad dwa lata niewoli w Ravensbrück były dla Karoliny Lanckorońskiej czasem najwyższej próby. Po dwóch miesiącach spędzonych w więziennym baraku została wezwana do komendanta obozu Fritza Suhrena, który oznajmił, że odtąd będzie przebywać w zupełnej izolacji. Czekała na nią cela w osobnym bunkrze, z łóżkiem zasłanym czystą, białą pościelą oraz z kwiatami na stole nakrytym serwetą. Odtąd przysługiwało jej prawo do opieki lekarskiej, większych porcji żywnościowych, książek i prasy niemieckiej, a nawet spaceru. Perspektywa całkowitego odosobnienia, a w szczególności lepszego traktowania w porównaniu z innymi Polkami okazała się dla niej prawdziwą psychiczną torturą. Jednocześnie była przekonana, że jako depozytariuszka tajemnicy o mordzie na profesorach lwowskich jest celowo odseparowana od reszty obozu, by po wygaśnięciu układu niemiecko-włoskiego – zostać po cichu zlikwidowaną.

Jedyną możliwość kontaktu ze światem zewnętrznym stwarzał dla niej spacer po ogrodzie, który sąsiadował z bunkrem, dzięki czemu natknęła się na kobiety zamknięte w jego ciemnicach. Mając swobodny dostęp do większych zapasów żywności, które przysługiwały jej bez wyraźnego limitu, rozpoczęła akcję ich dożywiania. Gdy tylko było to możliwe, wrzucała im prowiant przez okna cel. Do konspiracji wciągnęła też Polkę – więźniarkę pracującą w ogrodzie – oraz więźnia Bogusława, odważnego chłopca ze Śląska, który wykonywał w bunkrze różne prace naprawcze. Dzięki jej odwadze i pomysłowości udało się przemycać żywność oraz ważne informacje, a nawet korespondencję między bunkrem a obozem. W końcu Lanckorońska została wezwana na przesłuchanie w sprawie Krügera i profesorów, które miało taki oto przebieg: „Ton był bardzo ordynarny i nienawistny. Na zakończenie gestapowiec miał do mnie długi monolog, wypowiedziany głosem więcej niż podniesionym. Oświadczył, że mi pragnie odebrać wszelkie iluzje, w razie gdybym przypuszczała, że spełniłam czyn patriotyczny, oskarżając Krügera, że moje oskarżenie żadnych konsekwencji nie miało, gdyż jako znanej szowinistce i tak nikt mi nie wierzy itd. Słuchając tych krzyków, bardzo się ucieszyłam, gdyż takie wystąpienie i sam fakt ponownego przesłuchania przeczyły jego słowom". W istocie Krüger za ujawnienie tajemnicy Rzeszy został karnie odwołany, zdegradowany do stopnia SS-Untersturmführera i przeniesiony do służb policyjnych we Francji.

Apokalipsa i wybawienie

Przez ten czas Lanckorońska dążyła z całych sił do wyswobodzenia się z izolatki i powrotu do obozowej wspólnoty uciemiężonych. Chciała być traktowana na równi z innymi Polkami i w związku z tym podjęła desperacki krok – zdecydowała się na głodówkę, i to dwukrotnie. Jej determinacja przyniosła oczekiwany skutek – 21 października 1943 roku wróciła do obozu i wśród „swoich sióstr" odetchnęła z ulgą, by nieść ten sam krzyż co one.

Jedne z najstraszniejszych chwil przyszły wraz z końcem sierpnia 1944 roku, gdy do Ravensbrück przybył pierwszy transport kobiet z powstańczej Warszawy. Przez dwa dni i dwie noce trzymano je poza obozem, za drutami… Dochodziły stamtąd przerażające krzyki pomieszane ze szczekaniem psów, które pilnowały przywiezionych. Wołano o wodę i ratunek, ale bezskutecznie. Lanckorońska, nie mogąc tego znieść, udała się do niemieckiej strażniczki Blitz, strasząc ją, że wybuchnie epidemia, jeśli nikt nie zajmie się tymi kobietami. I tak wraz z kilkoma Polkami udało się jej ruszyć na pomoc warszawiankom z Woli, od których usłyszała przerażające wieści: „Proszę pani, Warszawa się pali, cała w ogniu, stamtąd nikt żywcem nie wyjdzie, to już nie jest miasto, to są gruzy. Warszawy nie ma". Od tego dnia przybywały coraz to nowe transporty ze zrujnowanej stolicy. Ravensbrück zapełnił się Polkami, którym Lanckorońska starała się ulżyć w cierpieniu. „Teraz już czekały nie tylko za rewirem pod gołym niebem, ale także w namiocie. […] Tam nieraz do tygodnia, bez powietrza i bez wody, tłoczyła się »ewakuowana« Warszawa. […] Wpadałyśmy więc z jedzeniem czy z wodą, wyciągałyśmy chore czy zmarłe, zarzucałyśmy przybyłe pytaniami, szukałyśmy wśród nich krewnych czy przyjaciół".

Nic nie zmieniało jednak faktu, że nad Niemcami wisiało widmo nieuchronnej klęski. Coraz częstsze stały się nocne naloty na obóz. Mimo to do Ravensbrück przybywały wciąż liczniejsze transporty Francuzek, Belgijek, Holenderek, Jugosłowianek, Greczynek, Włoszek, Polek i Węgierek… „Niesłychanie dręczące przepełnienie, wieczny i tak wrzaskliwy tłok pociągał za sobą i dotkliwy brak wszystkiego, i niesłychane zabrudzenie, i zawszawienie całego lagru" – wspominała. W Ravensbrück nastał czas masowych mordów. Śmiertelne niebezpieczeństwo groziło zwłaszcza kobietom starym i chorym. „Poszło w tym czasie 7000 kobiet do komory gazowej nieomal na naszych oczach! – pisała Lanckorońska. – Zupełnie bezradne byłyśmy wobec gazowania chorych lub rannych po nalotach na fabryki. Dużo wówczas zginęło spośród ewakuowanych z Warszawy. Gdy 2 kwietnia

eprasa.pl 837dc6b7c9

piec gazowy został rozebrany, w lasku pod Jugendlagrem uruchomiono »autobus«. Gdy sto osób wsiadło do niego, komin na dachu zaczął się kręcić i śmierć następowała w oka mgnieniu".

W tej apokaliptycznej rzeczywistości obozowej Lanckorońska walczyła o przetrwanie ludzkiego ducha. Dlatego nawet wtedy, gdy na jej oczach dokonywała się zagłada świata, nie zaprzestała swoich wykładów. „Dziś mogę tylko wyrazić nadzieję – wyznawała – że słuchaczkom moim dawałam […] możliwość oderwania się od moralnych i fizycznych brudów, ropy, biegunki, poniżenia, które nas otaczało, i powrotu do owych wartości, które kiedyś stanowiły świat mój, najbardziej własny".

Dopiero miesiąc przed zakończeniem wojny Karolina Lanckorońska została uwolniona z obozu Ravensbrück dzięki interwencji Carla Jacoba Burckhardta – prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Obóz opuściła 5 kwietnia 1945 roku wraz z grupą 299 Francuzek, jako pierwsza Polka. Przekraczała bramę Ravensbrück, idąc jak nakazywał zwyczaj tyłem, z rękami wyciągniętymi ku obozowi, na znak, że wyciągnie stamtąd inne. W lasku czekały już na uwolnione kobiety białe samochody ciężarowe oznaczone czerwoną tarczą z białym krzyżem – symbolem wolnej Szwajcarii, w której powitane zostały przez bijące dzwony.

Sąd nad „katem"

Po przybyciu do Genewy Lanckorońska od razu złożyła Burckhardtowi szczegółowy raport o zbrodniach wojennych dokonywanych przez Niemców w Ravensbrück, w tym o eksperymentach pseudomedycznych przeprowadzanych na Polkach. Przyczynił się on do zorganizowania tzw. ekspedycji szwedzkiej i uwolnienia z obozu dużej liczby więźniarek. Nigdy też nie ustała w dążeniach do ujawnienia prawdy o mordzie na profesorach lwowskich oraz wymierzenia kary Niemcom winnym tej zbrodni. W 1946 roku przesłała byłemu rektorowi Uniwersytetu Lwowskiego Stanisławowi Kulczyńskiemu swoją relację o przeżyciach z lat 1941–1945, która została opublikowana w 1977 roku. Gdy dziesięć lat wcześniej przeczytała w „Dzienniku Polskim", że w Münster w Westfalii stanął przed sądem Hans Krüger, oskarżony o masowe mordy na Żydach, natychmiast zgłosiła się jako świadek. Wówczas to przed niemieckim sądem złożyła zeznania, opisując swój pobyt w Stanisławowie, aresztowanie, uwięzienie i przesłuchanie przez Krügera, który powiedział jej, że on to właśnie zamordował profesorów lwowskich. Sędzia przerwał jej jednak, twierdząc, że sprawa dotyczy Stanisławowa, a nie Lwowa, ale sędziowie przysięgli zgłosili chęć wysłuchania jej dokładnej relacji na ten temat. Lanckorońska zeznawała 65 minut w obecności Krügera i ośmiu gestapowców będących jego podwładnymi. Po złożeniu zeznań przygotowała szczegółowe sprawozdanie dla prof. Zygmunta Alberta, który zajmował się dokumentowaniem lwowskiej zbrodni w imieniu wdów i sierot po zamordowanych. Lanckorońska spotkała się również w Wiedniu z Szymonem Wiesenthalem, więźniem obozów hitlerowskich w latach 1941–1945, twórcy Żydowskiego Centrum Dokumentacji Historycznej okresu Holocaustu, który twierdził, że profesorów zamordował nie Krüger, ale Kutschmann. Ona natomiast uważała, że ten ostatni, jako podwładny Krügera we Lwowie, mógł być wspólnikiem swego przełożonego. Ostatecznie Hans Krüger został w 1968 roku skazany przez Sąd Przysięgłych w Münster na dożywocie za mordy stanisławowskie (ale nie za rozstrzelanie profesorów lwowskich), natomiast w 1986 roku zwolniono go z więzienia. Z kolei Walter Kutschmann, który dowodził plutonem egzekucyjnym podczas mordu na lwowskich uczonych, po wojnie, podając się za mnicha karmelitańskiego, uciekł do Argentyny i tam się ukrywał. W końcu został schwytany, ale podczas przygotowania do ekstradycji do RFN zmarł na zawał serca w 1986 roku.

Na włoskim wygnaniu

Po konferencji w Jałcie, podczas której alianci zdradzili Polskę, Karolina Lanckorońska nie mogła już wrócić do ojczyzny rządzonej przez komunistów. Udała się więc do drogich jej sercu Włoch, gdzie stacjonował wówczas 2. Korpus gen. Andersa, i tam od razu wzięła się do pracy jako oficer prasowy, organizując studia dla około 1300 polskich żołnierzy! Nieodłączną częścią jej powojennego życia stała się służba polskiej nauce, sztuce i kulturze. W listopadzie 1945 roku wraz z ks. Walerianem Meysztowiczem powołała do istnienia Polski Instytut Historyczny w Rzymie, zajmujący się wydawaniem źródeł dotyczących ojczystych dziejów. Co więcej, stworzona przez Karolinę i jej rodzeństwo Fundacja Lanckorońskich (1967) dawała wsparcie uzdolnionym badaczom nauk humanistycznych z Polski, umożliwiając im wyjazdy naukowe i studia zagraniczne. „W hołdzie Rzeczypospolitej Wolnej i Niepodległej" w 1994 roku przeznaczyła odziedziczoną po ojcu bezcenną kolekcję obrazów jako dar dla Wawelu oraz Zamku Królewskiego w Warszawie.

Niezwykłą historię swego życia opowiedziała we „Wspomnieniach wojennych", które zdążyła opublikować rok przed swoją śmiercią w 2002 roku. Wyłania się z nich obraz dumnej Polki, której nie zdołali pokonać ani bolszewicy, ścigający ją we Lwowie, ani hitlerowcy, którzy przetrzymywali ją w kolejnych więzieniach, a potem w Ravensbrück. Była Polką, która umiłowała swoją ojczyznę ponad wszystko i z myślą o niej przeciwstawiła się niszczycielskim totalitaryzmom. I to ona odniosła nad nimi ostateczne zwycięstwo. ■

Źródło: K. Lanckorońska, „Wspomnienia wojenne", Kraków 2017.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Piotr Lisiewicz

Relacje pomiędzy wyrzucanym dziś z listy lektur Henrykiem Sienkiewiczem i Bolesławem Prusem nie były łatwe. Żyli niemalże w tych samych latach, Sienkiewicz był od Prusa starszy o rok. Sienkiewicz bywał w towarzystwie, miał powodzenie, a Prus był uważany bardziej za dziwaka. Prus bywał też krytyczny wobec pisania „ku pokrzepieniu serc", wolał edukację społeczną. Tym bardziej warto więc przeczytać fragmenty tekstu Prusa o „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza, bo choć ukazał się w roku 1884, pokazuje, dlaczego pisarz usuwany jest z listy lektur od roku 2024. Najogólniej rzecz ujmując, powodem tego jest sprawczość Sienkiewicza, a więc jego umiejętność oddziaływania na ludzkie dusze, w szczególności te jeszcze młode. Czytając Sienkiewicza, stajemy się innymi ludźmi niż bylibyśmy bez takiej lektury. I dlatego jest on kłopotliwy dla władzy, dla której polskość to nienormalność.

Bolesław Prus

Widzisz, słyszysz, dotykasz, czujesz, a w końcu wierzysz

Gdyby Sienkiewicz wziął za temat swoich pism, a lepiej – swoich sonat czy koncertów, nie tylko wojnę kozacką, ale nawet kawałek cegły, jeszcze wywołałby wrażenie i był rozchwytywany… Dzięki tym prześlicznym zdolnościom zarzuca on na duszę czytelnika tyle haczyków, że wywikłać się z nich nie można. Widzisz, słyszysz, dotykasz, czujesz, a w końcu wierzysz.

Najczęściej dzieło sztuki mierzy się wrażeniem, jakie wywołuje w czytelniku lub widzu, i zaraz mówi się: „Oto jest rzecz wielka, gdyż wywołała wrażenie", czyli – gdyż „mnie" się podobała.

Tymczasem co roku w literaturze powszechnej trafia się powieść czy dramat, który „wywołuje wrażenie, a nawet „robi kasę" – i na następny rok ginie, ustępując miejsca drugiemu. Jednocześnie zaś Iliada, Komedia Boska, Don Kiszot, dramaty Szekspira, chociaż tylko nudzą „wrażliwą" publiczność, lecz trwają wieki […]

***

Sztuka ma ten przywilej, że jest zarazem wyższą i popularną, że przedstawia to, co jest najwyższym, i przedstawia to wszystkim.

Teraz rozumiemy, co stanowi rdzeń sztuki wielkiej; oto przedstawienie najogólniejszych przyczyn i najstalszych praw, jakie rządzą światem, przede wszystkim naturalnie światem ludzkim, tudzież – najogólniejszych i najstalszych cech, jakie spotykamy w zjawiskach, ale – przedstawienie tego w sposób plastyczny, zrozumiały dla ogółu. Ów „sposób przedstawiania" jest pokrowcem sztuki i on wywołuje „wrażenie"; ale dopiero owe „najogólniejsze przyczyny i cechy" zjawisk są duszą sztuki i nadają jej wartość kształcącą, doskonalącą rodzaj ludzki.

W powieści, której zadaniem jest malować przede wszystkim świat ludzki, najważniejszym przedmiotem są ludzie […] Najbogatszą, najruchliwszą, najelastyczniejszą, największe robiącą wrażenie jest trzecia nierealna figura – Zagłoba. Na ponurym tle wojny jego dowcip i błazeństwa, a na tle faktów – jego kłamstwa stanowią najsilniejszy kontrast i przywiązują czytelnika. Charakter Zagłoby jest najobfitszy, posiada kilkanaście cech. Cechy te są zmienne w pewnych granicach, właśnie jak widzimy w rzeczywistości, a dalej stanowią pewien aliaż, nie są jedno-, lecz różnogatunkowe. Stąd pełno w nim niespodzianek.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Zagłobę do powieści wprowadza autor stopniowo, jakby spoza zasłony. Kiedy postać ta zaczyna się wynurzać, widzimy co? Łgarza i pieczeniarza, ryj i kłapciate uszy. Nie ma wątpliwości, że to stary wieprz. Lecz Zagłoba robi krok dalej, ratuje Helenę. Co u licha?... ależ za tą szpetną głową widać gołębie skrzydła poświęcenia... Następuje trzeci krok i nagle widzimy potężny tułów lwa; ten kłamca, pieczeniarz i niby tchórz, w chwili niebezpieczeństwa nie tylko dzielnie broni się, ale jeszcze objawia niepospolite zdolności. Ze wszystkich figur jeden Zagłoba pracuje mózgiem, okazuje w najniekorzystniejszych zresztą warunkach wielką siłę umysłową, prawie natchnienie. To nie jest Falstaf, to jest Falstaf i zestarzały Ulisses, których stopiono w jednej figurze, dodając jej żyłkę poświęcenia. Jeżeli ten człowiek ślepy na jedno oko i otyły tyle dokazuje na starość, to co on wyrabiał będąc lekkim, mając oba oczy i energią młodości?... Niepotrzebnie śmieją się, gdy Zagłoba ostrożnie nadmienia, że za młodych lat wziął do niewoli króla szwedzkiego albo że dawniej zdumiewał świat wojennymi czynami. Nie ma się czego śmiać – ten Zagłoba, jakiego widzimy, wszystko mógł zrobić za młodu. W epoce wojen kozackich był on już tylko ruiną wielkiego niegdyś bohatera, ale jakąż wspaniałą ruiną!

***

Cechy tworzące charakter Zagłoby są jednocześnie elastyczne: gdyby je przedstawić w formie barw, to prawie każda rozpadałaby się na odcienie. Jest on na przykład silny, ale niekiedy słabnie. Bez ceremonii zabiera innym pieniądze, ale swoje równie łatwo rozrzuca. Uciekając z Heleną obdarci do nagiej skóry dwóch dziadów, lecz innym razem spotkawszy chłopskie wesele, oddał ostatniego dukata pannie młodej. „Naści – niechże ci Bóg błogosławi jako i wszelkiej niewinności. Tu wzruszenie przeszkodziło mu mówić, bo wysmukła, czarnobrewka Ksenia przypomniała mu Helenę." Co za delikatność uczuć w tym starym wszeteczniku!... Jaki to śliczny ustęp!...

Tak samo dzieje się z odwagą Zagłoby. Wołodyjowski jest wciąż odważny w jednym tonie: nie zna obawy. Przeciwnie, odwaga Zagłoby przechodzi całą skalę, od zupełnego upadku do bohaterstwa, lecz mimo to nigdy go nie opuszcza, gdyż w najgorszych opałach Zagłoba nie traci przytomności. Owszem, dla jego stępionych przez wiek i nadużycia nerwów trzeba by silnej podniety, ażeby zagrały, jak należy...

Krótko mówiąc, Zagłoba to wielka figura, najznakomitsza w powieści, lecz nierealna. Można bowiem posiadać w sobie pierwiastki z Falstafa i z Ulissesa, ale nie można być obydwoma razem. Szekspir, dobrze znający się na charakterach, tylko genialnego łgarza i hultaja pomieścił w jednym człowieku i już zrobił olbrzyma. Z tego powodu Zagłoba składa się z dwu olbrzymów – plus mały dodatek: poświęcenie!...

Jak dalece zapomniał autor o zachowaniu miary, dowodzi tego rzut oka na komplet czterech przyjaciół. Tworzą oni spółkę, do której wchodzi: śmiertelnie kąsająca osa (jak mówi sam o Wołodyjowskim), sfinks ze łbem wieprza, nazwany Zagłobą, gilotyna w ludzkiej postaci – Podbipięta, i – Jezus Chrystus w roli oficera jazdy Skrzetuskiego!... Takie zbiegowisko i takich charakterów może zrobić silne wrażenie; niemniej jest ono dziwaczne.

Ale śmiało możemy wybaczyć autorowi, że zapatrzony w piękność swoich pomysłów rósł sam i malował coraz większe, coraz dziwniejsze figury, aż nareszcie przekroczył miarę. Błogosławiona to choroba – nadmiar sił!...

***

Forma tego i wszystkich innych utworów Sienkiewicza wydaje mi się tak piękną, że my, literaci, moglibyśmy uczyć się na niej sztuki pisania. Nie twierdzę, że jest ona jedyną, najlepszą formą, ale że należy do najlepszych, jakie nasza literatura wydała.

Z tego względu Sienkiewicz zasługuje na tytuł znakomitego pisarza i najzupełniej wart jest rozgłosu, jaki pozyskał. Gdyby Sienkiewicz wziął za temat swoich pism, a lepiej – swoich sonat czy koncertów nie tylko wojnę kozacką, ale nawet kawałek cegły, jeszcze wywołałby wrażenie i był rozchwytywany…

Drugą cechą jest realizm, używanie wyrazów, które bezpośrednio malują przedmiot czy własność i budzą w czytelniku nie tylko pojęcie, ale poczucie. Jego Dniestr i jego step pachną, jego pasowania się dwu ludzi wyciskają pot na czole czytelnika, jego fizjognomie i upiory mają kształty i barwy.

Dzięki tym prześlicznym zdolnościom zarzuca on na duszę czytelnika tyle haczyków, że wywikłać się z nich nie można. Widzisz, słyszysz, dotykasz, czujesz, a w końcu wierzysz. A jest tych wrażeń takie mnóstwo, że wydaje ci się, że on nie pisze, ale że gra pełnymi akordami, całą orkiestrą, albo że maluje wszystkimi barwami tęczy. Jego styl jest szeroki i wzniosły; zaspakaja umysł, gdyż wyczerpuje przedmiot opisywany, a nadto pieści serce, gdyż Sienkiewicz ma smak arystokratyczny. W najwstrętniejszym przedmiocie znajdzie on jakieś cechy ładne, te wysuwa na pierwszy plan, a brzydkie zaciera. Gdy nie może tak zrobić z przedmiotem, wówczas oświetla go piękną sytuacją, a gdy mu i tego zabraknie – ozdabia melodią wyrazów. Tak wrażliwy smak jest bodaj czy nie najgłębszą cechą jego usposobienia; kto wie, czy nie on stworzył „historiozofią" powieści Ogniem i mieczem. ■

Przedruk za: „Kraj", 20 lipca 1884, „»Ogniem i mieczem« powieść z dawnych lat Henryka Sienkiewicza".

eprasa.pl 837dc6b7c9



Tomasz Łysiak

Ożałobione wdowy, czyli kobiety polskie w marcu 1861 roku

Był to jeden z najważniejszych pogrzebów w dziejach Polski. Gdy 2 marca 1861 roku ulicami Warszawy podążał w stronę Powązek gigantyczny, liczący ponad 100 tys. osób kondukt pogrzebowy, to tak jakby, pogrążona w bólu i rozpaczy, szła w nim cała Polska. W trumnach, na katafalkach, w czasie mszy pogrzebowej spoczywały ciała Pięciu Poległych. Nad całością tego, co działo się owego dnia w kościele św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu czy na cmentarzu powązkowskim, rozpościerał się całun pamięci – łańcuch zdarzeń przenosił nas bowiem nie tylko w uprzednie dni, w strzelaniny na mieście, lecz także w epokę powstania listopadowego i zwycięskiej (w oczach Polaków) bitwy pod Olszynką w 1831 roku. Wokół poległych mężczyzn gromadził się tłum opłakujących ich kobiet, zupełnie jakby wszystkie warszawianki zostały śmiercią tą „ożałobione".

25 lutego 1861 roku, w 30. rocznicę bitwy pod Olszynką, na pola Grochowa chciały iść z lewego brzegu tłumy warszawiaków. Moskale jednak na żadne uroczystości nie zezwolili i zdemontowali most pontonowy prowadzący na Pragę. Zamiast więc na Grochowie obchody urządzono na Starym Mieście. Były one brutalnie stłumione – ludzi rozpędzano konnymi szarżami, setki uwięziono w Cytadeli. Dwa dni później więc, 27 lutego 1861 roku, zebrano się na kolejną manifestację. Doszło do zamieszek. Kozacy szarżowali tłum, a piechota zaczęła strzelać do bezbronnych cywili. Moskale zamordowali pięć osób – Filipa Adamkiewicza, Karola Brendela, Marcelego Karczewskiego, Zdzisława Rutkowskiego i ucznia Gimnazjum Realnego Michała Arcichiewicza. Wszystko to wstrząsnęło opinią publiczną. Specjalny komitet zredagował adres do cara i zaniósł go do zamku, na ręce namiestnika. Ale dla ludzi, poza żądaniem odpowiedzialności za zbrodnię, najważniejsze było pochowanie, opłakanie i upamiętnienie ofiar…

Na ołtarz ukochanej ojczyzny

Gdy 27 lutego strzały ucichły, a tłum rozbiegł się z krzykiem, na ulicy pozostały, w pustce jakowejś, cztery trupy, cztery ciała leżące jak wielki wyrzut sumienia. Piąty manifestant, ciężko ranny w bok, próbował uciekać. Omdlał przy Bednarskiej i stamtąd go dorożką zwieziono do Domu Malcza. Tam skonał w sieni. Brendla i Arcichiewicza położono w salonie mód sióstr Kuhnke. Studenci podnieśli z ziemi ciało najmłodszego – Arcichiewicza – i nieśli trupa gimnazjalisty ponad tłumem, który ponownie napłynął z bocznych uliczek. Mężczyźni odkrywali głowy, kobiety płakały. Ciało chłopca zaniesiono do mieszkania rodziców, w kamienicy Zamojskiego, tej, z której potem Moskale wyrzucić mieli na bruk fortepian Szopena. Pozostałą czwórkę zabitych przeniesiono do Hotelu Europejskiego. Warszawa przywdziała żałobę. „Krepą pokryto nawet lalki woskowe w sklepach fryzjerów – pisał Walery Przyborowski – butelki z wódką i winem w oknach kupców, głowy cukru, a nawet łby końskie w oknach siodlarzy i rymarzy. Włóczono się po mieście, oglądano się wzajemnie, przyklaskiwano jakiej nowej, nieużywanej dotąd oznace żałoby". Fotograf Beyer zrobił zdjęcia ciałom poległych. Miały się stać potem jedną z narodowych relikwii. Na ulicach pojawiły się „ożałobione wdowy" – kobiety polskie, które nie dość, że ubrane były w czerń, to jeszcze opłakiwały zabitych tak, jakby były ich siostrami, matkami, żonami. Gdy z okien cukierni Kontiego wystawiono kapelusze do zbierania datków na pogrzeb, kobiety, poza pieniędzmi, zaczęły wrzucać „nie tylko złoto i papiery, ale kolczyki, pierścionki, bransoletki i.t.p. kosztowności, które w entuzjastycznym rozżaleniu rzucano z przekonaniem, że to idzie na ołtarz ukochanej ojczyzny". Ofiary składano także w sklepach – Szlenkiera na Senatorskiej i Rozena na Miodowej. „Gazeta warszawska" pisała: „Nikt ze swem groszem, chociażby nawet to był grosz wdowi zalegać nie może; jest to ofiara święta". W dziennikach ukazała się odezwa zapowiadająca, że pogrzeb odbędzie się 2 marca o godz. 10. Do tego dodano apele o jak największy porządek w czasie uroczystości.

Pokłonić się ofiarom

Ciała Pięciu Poległych złożono w czarnych, prostych trumnach w kościele św. Krzyża. Jedna stanęła pośrodku, a cztery w rogach. Kobiety w czerni ułożyły wokół gałęzie palmowe, jako znaki męczeństwa. I wieńce cierniowe. Dookoła pozapalano mnóstwo świec i ułożono kwiaty. Do trumny Zdzisława Rutkowskiego włożono jeszcze rękę – amputowaną 27 lutego Henrykowi Karskiemu, któremu pocisk strzaskał kości. Do kościoła ciągnęły tłumy: „Od samego rana tłumy ludności dążyły do kościoła św. Krzyża, żeby popatrzeć na pięć trumien, pokłonić się ofiarom, pomodlić się za ich dusze" – Przybo-

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl 837dc6b7c9

rowski kreślił obraz, który tyle mówi o duchu owej doby. „Kobiety w głębokiej żałobie, z książkami do nabożeństwa w rękach, starcy, dzieci, wszystkie stany, bogaci i ubodzy, szlachta i rzemieślnicy, wszystko to płynęło jak fala czarna, poważna, posępna do kościoła, gdzie Chrystus w portyku dźwigał krzyż i zdawał się wołać kamiennymi usty: w górę serca! Kościół ogromny, surowego stylu gmach, czarny i ciemny, napełniony był nieustannie tłumem, w którym słychać było tylko szept modlitwy i łkania spazmatyczne kobiet. Nieraz poważne, surowe, wąsate twarze starych wiarusów, którzy widzieli jeszcze hiszpańskie Sierry, lipski bój, krwawe niwy Grochowa i Ostrołęki, ukazywały się zalane łzami…".

2 marca rozpoczęła się pogrzebowa uroczystość.

Kobieta polska jest wiecznym spiskowcem

Opisywał ją nie tylko Przyborowski, lecz także rosyjski historyk powstania styczniowego i bezpośredni świadek wydarzeń – Mikołaj Berg. Tenże właśnie, poza opisem wydarzeń politycznych czy przebiegu samej uroczystości pogrzebowej, skupił się na obserwacji polskich kobiet. Napisał więc, że w kościele przy katafalkach pojawiły się okryte czarnym kirem „lekkie, migotliwe i ożywione postacie istot, których w żadnej chwili nie brak w Warszawie, a których w obecnej jakby, jakby w dwójnasób jeszcze przybyło. Powiewne te i pełne wdzięku istoty, odgrywają ważną rolę w życiu Polaków w ogólności; w powstaniach zaś biorą udział ze szczególnym zapałem, odwagą i prawdziwym poświęceniem". I tu Berg, niejako przy okazji pogrzebu Pięciu Poległych, na kilku stronach swej pracy dokonuje analizy wagi kobiet w naszym życiu narodowym, podkreślając, że „niewiele jest krajów na świecie, w których by żywioł ów występował tak wybitnie i tyle miał znaczenia dla swego narodu, jak w Polsce". I o tyle, o ile to mężczyźni prowadzą walkę bezpośrednią, to jednak właśnie oni potrafią wpadać w drugie skrajności, „nużyć się walką" i popadać w odrętwienie. „Ludność żeńska jednak – pisze Rosjanin – nigdy się nie zmienia i zawsze jedną i tę samą zachowuje barwę. Kobieta polska jest wiecznym, nieubłaganym i niewyleczonym spiskowcem… Polak może być białym, czerwonym, czarno-żółtym – słowem różnych odcieni i kolorów, Polka tylko czerwoną być może". Oczywiście „czerwoną" w rozumieniu buntowniczą, hardą, waleczną – tak to widział Berg, który dalej rozpływał się i nad urodą, i nad charakterem Polek („wrą i kipią" te „małe, ruchome wulkaniki!"): „Zaledwie ich dotknąć, wnet posypią się iskry! Ich niczem niepowstrzymana wyobraźnia rozwija się i ulatuje w niezmierzone przestworza. Kobieta polska jest cała wyobraźnią, promieniem, modlitwą!".

Aż dziw bierze, że te wszystkie zachwyty wypisywał, ewidentnie zauroczony Polkami, Moskal. Na koniec tego hymnu pochwalnego ku czci Polek napisał, że nie na darmo herbem warszawy jest syrena z uniesionym mieczem!

Na dzień przed pogrzebem tak one wyglądały w literackiej prawie obserwacji historyka: „Dnia 1 marca całe fale syren spłynęły do kościoła św. Krzyża, zajęły pierwsze miejsca wokół katafalku, wszędzie ich było pełno; zmięte, z podeptanymi nóżkami, lecz rumiane, rozpłomienione, z łzą w oku, brzęczały, jak czarne muchy, wyraźnie chcąc pokazać, że i one są członkami wielkiej, patriotycznej rodziny, wiernymi córami budzącej się ojczyzny i niemniej od każdego gotowemi do wszelkich dla niej ofiar". Pisał on dalej – i o kolczykach rzucanych na ofiarę, i o tym, jak „zręczne rączki syren szyły żałobę"… A potem, na 2 marca już wszystko było gotowe…

Niosły cierniowy wieniec

Owego dnia było słonecznie i ciepło, „jak gdyby Bóg promień miłosierdzia rzucił na nasz biedny kraj" – pisał Przyborowski. Dziesiątki tysięcy ludzi dążyły ze wszystkich stron do kościoła św. Krzyża. Porządku pilnowała straż uczniowska i studencka, ze specjalnymi opaskami na ramionach. Wszyscy ich słuchali, bo to jakby Polska na chwilę wróciła na ten czas pogrzebu, nawet przez tę straż marszu. W kościele Mszę świętą odprawił biskup Dekert, „dziecię Warszawy". Chór odśpiewał requiem Stefaniego. A po mszy „stary, siwy, przygarbiony arcybiskup Fijałkowski, ubrany w purpurę i złoto i w infułę biskupią, otoczony tłumem duchowieństwa, pobłogosławił ciała poległych wśród głośnego płaczu w kościele i punktualnie o godz. 10-tej rano rozwarły się drzwi główne na oścież i kondukt pogrzebowy ruszył". Szło w nim, według różnych szacunków, od 100 do 160 tys. Polaków. Stawili się wszyscy – księża, kanonicy, zakonnicy, duchowieństwo żydowskie z rabinem w stroju rytualnym na czele, sieroty i starcy z Towarzystwa Dobroczynnego, „uczniowie różnych zakładów naukowych", a także przedstawiciele różnych cechów i zawodów. Łopotały chorągwie. Szły tysięczne rzesze mężczyzn i kobiet. A kto niósł trumnę? Młodzi ludzie. Lecz początkowo chciały to czynić kobiety! „Wiele dam" prosiło o to, jak zapisał Berg, lecz odmówiono im. Zamiast tego dano im do niesienia olbrzymi wieniec cierniowy, „godło zwycięstwa i niewinności", który – jak zanotował Przyborowski – „ostentacyjnie dźwigały". Na cmentarzu tłum otoczył grób, do którego spuszczono trumny. Wygłaszano przemowy. Śpiewano pieśni. Studenci rozdawali zebranym korony cierniowe i kawałki płótna umaczane w krwi zabitych. A Polki stały, ubrane w czerń, modliły się i płakały. Smutkiem były przyobleczone czoła ożałobionych po norwidowsku wdów polskich. Taki był ich marzec roku 1861… Marzec smutnych polskich syren, odzianych w czarny kir. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Małgorzata Matuszak

Czym jest... dobromyślność

Istnieją w polszczyźnie słowa zapomniane. Należy do nich „dobromyślność", która zniknęła nie tylko z języka potocznego, lecz także ze słowników, znikając tym samym z moralnej wyobraźni współczesności. Czy uznaliśmy, że brzmi archaicznie, nieporęcznie, jak relikt dawnego świata, który nie przystaje do epoki ceniącej przede wszystkim sprawność, skuteczność i technikę myślenia? Czy może jednak wyrugowanie tego słowa mówi nam raczej coś istotnego o przemianie, jaka dokonała się w naszym rozumieniu samego aktu myślenia? Trudno przecież oprzeć się wrażeniu, że przestaliśmy postrzegać je jako działanie związane z dobrem, a zaczęliśmy traktować przede wszystkim jako narzędzie analizowania, oceniania, przewidywania i osiągania celów.

Słowa nie znikają bowiem przypadkiem. Dokonuje się to wtedy, gdy przestają pasować do doświadczenia epoki. Dobromyślność oznacza myślenie ukierunkowane ku dobru, takie zatem, które nie jest moralnie obojętne, które nie oddziela sprawności intelektualnej od odpowiedzialności za jej skutki. Tymczasem współczesna kultura uczy myślenia przede wszystkim jako kompetencji: ma być ono szybkie, krytyczne, skuteczne i odporne na błąd. Rzadziej pyta się, czy jest ono dobre, czy służy dobru człowieka, wspólnoty i świata. Wraz z zanikiem tego pytania zniknęło także słowo, które to wyrażało.

W słowie „dobromyślność" spotykają się dwa aspekty, które zwykliśmy rozdzielać: sposób myślenia i sposób odnoszenia się do innych, które w istocie swej są dwiema stronami tej samej postawy. Kto myśli ku dobru, ten nie traktuje wszak drugiego człowieka jako przeszkody ani zagrożenia, lecz jako rzeczywistość, którą należy rozumieć i wobec której ponosi się odpowiedzialność. Kto zaś używa rozumu wyłącznie jako narzędzia przewagi, kontroli czy obrony interesu, ten zaczyna widzieć te motywy w innych. Podejrzliwość nie pojawia się więc najpierw w relacjach między ludźmi, lecz wcześniej, w samym myśleniu, które utraciło swój etyczny kierunek. Oderwanie myślenia od dobra zmienia bowiem nie tylko sposób, w jaki myślimy, lecz także sposób, w jaki żyjemy razem. Gdy rozum przestaje być związany z dobrem, łatwo staje się narzędziem podejrzenia, drugi człowiek przestaje być zaś kimś, kogo należy rozumieć, a zaczyna być kimś, kogo należy przejrzeć. Zanik dobromyślności w intelekcie prowadzi tym samym do zaniku zaufania w relacjach.

Dlatego dobromyślność nie jest ani naiwnością, ani prostoduszności, lecz cnotą intelektu. Oznacza zdolność myślenia, które pozostaje w służbie dobra. Można bowiem myśleć logicznie, a jednocześnie w sposób moralnie pusty. Intelekt sam w sobie jest przecież neutralny, może służyć prawdzie albo manipulacji, dobru albo złu. Dopiero dobromyślność włącza go w porządek etyczny, nadaje właściwy kierunek. Dawna polszczyzna uchwytywała to bardzo trafnie. W „Słowniku języka polskiego" Lindego z początku XIX wieku człowiek dobromyślny jest zarazem „dobrochętny"– życzliwy, „dobrorzeczny" – mówiący „do rzeczy", rozsądnie, zatem, z intencją czynienia dobra, oraz „dobrodziejny", czyli przynoszący dobro.

DOBROMYŚLNOŚĆ NIE JEST ANI NAIWNOŚCIĄ, ANI PROSTODUSZNOŚCIĄ, LECZ CNOTĄ INTELEKTU. OZNACZA ZDOLNOŚĆ MYŚLENIA, KTÓRE POZOSTAJE W SŁUŻBIE DOBRA.

Największym paradoksem naszych czasów jest to, że choć słowo „dobromyślność" zniknęło z polszczyzny, nie znikła potrzeba, którą wyrażało. Przeciwnie, brak dobromyślności jest powszechnie odczuwany. Mówimy wszak często o brutalizacji języka, o złu i agresji, o polaryzacji, o kryzysie zaufania, o rozpadzie wspólnoty, ale rzadko dostrzegamy, że wszystkie te zjawiska mają jedno źródło: oderwanie myślenia od dobra. Mówimy zatem o skutkach, nie sięgając przyczyn problemów.

Dobromyślność nie jest więc luksusem ani sentymentalizmem, lecz warunkiem, który pozwala rozumowi pozostać w służbie człowieka. Jej zanik nie oznacza tego, że utraciliśmy zdolność myślenia, lecz coś znacznie poważniejszego: że tracimy zdolność myślenia, które wie, czemu ma służyć. A przecież potrzebujemy dzisiaj, być może bardziej niż kiedykolwiek, myślenia, które nie jest grą, lecz troską o dobro świata i drugiego człowieka. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Michał Muszalski

Autostopem do Duszanbe

Niepodległy Tadżykistan od lat podejmuje wiele prób desowietyzacji, pomniki Lenina są zastępowane monumentami perskich naukowców czy poetów, tak samo jak nazwy ulic i parków. Zdaje się jednak, że pomimo formalnego odseparowania od dziedzictwa Związku Sowieckiego, pozostaje on ciągle żywy w umysłach obywateli. Mimo formalnej desowietyzacji Tadżykistanowi nie udało się jeszcze zdesowietyzować tego, czego nie da się zastąpić innym pomnikiem – umysłu.



eprasa.pl 837dc6b7c9



FOT. WIKIPEDIA

W Duszanbe wybrałem się zwiedzić muzeum narodowe. Zdecydowałem się na wycieczkę z przewodnikiem; był nim młody chłopak. Powiedziałem mu, że jestem Polakiem. Gdy już zapoznał mnie z odnalezionymi w grobowcach sprzed wieków pamiątkami, z historią plemion zamieszkujących tereny Tadżykistanu przed mongolskimi podbojami, a potem w czasach panowania Perskiego, przeszliśmy do działu muzeum poświęconego historii ostatnich stuleci. Ten okres najbardziej mnie interesuje.

Bohaterowie spod czerwonej gwiazdy

Najpierw zostałem zaznajomiony z historią ruchów opozycyjnych działających w czasach carskiej Rosji. Rzuciło mi się w oczy, że już wtedy wywrotowość była ściśle złączona z tym, co współcześnie ujmuje się pod pojęciem działań ekstremistycznego islamu. Szybko spostrzegłem, że „ekstremistów" aktywnie walczących o prawo do wyznawania własnej religii oraz władzę na własnej ziemi nie czekał przyjemny los. Za caratu zsyłano ich na wygananie, a później Stalin rozwiązywał sprawę natychmiastową eksterminacją. Staliśmy wtedy przed gablotą przedstawiającą historię oporu, z jakim spotkała się idąca do Tadżykistanu w latach 20. Armia Czerwona.

– Skończyło się rewolucją, w której zginęli wszyscy nieprzychylni nowemu porządkowi. A to są bohaterowie naszego narodu – powiedział przewodnik, wskazując na kolejną gablotę.

W gablocie zobaczyłem kilkadziesiąt portretów generałów Armii Czerwonej. W większości byli to Tadżycy. Z początku zaniemówiłem. Gdy odzyskałem głos, spytałem zszokowany:

– To są wasi bohaterowie? Żartujesz?

– Tak, to bohaterowie – odpowiedział niepewnie przewodnik, nie rozumiejąc do końca, o co mi chodzi. – Ale wy lubicie Rosję… – dodał z nutką niepewności.

– Nie bardzo – odpowiedziałem.

– Przecież oni was wyzwolili spod niemieckiej okupacji – usłyszałem w odpowiedzi.

Jego twarz wyrażała dziwną mieszankę emocji: było to wstrzymywane urażenie, zaskoczenie, być może również dezaprobata moich negatywnych wrażeń, których nie powstrzymałem w tonie głosu; znajdowała się tam również odrobina ciekawości. Następnie po tym, jak wspomniałem o wydarzeniach ubiegłego wieku oraz o współczesnym powszechnym wśród Polaków nastawieniu do wojny na Ukrainie i stosunku do Putina, natychmiast zakończył rozmowę na ten temat. Kiedy opowiadałem o czasach PRL-u, o Katyniu czy o rosyjskiej „pomocy" Niemcom podczas powstania warszawskiego, miałem nieodparte wrażenie, że nie wierzy w żadne moje słowo.

eprasa.pl/...7dc6b7c9

Nie był to pierwszy raz, kiedy w Azji Centralnej spotkałem się z pochwałą Związku Sowieckiego, ale to ta rozmowa wstrząsnęła mną najbardziej. Wcześniej pełne tęsknoty i pochwały słowa padały z ust starszych mężczyzn. Często nawet chwalili się, że byli w Polsce (oczywiście na służbie). Nie dziwiło mnie to, potrafiłem zrozumieć, że z jednej strony tęsknili do utraconej młodości, a z drugiej, że mimo wszystko armia oraz transformacja ekonomiczno-przemysłowa przeprowadzona przez ZSRS mogła w istocie diametralnie polepszyć ich warunki bytowe. Mówię tutaj na przykład o przeprowadzce z przysłowiowej lepianki na stepie do bloku z wielkiej płyty z bieżącą wodą czy skomunikowaniu kraju przez wybudowanie nowych dróg oraz połączeń kolejowych. Zdarzenie z muzeum różniło się tym, że mój rozmówca był młodym chłopakiem, który tych przemian bezpośrednio nie doświadczył. Jego wiedza i nastawienie nie pochodziły z doświadczenia, lecz z książek oraz pewnie w dużej mierze z historii przekazywanej ustnie.

Elektryczne taksówki

Do Duszanbe pojechałem z Samarkandy w Uzbekistanie. Dystans między miastami wynosi około 300 kilometrów, a jego pokonanie w normalnych warunkach trwa około sześciu godzin. Jechałem autostopem i zajęło mi to cały dzień. Zanim dojechałem na granicę, spotkało mnie dużo życzliwości ze strony Uzbeków. Kiedy wysiadłem w małym miasteczku w Uzbekistanie, nie zdążyłem nawet założyć plecaka na plecy, gdy ktoś otworzył w aucie okno i zapytał, skąd jestem. Gdy odpowiedziałem, że z Polski i że jadę na przejście graniczne, z auta wysiadło paru mężczyzn wyraźnie ucieszonych sensacją. Jeden z nich wykrzyknął najpopularniejszy polski wulgaryzm, po czym z zadowoleniem uścisnął moją dłoń. Zanim pojąłem, co się dzieje, mężczyzna zatrzymał marszrutkę, powiedział coś do kierowcy, wepchnął mnie do środka i zapłacił za całą moją podróż. Kiedy wysiadłem przy przejściu granicznym, znalazłem się pośrodku tłumu taksówkarzy, którzy wyraźnie prześcigali się w składaniu ofert potencjalnym klientom. W ciągu paru sekund dostałem propozycje transportu do Samarkandy, Taszkientu, Duszanbe oraz wielu innych miejsc. Odparłem, że nie skorzystam, bo zamierzam jechać autostopem. Było to pierwsze miejsce, od około trzech tygodni spędzonych w Azji Centralnej, w którym taksówkarze zrozumieli mój zamysł.

Zanim skierowałem się do Tadżykistanu, szukałem w internecie relacji innych autostopowiczów z podróży po tym kraju. Wszystkie, które znalazłem, okazały się bardzo pozytywne. Moja jest podobna. Pierwszy kierowca zatrzymał się, zanim wyciągnąłem dłoń z kciukiem, nie widział nawet mojej twarzy, szedłem wtedy wzdłuż drogi. Zawiózł mnie do oddalonej od granicy o 20 kilometrów miejscowości Pendżykent. Kupiłem tam kartę SIM z internetem oraz spotkałem drugiego kierowcę – taksówkarza, który zgodził się zawieźć mnie do Duszanbe za darmo. Dojechałem tam o zmroku. Komunikacja miejska już nie działała, na piechotę skierowałem się do hostelu.

Kolejnego dnia, zanim wybrałem się do muzeum narodowego, postanowiłem zwiedzić miasto z perspektywy spacerowicza. Zaskoczenie, które towarzyszyło mi od przejścia granicy, nie ustępowało. Pierwszym jego bodźcem była zbudowana przez Chińczyków nowa asfaltowa droga prowadząca między górami od granicy aż do miasta. W Uzbekistanie tak samo jak w Kirgistanie większość infrastruktury sprawiała wrażenie, jakby powstała jeszcze za czasów Związku Sowieckiego. Później podobne zaskoczenie przeżyłem jeszcze w Kazachstanie.

W Duszanbe po ulicach jeździły elektryczne taksówki i nowe autobusy. Miasto było czyste, chodniki równe, a ulice były pokryte niezużytym asfaltem. Nie dostrzegłem krzykliwych pstrokatych billboardów i reklam. W mieście panowały spokój i względna cisza. Spacerując, odniosłem wrażenie, że wielkość budynków jest nieproporcjonalna do garstki ludzi, dla których zostały wybudowane. Stolica niczym nie przypominała Taszkientu, Biszkeku czy Almaty. Z trudem można było tam odnaleźć szare nieocieplone bloki z wielkiej płyty. Miasto przypomina raczej luksusową wersję warszawskiego MDM-u. Pełna przepychu socrealistyczna architektura łączy się tam z tradycyjnym wzornictwem Azji Centralnej, dostrzegłem również podobieństwo do współczesnej architektury arabskiej. Wiele z budynków wytwarza podobną atmosferę do tej odczuwalnej w Dubaju czy Abu Dhabi, na szczęście skala była mniejsza.

Dziedzictwo socjalizmu

Duszanbe jest nowym miastem. Zanim stało się stolicą i metropolią, było miasteczkiem kupieckim znajdującym się na Jedwabnym Szlaku. Tradycja głosi, że co poniedziałek zjeżdżali się tam kupcy, by wystawić na bazarach swoje towary; stąd też wzięła się nazwa – Duszanbe to po polsku „Poniedziałek". Prawa miejskie zyskało dopiero w 1924 roku, czyli wraz z ustanowieniem Tadżyckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. W 1929 roku Związek Sowiecki zmienił nazwę miasta na Stalinabad (Miasto Stalina). Swoją nazwę odzyskało w 1961 roku. Aktualnie różni się od reszty kraju pod niemalże każdym względem.

Miasto zostało wybudowane w czasach socjalizmu, szybko stało się jednym z kluczowych miejsc dla radzieckiej ekspansji kolonialnej w Azji Centralnej, manifestem socjalizmu w islamskim świecie, a jego potęgę ukazuje do dziś. Jednak taki manifest, bardzo potężny i wyraźny,

eprasa.pl 837dc6b7c9

nie współgrał z otaczającą go islamską rzeczywistością. Interesy nowej socjalistycznej republiki i islamskiej plemiennej tradycji różniły się tak diametralnie, że ciężko mówić o możliwości ich współegzystowania, co potwierdziła historia. Nowe miasto, nie będąc zakorzenione w tradycji narodu, musiało od podstaw zbudować nową tożsamość.

Tadżycka Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka powstała dopiero w 1924 roku, jednak przez cztery lata przed ustanowieniem pełnej sowieckiej autonomii w regionie miasto stało się miejscem paru konfliktów. W ich wyniku populacja tego miejsca spadła z lekko ponad 3 tys. mieszkańców do niecałych 300 osób. Wpierw, w 1920 roku, miasto stało się azylem i nowym centrum dowodzącym dla Khana Buchary uciekającego przed zmierzającą w tamtym kierunku Armią Czerwoną. Nie na długo ostało się w jego rękach, bo już w lutym 1921 roku zostało przejęte przez Związek Sowiecki. Khan uciekł wtedy do Afganistanu i stamtąd poprowadził dwie kampanie, w wyniku drugiej przejął władzę w mieście. Jednak i tym razem nie na długo – po czterech miesiącach miasto trafiło z powrotem w ręce Związku Sowieckiego. W 1924 roku w Duszanbe stało jedynie 40 budynków. To właśnie wtedy Moskwa powoli zaczęła wdrażać w życie plan zbudowania nowego ośrodka kolonialnej kontroli.

Pytanie o naród

Kiedy odwiedzałem muzea w innych krajach Azji Centralnej, to – tak jak w Tadżykistanie – zadawałem przewodnikowi to samo pytanie: „Kiedy wśród obywateli zrodziło się poczucie tożsamości narodowej? Kiedy Uzbek, Kirgiz, Tadżyk czy Kazach zaczął o sobie mówić w taki sposób?".

Bardziej lub mniej świadomie poszukiwałem europejskiego schematu, który przez parę stuleci ujawniał poczucie tożsamości, czyli poczynając od rewolucji francuskiej ujętej jako jeden z pierwszych bodźców, przez transformację przemysłową, aż do II wojny światowej, która „zwieńczyła" dzieło kształtowania egalitarnego społeczeństwa obywatelskiego.

W Azji Centralnej historia tożsamości potoczyła się w innym tempie. Tam wydarzenia prowadzące do współczesnej demokratycznej struktury władzy zlały się w jeden etap historii – wiek XX i sowiecki kolonializm. To Związek Sowiecki przeprowadził rewolucję społeczną, która – tak samo jak francuska – została wymierzona przeciw klasowej strukturze władzy oraz religii, on przeprowadził transformację przemysłową, budując fabryki czy kopalnie, to on zoptymalizował przyrodę oraz przesiedlił całe masy ludzi w celu uprawy bawełny, to również on pobudował uniwersytety (także dla kobiet).

Kim jest Tadżyk?

W Duszanbe, pośrodku miasta wzniesionego na cześć Stalina, stoi ponad 25-metrowy pomnik Ismaila Samaniego pokryty czystym złotem. Wybudowany w 1999 roku w celu upamiętnienia jedenastu wieków państwa Samanidów, perskiej cywilizacji panującej wówczas w Azji Centralnej, wzywa Tadżyków do manifestowania tożsamości narodowej. Jest próbą zakorzenienia współczesnej tadżyckiej tożsamości w relikcie perskiego imperium. Jednak rodzi się poważne pytanie – z jakiego powodu Tadżykistan poszukuje swojej tożsamości w Persji? Oraz – kim jest Tadżyk?

Odpowiedź na to pytanie wcale nie jest jednoznaczna. Tadżykistan jest nowym państwem utworzonym przez Związek Sowiecki. Wcześniej teren ten przez wieki znajdował się pod wpływem wielu imperiów. Najważniejszym z nich, czyli tym, do którego odwołuje się współczesny Tadżykistan, oraz tym, które miało wyraźny aż do dziś wpływ w regionie, było imperium perskie. Jednak imperium nie było totalnie jednoczące w kwestii poczucia tożsamości. Słowo „Tadżyk" było używane wpierw przez Turków na określenie Arabów, potem tym mianem zaczęto określać po prostu muzułmanów, następnie Persów wyznania mahometańskiego, aż w końcu ostatnia denotacja zawężała się do tych muzułmanów, którzy zamieszkiwali perski kawałek Azji Centralnej. Kiedy do rejonu wkroczył Związek Sowiecki, zaczął on tak nazywać wszystkich tych, którzy mówili po persku lub w językach wschodnioirańskich.

Problemów było parę: większość ze wspólnot, które zamieszkiwały Pamir i tereny współczesnego Tadżykistanu, nie określała się tym mianem, większość z nich utożsamiała się z wyznaniem lub miejscem, z którego się wywodzili. Kolejnym problemem, z którym spotkało się wielu, było żądanie Związku Sowieckiego dotyczące deklaracji etniczności – był to koncept niezrozumiały przez nomadów zamieszkujących góry Pamiru i nie do końca jasny dla mieszkańców małych nizinnych miasteczek. Jeszcze jednym z problemów były wyznaczone przez Związek Sowiecki, bez respektu dla historii oraz podziałów etnicznych i kulturowych, nowe granice. Owoce tego podziału widać do dziś. Samarkanda, Buchara i Kiwa, trzy główne destynacje turystyczne w Uzbekistanie, są miastami wzniesionymi przez Persów. Znaczna część ludności zamieszkującej te tereny nie uważa się za Tadżyków, również znaczna część mówi w farsi. Samo jednak wytyczenie granicy w obowiązujący do dziś sposób nie wynikło z ignorancji Moskwy. Można by nawet przesądzić, że odbyło się niejako wbrew radzieckiemu planowaniu. Początkowo Moskwa miała w planach podzielić Azję Centralną na republiki w oparciu o kryterium etniczności. Ten pomysł miał posłużyć zmniejszeniu i uspokojeniu nacjonalistycznych odruchów. Za

eprasa.pl 837dc6b7c9

wszystkim miało stać referendum, jednak jego jakość pozostawia wiele do życzenia. W głosowaniu nie wszyscy mogli wziąć udział, wielu również nie do końca rozumiejąc czy pochwalając kategorię etniczności, kierowało się aktualnymi dla siebie względami gospodarczymi czy ekonomicznymi. Poza tym Tadżycka Republika Radziecka, mimo że była autonomiczna, podlegała władzom Uzbekistanu, a ten – jako mocniejszy gracz na arenie wpływów w Azji Centralnej – zagarnął wspomniane terytorium. Skończyło się to tak, że kiedy w 1924 roku wytyczono granice, większość Tadżyków mieszkała poza granicami własnej republiki. Podział terytorium został co prawda później, wraz z uzyskaniem niepodległości od Uzbekistanu w 1929 roku, skorygowany na korzyść Tadżykistanu, jednak znaczna część terytorium etnicznie należna Tadżykom do dziś pozostaje poza granicami państwa.

Sowiecka interwencja

Bezpośrednio, we współczesny sposób, do zagadnienia tożsamości Tadżyckiej odniósł się dopiero Związek Sowiecki, to on ją ujawnił i zrzucił na barki nieświadomych jeszcze tego faktu Tadżyków. Jednak sowieckie kształtowanie tożsamości było dość wybiórcze, co prawda ugruntowane w dziejach Persji, ale raczej należałoby stwierdzić, że to dzieje Persji zostały zmanipulowane w celu wytworzenia państwa proletariatu. Tożsamość narodowa była kształtowana w systemie ograniczeń, które miały nie dopuścić do powstania burżuazji czy innych ideologicznych „dewiacji". W tym celu jeden z członków partii komunistycznej, na polecenie przełożonych, przygotował kompendium tadżyckiej literatury. W tej pracy, trochę może na przekór partii, zdecydował się umieścić dzieła perskich pisarzy, zanurzając tym tadżyckie dziedzictwo kulturowe w szerszym świecie Persji. Inny członek partii i historyk doszukiwał się korzeni Tadżyków w rasie irańskiej Azji Centralnej, mieszając ich dokonania z dokonaniami imperium Samanidów. Wszystkie te poczynania były sporządzone w sposób niedający jednoznacznego przekonania o pochodzeniu Tadżyków. Tadżykistanowi, jako republice radzieckiej, nie wypadało szukać tożsamości poza granicami Związku Sowieckiego. W latach 30. modernizacje przeszedł język tadżycki, nie można już było nauczać, posługując się alfabetem arabskim, a ci, którzy się do tego nie stosowali, spotykali się z ryzykiem zarzutów o ekstremizm religijny. W latach 40. alfabet znowu za wskazaniami Moskwy uległ zmianie, tym razem z łacińskiego na cyrylicę.

Zmieniała się nie tylko kultura. Związek Sowiecki inwestował w gospodarkę rolną, a w szczególności w uprawę bawełny. Znany jest przykład teraz leżącego na terenie Uzbekistanu i Kazachstanu Morza Aralskiego, podobny precedens miał miejsce również w Tadżykistanie, jednak irygacje pól bawełny kosztem przyszłych katastrof naturalnych to inny temat. Temat, który w większej mierze znajduje się w spektrum odpowiedzi na pytanie o tadżycką tożsamość, to relokacja ludności. Stalin wprowadzając nowe podziały i przesiedlając ludzi, wyrwał ich z kontynuacji lokalnych tradycji, zaburzając genealogię wspólnoty, a często wręcz anihilując całe masy. W procesie transformacji narodów, które nie posiadały jeszcze ukształtowanej świadomości narodowej, Związek Sowiecki wykreował nowego człowieka. Taki był przynajmniej zamysł, bo o ile na prowincji państw Azji Centralnej nie doświadczałem bezpośrednio wyraźnych owoców ubiegłego stulecia, przynajmniej w kulturze (nie mam też doświadczenia, do którego mógłbym w klarowny sposób odnieść to, co zastałem), tak sytuacja miała się inaczej w stolicach, których najlepszym pod tym względem przykładem jest właśnie Duszanbe.

Kim jest nowy człowiek – obywatel Duszanbe? Niepodległy Tadżykistan od lat podejmuje wiele prób desowietyzacji, pomniki Lenina są zastępowane monumentami perskich naukowców czy poetów, tak samo jak nazwy ulic i parków. W centrum miasta stoi już wspomniany pomnik manifestujący niepodległość i tożsamość. Zdaje się jednak, że pomimo formalnego odseparowania od dziedzictwa Związku Sowieckiego, pozostaje on ciągle żywy w umysłach obywateli. Mimo formalnej desowietyzacji Tadżykistanowi nie udało się jeszcze zdesowietyzować tego, czego nie da się zastąpić innym pomnikiem – umysłu (jednym z wielu przykładów jest tu rozmowa w muzeum).

Powrót

W Duszanbe spędziłem jedynie parę dni, początkowo w ogóle nie planowałem wizyty w Tadżykistanie. Jednak kiedy odwiedzałem Samarkandę, skusiła mnie ku temu niewielka odległość oraz lęk przed potencjalną niemożliwością powrotu w te rejony. Wracając, skierowałem się na tę samą trasę, którą parę dni wcześniej przybyłem do miasta. Stanąłem przy drodze i wyciągnąłem rękę z podniesionym kciukiem. Po paru minutach zatrzymało się dwóch Tadżyków, którzy po krótkich wakacjach wracali do pracy w Kazachstanie. Trasę przemierzaliśmy w akompaniamencie dyskusji o zamachach w Moskwie z 22 marca, których mieli dokonać Tadżycy. Kierowca z kolegą śmiali się z nich, że zgodzili się tak ryzykowną akcję przeprowadzić na zlecenie za jedyne 5 tys. dolarów. Pokazali mi również przez okno wielką elektrownię wodną, jak wspomnieli – największą w Tadżykistanie, po czym zaśmiali się, kpiąc ze swojego kraju, wspominając, że i tak największe z niej zyski czerpie Rosja. Niestety, Tadżykistan, tak jak pozostałe kraje Azji Centralnej, wciąż zmaga się z postkolonialnym wpływem otaczających go mocarstw: Rosji i Chin. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Marcin Wolski

Skandale, skandale

Do opisania sytuacji we współczesnym świecie najlepiej chyba pasuje tytuł głośnego filmu z 1989 roku „Seks, kłamstwa i kasety wideo". Chociaż w kinowym dramacie akcja kręci się wokół małżeńskiego trójkąta, to w realu mamy plątaninę wielokątów na najwyższych szczeblach. Media dalej grzeją sprawę Jeffreya Epsteina – a im dłużej miliarder nie żyje, tym bardziej afera wydaje się rozwojowa. I nie tylko z tego powodu, że wiele wskazuje na to, iż w więzieniu, w którym nagle wyłączyły się kamery, odwiedził go seryjny samobójca.

To akurat można było przewidzieć. Mniej do przewidzenia było to, że objawi się nieznana dotąd szerzej jego spadkobierczyni w osobie Kariny Szuliak, młodej Białorusinki o wyglądzie niewinnej sierotki, której występny biznesmen na dwa dni przed swą śmiercią zapisał ponoć 50 mln dolarów. Do tego dochodzą kolekcja 48 diamentów i posiadłość na Wyspach, nomen omen, Dziewiczych. Hojność wręcz zapierająca dech, jako że wcześniej otrzymała już od bogacza posiadłość w rodzinnym Mińsku, opłaciła leczenie matki i poszła na studia na Uniwersytecie Columbia. Odbierała także od Epsteina regularne kieszonkowe. Co istotne, Karina potrafiła być wdzięczna. Była z tym „Sexsteinem" siedem lat, tolerując pozostałe dziesiątki kochanek, z którymi się zadawał. Jako jedna z niewielu przetrwała u boku przestępcy aż do jego śmierci. I była ostatnią, która odwiedziła go w więzieniu 30 lipca 2019 roku o godzinie 17:15…

Jednak może się okazać, że jeśli chodzi o konsekwencje, to zdecydowanie dalej idące może wywołać skandal, który wybuchł u naszych bratanków. Wybory nad Balatonem za pasem i jak dotąd sondaże wskazywały, że Fidesz Orbána najprawdopodobniej straci władzę. Odkąd do partii Szacunku i Wolności (Tisza) dołączył uciekinier z Fideszu Péter Magyar (nazwisko popularne tak jak w Polsce Polak), ugrupowanie to szło jak burza, prezentując wysokie standardy moralne… (Magyar poświęcił nawet byłą żonę za tuszowanie przestępstw pedofilskich). Do czasu.

Pojawiła się bowiem zapowiedź upublicznienia sekstaśmy z udziałem lidera i jego byłej partnerki w łóżku (gdzieś na marginesie partyjnej narady), opublikowano już pierwsze zdjęcia – na razie samego łóżka… Ale co będzie w kolejnych odcinkach?

Tonący brzytwy się chwyta, mimo to wielu kibicuje Orbánowi, w tym nasi politycy na wychodźstwie, którym zwycięski Magyar obiecuje cofnąć przyznany azyl. A wydawało się, że Ziobro i Romanowski są w Budapeszcie bezpieczni jak w sejfie.

Á propos sejfu – jakby mało było powodów do polaryzacji politycznej, Sejm wyraził zgodę na przyjęcie pożyczki na obronność SAFE, oprotestowanej przez opozycję. Ale jak miał nie uchwalić, skoro wśród wi-

> Program SAFE przypomina kasę pancerną pełną pieniędzy, którą otworzyć można jedynie od wewnątrz, dyktując własne warunki.

dzów zasiadł ambasador RFN, zdradzając swoją misję – kuratora rządu Tuska. Nie wiem, dlaczego przypomnieli mi się ambasadorowie Rosji od Repnina po Kaszlewa, odgrywający podobną rolę.

Co do „pożyczki" – na pierwszy rzut oka chciałoby się powiedzieć: brać, jak dają. Jednak przezorni dostrzegają w Unii nie dobrotliwą ciotkę, lecz chytrego akwizytora wymuszającego zakupy, pożyczki itp. na zero procent. Zasada warunkowości pozbawi nas ostatnich szans na swobodne manewry, a spłaty – ostatecznie pogrążą. Czy koalicja tego nie widzi, czy też działa wedle maksymy „po nas choćby potop"?

Tymczasem program SAFE przypomina kasę pancerną pełną pieniędzy, którą otworzyć można jedynie od wewnątrz, dyktując własne warunki. Skandal?

Jakby tego było mało, na co dzień trwa nieprzerwana, obrzydliwa nagonka na prezydenta i jego małżonkę. Głupia, niecelna i – jak widać – nieskuteczna, poparcie dla Karola i Marty Nawrockich ciągle rośnie… Ale jaki wstyd!

eprasa.pl 837dc6b7c9





Krzysztof Karnkowski

Pojedynek w Kozielsku

Pod koniec lutego na ekrany naszych kin wszedł zapowiadany jako thriller historyczny film Łukasza Palkowskiego „Pojedynek". Kończący kilka dni po premierze 50 lat reżyser potwierdza nim swój talent i opowiada o ważnych dla naszej historii i pomagających zrozumieć teraźniejszość wydarzeniach.

Łukasz Palkowski filmy i seriale robi od ponad 20 lat, a „Pojedynek" to jego piąty pełny metraż. Zadebiutował w 2005 roku filmem „Rezerwat", będącym klimatycznym i poruszającym portretem pomału odchodzącej już wówczas starej warszawskiej Pragi. Życie i problemy mieszkańców okolicy, którą jeszcze niedawno po drugiej stronie Wisły straszono nie tylko dzieci, oglądaliśmy oczami fotografa, który po życiowym zakręcie trafia w zakazane okolice, przecinane trasą tramwaju 23. Był to obraz całkiem wiarygodny, pełen życzliwości dla swoich bohaterów, lecz przy tym nieuciekający od współczesnych problemów. W pewnym sensie było to też oparte na przełamaniu stereotypów oskarżenie: to świat sypiącej się kamienicy, świat alkoholu, biedy i upadku okazywał się bardziej moralny, uczciwszy niż światek elit i ludzi do miana tego aspirujących. Nawet główny bohater bardzo długo nie potrafił grać czysto, choć można go uznać za faceta ze swoimi zasadami. To cieszące się najgorszą sławą ulice Stalowa i Czynszowa dopełniają procesu jego moralnego wychowania.

Obraz obsypany nagrodami

Chwilę później Palkowskiemu przydarzyła się komedia „Wojna męsko-żeńska", którą uznać trzeba jednak za wypadek przy pracy. W 2014 roku na ekran weszli „Bogowie", film pokazujący losy Zbigniewa Religi i osób z jego otoczenia (w tym również już nieżyjącego prof. Mariana Zembali), będący też opowieścią o zderzeniu najbardziej twórczych jednostek z PRL-owską, systemową niemocą. Znakomita obsada, klimatyczne zdjęcia i pasująca do obrazu muzyka złożyły się na bardzo dobry i dobrze odebrany film. „Bogowie" zdobyli w 2015 roku aż trzy polskie nagrody filmowe Orły: za najlepszy film, najlepszą reżyserię i nagrodę publiczności, przyznaną za pośrednictwem Filmwebu. W roku premiery „Bogowie" otrzymali Złote Lwy i nagrodę dla najdłużej oklaskiwanego filmu na festiwalu w Gdyni. Film zarobił ponad 11 mln dolarów i był najchętniej oglądaną w roku swej premiery krajową produkcją. Co ciekawe, 2014 rok był u nas zdecydowanie czasem kina historycznego, bowiem na podium „Bogom" towarzyszyły wówczas „Jack Strong" Pasikowskiego i „Miasto '44" Komasy.

Trzy lata później Palkowski nakręcił „Najlepszego", pokazując historię polskiego triatlonisty Jerzego Górskiego i jego drogę od całkowitego upadku do pięknych sportowych zwycięstw. Film nie powtórzył tak wielkiego sukcesu, jakim cieszyli się „Bogowie", choć był do nich porównywany przez część krytyków. Obejrzał się jednak dobrze i był jednym z popularniejszych polskich filmów w 2017 roku. Równocześnie Palkowski reżyserował wiele znanych seriali, przede wszystkim kryminałów.

Bój o duszę Karola Grabowskiego

Przy okazji „Najlepszego" niektórzy krytycy uznali, że Łukasz Palkowski wyspecjalizował się w filmach, które mają za zadanie zostawiać widza w dobrym nastroju. W kinie historycznym trudno mówić o spoilerach, gdy znamy zakończenia większości opowieści. Nie zdradzę więc wielkiej tajemnicy, pisząc, że z seansu „Pojedynku" podbudowani raczej nie wyjdziemy, choć po drodze nie zabraknie ani śmiechu, ani wzruszeń. Trudno by było inaczej, skoro na ekranie widzimy historię, która po krótkim ujęciu wojennej zawieruchy, przez prawie cały film rozgrywa się w Kozielsku, a kończy – w katyńskim lesie.

Nowy film Palkowskiego to opowieść zbudowana na nielicznych świadectwach dotyczących tego sowieckiego obozu jenieckiego, do którego – obok Ostaszkowa i Starobielska – po 17 września 1939 roku trafiali polscy oficerowie. Nie tylko zawodowi, wielu z nich było oficerami rezerwy, lekarzami, prawnikami, inżynierami, naukowcami, wśród jeńców znajdowali się też duchowni. I… artyści, co pozwoliło stworzyć fikcyjną, lecz opartą na obozowych historiach opowieść o genialnym pianiście, którego sowiecki reżim, spersonifikowany w postaci ambitnego oficera NKWD, próbuje przeciągnąć na swoją stronę. Różnymi sposobami: obietnicą kariery, możliwością koncertowania na całym świecie, a gdy to nie skutkuje – bezpieczeństwem rodziny. Ten bój o duszę Karola Grabowskiego (gra go Jakub Gierszał, wcześniej obsadzony przez Palkowskiego w głównej roli w „Najlepszym") prowadzi major Wasilij Zarubin. To dość nietypowa postać: gość z ambicjami, wymykający się stereotypowi brutalnego sowieckiego sołdata. Poliglota, znawca sztuki, niepasujący pozornie do aparatu przemocy, w którym jednak całkiem dobrze się odnajduje, choć niekoniecznie sam ma ochotę przemocą się posługiwać. Ten tytułowy pojedynek w pewnym stopniu przywodzi na myśl niedawną „Norymbergę", choć w polskiej produkcji dobro i zło występują w odwrotnych niż u Jamesa Vanderbilta rolach. Zarubina gra zagraniczna gwiazda filmu, Aidan Gillen, znany m.in. z roli Littlefingera w serialowej „Grze o tron". I jest to zupełnie naturalne, bo i tak swoją grę z Grabowskim Rosjanin prowadzi po angielsku. Innych w tym sa-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 837dc6b7c9

mym czasie kusi po francusku. Niemal wszystkich jednak nieskutecznie, co staje się przyczyną zagłady, której heroldem jest pojawiający się w nocy Beria, grany przez Tomasza Kota.

Galeria postaci

W tle widzimy całą galerię postaci, zebranych niczym II RP w pigułce, oficera – lekkiego antysemitę (nie idziemy tu jednak w żadną kuszącą zapewne złą stronę, w której mógłby on okazać się zdrajcą) i żydowskiego matematyka, mamy Ślązaka i górala, mamy wreszcie jedyną kobietę w obozie – piękną pilotkę (Julia Pietrucha), której obecność generuje pewne napięcia, lecz bardziej pomaga, niż utrudnia życie innym jeńcom. Po drugiej stronie, poza Zarubinem, zalewa nas raczej prymitywna sowiecka swołocz niczym z propagandowych plakatów z 1920 roku. Bohater Gillena wykorzystał cały przydział Mecwaldowski, Antoni Pawlicki i Mateusz Kościukiewicz.

Film porządny i ważny

Film robi wrażenie nie tylko samym tematem. Scenariusz powstał na bazie wcześniejszego scenariusza Roberta Glińskiego i Agathy Dominik „Sanatorium Gorkiego", a ten z kolei na podstawie opowiadań „Kundel" i „sanatorium Gorkiego" napisanych przez Glińskiego. Gdyby nie poszła za nim naprawdę dobra realizacja, zdjęcia na najwyższym poziomie (Piotr Sobociński jr), wiarygodna scenografia i lokacje, a całości nie domknęła udana muzyka Bartosza Chajdeckiego, nie byłaby to tak udana produkcja. Palkowskiemu udało się zrobić film, który pozwala mu wydostać się z dawnej szufladki twórcy optymistycznych obrazów, a zarazem trzyma poziom jego najlepszych produkcji. Mamy tu i szczątkowe, ale mocne sceny batalistyczne,

> To porządne kino, które opowiada historię w sposób, który nie obrazi wrażliwości i inteligencji osoby posiadającej odpowiednie przygotowanie, a zarazem dobrze wprowadzi w dawne wydarzenia widza niemającego o nich żadnej wiedzy.

subtelności dla tej strony. Pomiędzy żywiołami są jeszcze ukraiński wozak (tu kolejny zagraniczny gość, Paul Freeman) i polski lekarz obozowy (grany przez Bogusława Lindę, więc wiemy już, że „Zamach na papieża" nie był ostatnią pozycją w jego filmografii). Jest wreszcie żona Grabowskiego (Anna Próchniak) i wnosząca w całą opowieść element radosnego chaosu postać saszki (Grisza Gorobuczuk), syna Zarubina, dzieciaka, który początkowo nie lubi głównego bohatera, by później zaprzyjaźnić się z nim i brać od niego lekcje gry. To jemu zawdzięczać będziemy nie tylko element komediowy, budowany wokół jego samego i psa, będącego największym obozowym kontrrewolucjonistą, lecz także jedno z większych wzruszeń podczas seansu. Łukasz Palkowski ma, jak się zdaje, szczęcie do takich dziecięcych postaci. Saszka na swój sposób przypomina Grześka, łobuza z Pragi, którego los zetknął z głównym bohaterem „Rezerwatu". Grześka grał, wtedy jeszcze bardzo młody, brat reżysera, Grzegorz, którego w „Pojedynku" widzimy w roli górala. W inne postaci wcielają się m.in. Wojciech mamy dobrze oddany klimat dawnego klasztoru, przerobionego na obóz jeniecki, mamy wyglądającą podejrzanie mazowiecko przyrodę, w której Grabowski będzie próbował się chronić, wreszcie zaś piwnice, katownie i ten jeden, tak dramatycznie zapisany w naszej historii las. To porządne kino, które opowiada historię w sposób, który nie obrazi wrażliwości i inteligencji osoby posiadającą odpowiednie przygotowanie, a zarazem dobrze wprowadzi w dawne wydarzenia widza niemającego o nich żadnej wiedzy. „Pojedynek" jest to dzieło ważne nie tylko jako thriller historyczny, choć znakomicie się w tym charakterze broni. To również opowieść o specyficznym polskim charakterze, któremu wciąż ambitni publicyści poświęcają książki, celebrując go lub załamując nad nim ręce, a który każe nam zachować się niczym Herbertowski Pan Cogito. Wreszcie to jeszcze jeden rozdział, jeden z wielu prequeli opowieści o rosyjskiej agresji, która powtarza się wciąż na naszych oczach. Historia może się przecież powtórzyć, nie oglądamy tu czegoś, o czym z całą pewnością możemy powiedzieć, że jest już dawno za nami. ■

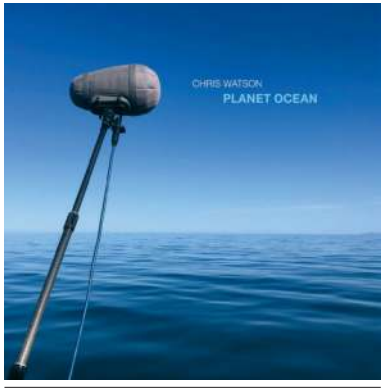
eprasa.pl 837dc6b7c9

Marek Kalinowski

O czym szumi ocean?

Ocean nigdy nie milknie – opowiada historie zapisane w falach, lodzie i wietrze. Chris Watson wyrusza ze swoimi mikrofonami w kolejną niezwykłą podróż, zabierając nas do miejsc, w których ludzki ślad prawie znika. Album „Planet Ocean" jest trochę muzycznym reportażem, a trochę grą wyobraźni, w której słuchanie staje się odkrywaniem świata na nowo.

Agdyby tak wszystko rzucić i posiedzieć nad oceanem? Być może taka właśnie myśl zapoczątkowała ten wyjątkowy album. Znany realizator dźwięku i muzyk Chris Watson ponownie wyruszył w podróż, tym razem po wybrzeżach całego świata. Słuchamy więc fal u wybrzeży Galapagos, odgłosu ptaków na plaży w Suffolk i tarcia lodu na Antarktydzie, a to dopiero początek tej muzycznej wyprawy. Morze w każdym z tych miejsc brzmi zupełnie inaczej. Rytm fal na angielskim brzegu, przy wtórze mewich pieśni, potrafi przywołać najpiękniejsze wakacyjne wspomnienia. Z kolei nagrania z rafy koralowej prowadzą ku skojarzeniom kompletnie innym, dalekim od morskich obrazów. Czasem potrafią wręcz zmrozić dźwiękiem, niczym uderzenia lodowatej wody o pustkowia Islandii. Za każdym razem jest to fascynująca gra między wnikliwym i precyzyjnym dokumentem a nieograniczoną wyobraźnią słuchacza.



Chris Watson, PLANET OCEAN, Touch

Czym właściwie jest sound recording albo jeszcze ściślej – jak w tym wypadku – field recording? Ta technika wykorzystywana jest niemal od początku produkcji radiowej oraz telewizyjnej. Polega na przechwytywaniu dźwięków z otoczenia za pomocą mikrofonów oraz zapisywaniu ich na nośniku fizycznym czy dzisiaj częściej cyfrowym.

Punkt wyjścia artysty jest więc zupełnie inny niż w nagraniach, które zwykle mamy okazję spotykać w naszej muzycznej rubryce. Twórca nie zaczyna bowiem od własnych pomysłów, lecz od poszukiwania dźwięków, które już istnieją. Dopiero potem przychodzi czas na kreację: selekcję, wybór i łączenie materiału, a dalej – jeśli taka będzie decyzja twórcy – mniej lub bardziej subtelne przetworzenia, wyciszenie, innym razem zapętlenie tła.

Watson, od wielu lat związany ze stacją BBC, pasją nagrań terenowych zaraził się już w dzieciństwie, od kiedy otrzymał w prezencie swój pierwszy magnetofon. Od tamtej pory świat stał się dla niego niczym nie ograniczonym studiem nagraniowym. Z pewnością nagrywanie dźwięku pół wieku temu, przed epoką cyfrową, było o wiele trudniejsze, napotykało więcej ograniczeń i wymagało też więcej kreatywności. Przy najnowszych nagraniach z „Planet Ocean" artysta używa już wysoce zaawansowanego sprzętu – mikrofonów, kabli, mikserów oraz osłon odpornych nie tylko na wilgoć i bezpośredni kontakt z wodą, lecz także na ekstremalnie niskie temperatury. Hydrofony używane na Antarktydzie pozwoliły opuszczać urządzenia nawet przez lodowe szczeliny i sięgać głęboko pod powierzchnię.

Wśród wielu albumów nagranych przez brytyjskiego dźwiękowca znajdziemy niezwykłą podróż meksykańską koleją „El Tren Fantasma", unikalne przyrodnicze pejzaże zebrane w „Weather Report", a także jeden z moich ulubionych – „Stepping Into the Dark" – na którym Watson udowadnia, że miejsca też mają duszę.

„Planet Ocean" zajmuje w tym katalogu miejsce szczególne. Zabiera nas prawdopodobnie najdalej od cywilizacji. Bogactwem i różnorodnością morskich dźwięków można zachwycać się godzinami, zanurzając się w nich bez reszty. Dokumentalista swoimi nagraniami przypomina też, że muzyka istnieje nawet bez udziału człowieka, wystarczy tylko wyczulić zmysły. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 837dc6b7c9



Elżbieta Wiater, „Linoskoczek. Biografia duchowa ks. Jana Kaczkowskiego", eSPe, Kraków 2025.

Krzysztof Wołodźko



Krzyżowa droga wśród ubogich Pana

28 marca mija dziesiąta rocznica śmierci księdza Jana Kaczkowskiego. „Linoskoczek" Elżbiety Wiater to dobra okazja, by przypomnieć sobie tego katolickiego duchownego. I zobaczyć znacznie więcej niż jego medialny obraz: przyjrzeć się jego tradycyjnej duchowości, ewangelicznym motywacjom, społecznikowskiemu zacięciu. To okazja, by dać się oczarować jego rubasznym żartom i zadumać nad ofiarną modlitwą.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Tak po ludzku był skazany na klęskę. Urodził się jako wcześniak: „W seminarium do końca nie wiedziałem, czy dotrwam do święceń. Nie dlatego, że się wahałem. Nigdy niczego nie byłem tak pewny jak tego, że chcę zostać księdzem. Od zawsze miałem lekki, połowiczny niedowład, prawdopodobnie wskutek urazu okołoporodowego. Prawo kanoniczne mówi, że ksiądz powinien być zdrowy, więc co jakiś czas wracała kwestia mojej przydatności" – mówił w 2014 roku Jarosławowi Mikołajewskiemu z „Gazety Wyborczej". Wszak rozmawiał ze wszystkimi. I pukał do każdych drzwi. Nie wszyscy mu otwierali. Jezuici go nie chcieli, bo reguła zakonna, oparta na charyzmie i charyzmacie byłego żołnierza, Ignacego Loyoli, zaleca dużą ostrożność wobec chorowitych kandydatów. W 1996 roku świeżo upieczony maturzysta, mój rówieśnik z pokolenia X, trafił więc do seminarium duchownego w Gdańsku. Księdzem został sześć lat później – wyświęcony w gdańskiej Bazylice Mariackiej przez abp. Tadeusza Gocłowskiego. Nie dał się odepchnąć od ołtarza, choć powątpiewano w jego zdrowie – przełożonych szczególnie niepokoiła poważna wada wzroku pewnego swego powołania kleryka. Potraktujmy to również jako metaforę: wbrew obawom tych, którzy długo decydowali o jego losie, nie przeszedł przez kapłańskie życie ani ślepy, ani głuchy, ani sparaliżowany. Przeciwnie: okazał się znakiem żywego, pełnego miłosierdzia i mało szablonowego Kościoła. Kościoła najwierniejszego swojej misji pośród świata.

To nie był „fajny ksiądz"

Perypetie księdza Jana opisane zostały obficie. W sieci bez trudu znajdziemy okruchy i okruszki jego życia, porozrzucane jak klikbajty bądź przypowieści przydatne na najróżniejsze okazje. Zaryzykowałbym tezę, że ksiądz Kaczkowski należy do jednoosobowego grona duchownych, o których bodaj wszystkie środki przekazu, nie tylko konfesyjne, niezależnie od ich ideowej proweniencji, pisały chętnie i życzliwie. Elżbieta Wiater w „Linoskoczku" stawia sobie ambitniejsze zadanie niż karmienie czytelników i czytelniczek rzucanymi garściami anegdotami. Opowiada biografię duchową kapłana, który stał się ikoną współczesnej kultury masowej. Nie jest to jednak lekka i łatwa książka o onkocelebrycie z koloratką, lecz wymagająca wczytania się i elementarnej znajomości katolickiej doktryny sylwetka charyzmatycznego, a przecież arcyludzkiego mężczyzny, głęboko doświadczonego przez życie. Wierzący praktykujący i niepraktykujący nazwą jego los krzyżem, który z łaską Bożą godnie dźwigał. Inni wskażą motywy niereligijne. W tej historii ważne jest jednak coś więcej, co dobrze udało się pokazać autorce. Pozwolę sobie na autocytat. W recenzji „Linoskoczka" dla „Codziennej" pisałem, że „wielkim niebezpieczeństwem dla ludzi Kościoła, którzy znajdą łaskę w oczach tłumów, jest to, że się pogubią i pójdą za światem". I dodawałem: „Ksiądz Jan Kaczkowski, choć przyciągał do siebie wierzących i niewierzących, uchronił się przed tą pułapką". Po lekturze „Linoskoczka" jestem pewien, że to żywe powołanie, pielęgnowane na sposoby przyrodzone i nadprzyrodzone, nieoddane na żer własnym i cudzym namiętnościom, pomogło „Johnny'emu" stoczyć dobrą walkę, ustrzec wiary i godnie ukończyć bieg. Nie jest to więc książka o „fajnym księdzu", który jakimś cudem nie zrzucił sutanny pośród oklasków świata. To przypomnienie, że i wśród zachwytu i pochlebstw szukających dobrej zabawy tłumów, i wśród najdotkliwszego cierpienia własnego i bliźnich, można pozostać wiernym sobie, swojej kapłańskiej drodze. I to jest rzecz godna podziwu.

Janusz Głowacki w jednym ze swoich amerykańskich opowiadań, „Rose Café", naszkicował sylwetkę duchownego z Los Angeles, który wziął w obronę bezdomnych Meksykanów, koczujących na plaży w słynnej, artystowskiej dzielnicy Venice. „Przed spychaczami i oddziałami policji rozkrzyżował ramiona młody ksiądz z kolczykiem w uchu. Grożąc gniewem bożym, wziął w obronę naszych biednych braci szczególnie przez Chrystusa umiłowanych. Mówił pięknie i policja się zawahała. Tego samego dnia kilka kanałów telewizyjnych nadało duże fragmenty jego wystąpienia. Ksiądz zaczął robić karierę. Miał długie jasne włosy i niebieskie oczy. Udzielił paru wywiadów, pokazał się w kilku talk-showach i miasto go pokochało. Bezdomni z Venice stali się modni. Dookoła plaży zaczęły się tłoczyć Rolls-Royce'y, a kilka gwiazd sfotografowało się z czarnookimi dziećmi bezdomnych na rękach. Zaraz potem ogłoszono, że ksiądz będzie miał własny talk-show poświęcony miłości bliźniego i miłosierdziu". Chwilę później przyszły burze, kilku bezdomnych utonęło, pochłoniętych przez wysokie fale, reszta uciekła z plaży, a policja nie pozwoliła im tam wrócić. Opinia publiczna znalazła nowe, elektryzujące tematy: „Na pomoc przyjechał Mercedesem-Benz jasnowłosy ksiądz, ale tym razem wszyscy słuchali go bez przekonania. […] Parę dni później CBS odwołało talk-show o miłosierdziu i miłości bliźniego". Ksiądz z opowiastki Głowackiego został aktorem i dostał rolę u znanego reżysera z Paramount.

„Johnny" i katolicka Tradycja

Gdy w drugiej połowie lat 90. po raz pierwszy przeczytałem powyższe opowiadanie, nie pasowało do polskich realiów. Mogło wydawać się, jeśli nie wydu-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 837dc6b7c9

mane, to odległe od naszych doświadczeń. Kilkadziesiąt lat później nie wydaje się już niemożliwe. Życie pisze u nas lokalne scenariusze, ale schemat bywa podobny. Nie są to już wyłącznie literackie wprawki: klerycy i księża, zakonnicy i zakonnice realnie przeistaczający się w byłych księży, zakonnice i zakonników, budujący nowe, świeckie kariery nie u reżyserów z Paramount, lecz w lokalnych, wpływowych środowiskach wymagających jako wkupne tylko jednego: solennych potępień Kościoła. Skupmy się jednak na nieco innym wątku. Głowacki w króciutkim opowiadaniu zręcznie naszkicował mechanizm prowadzący od ewangelicznego radykalizmu do pożarcia przez świat. Tym cenniejsza jest zupełnie inna opowieść. Życie księdza Jana to historia ortopraksji, który pozostała w zgodzie z ortodoksją: ewangelicznej misji, która była integralną częścią kapłańskiej formacji. Co więcej, wewnętrzne wybory założyciela puckiego hospicjum sprawiły, że bliska mu była Msza trydencka i tradycyjna religijność Kościoła. Ksiądz Kaczkowski miał w tej materii niemałe szczęście: zmarł w pierwszych latach pontyfikatu Franciszka, gdy papieski raban nie dotykał jeszcze zbyt mocno środowisk wiernych Tradycji, a zarazem pozostających w ścisłej łączności z Rzymem.

Elżbieta Wiater wprost zwraca uwagę na ten element biografii księdza Jana, z którym nie każdemu będzie wygodnie: „Wiele osób nie potrafi zrozumieć, jak człowiek czytujący regularnie i z zachwytem »modernistów«, fan »Tygodnika Powszechnego«, z dumą podkreślający, że w jego domu czyta się »Gazetę Wyborczą« od jej pierwszego numeru, jednocześnie może być zafascynowany tridentiną. […] Jak wreszcie można przyjąć zaproszenie i na Przystanek Woodstock, i na rekolekcje Ars Celebrandi". Rzecz nie w tym – podpowiada autorka „Linoskoczka" – że ksiądz Kaczkowski był onkocelebrytą w koloratce: sedno w tym, że w żadnej życiowej sytuacji nie zawiesił sutanny na kołku. Jak sam o tym mówił: „Specjalnie idę trochę pod prąd i zawsze łażę w sutannie. Między innymi po to, by tą sutanną w niemy sposób krzyczeć, że jest inna rzeczywistość. Niech się patrzą jak na malowanego ptaka". Jeszcze kilkanaście lat temu, a kilkadziesiąt na pewno, osoba duchowna w sutannie/stroju zakonnym w miejscu publicznym mogła intrygować lub co najwyżej kogoś zirytować, ale nie budziła jawnych szyderstw czy niepowstrzymanej agresji. Dziś pewnie nawet dla księdza Jana byłoby to większe ryzyko – szczególnie tam, gdzie nie byłby rozpoznawalny jako „swój człowiek". Sutanna była znakiem głębszej postawy – dla niego liczyły się jasne i mocne świadectwa wiary i powołania. Wyraziste nie poprzez blichtr, ale ewangeliczny radykalizm i głębię duchowej drogi – stąd jako ważne dla siebie autorytety wskazywał papieża Benedykta XVI, czyli kard. Józefa Ratzingera – wieloletniego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, i bł. ks. Jerzego Popiełuszkę, którego przedstawiał jako swojego orędownika, także w czasach, gdy zatruwali mu życie przedstawiciele gdańskiej kurii.

▶ Hospicjum, świętość i podłość

Dziełem życia księdza Kaczkowskiego było założone w 2004 roku w Pucku Hospicjum pw. św. Ojca Pio. Autorka „Linoskoczka" zwraca uwagę, że choć to młody kapłan z wielką charyzmą nadał dziełu „właściwy charakter i narzucił standardy", pomógł znaleźć pieniądze na spłacenie kredytów i stworzyć finansowy i organizacyjny krąg wsparcia, to nie zależało mu na statusie nieomylnego i niezastąpionego guru. Elżbieta Wiater podsumowuje rzecz krótko: „[…] ks. Janowi udała się rzecz kluczowa i rzadka w przypadku tego typu liderów – skupił ludzi wokół dzieła, a nie wokół siebie. Jego choroba, a potem śmierć były trudnym doświadczeniem dla pracowników i wspierających hospicjum, ale nie zakończyły ani nawet nie przerwały działalności tej instytucji". Dłużej klasztora niż przeora? Tak intuicyjnie odczytujemy praktyczne skutki skupienia na fundamentalnych zasadach – nie tylko w przypadku kościelnych instytucji. Ale nie tylko w tym rzecz. Warto też przypomnieć, szczególnie osobom, które wolą bardziej popkulturowy obraz zmarłego przed dekadą duchownego, że „luzak w koloratce" potrafił być nad wyraz pryncypialny. I doskonale zdawał sobie sprawę, że żyje w szybko przeobrażającym się świecie. A przecież cele duchowe i egzystencjalne związane z prowadzeniem hospicjum w jego wizji wynikały z katolickiego rozumienia bioetycznych norm. W wyraźny sposób osąd intelektualny i etyczny łączył się w wybór sumienia ukształtowanego przez katolicką doktrynę o życiu. Oddajmy głos „Johnny'emu": „Jako ksiądz chciałem, żeby stowarzyszenie było zakorzenione w Kościele. Dlatego zapisano w statucie, że w swej działalności będzie się ono kierowało nauką moralną Kościoła. Wpisałem takie zdanie do statutu, żeby któregoś dnia nie okazało się, że w naszej placówce – gdyby była zakontraktowana na zabiegi finansowane z funduszy publicznych – trzeba wykonywać zabiegi niezgodne z katolickim rozumieniem troski o życie. Mam na myśli eutanazję".

Hospicja nie są miejscem sielankowego oczekiwania na pogodną śmierć. To nie jest uwaga krytyczna wobec tego rodzaju instytucji – życie pośród śmierci to wciąż prozaiczne sprawy. Przypomnę tylko jedną wypowiedź ze swojego wywiadu z Dorotą Matyszkowicz („Pielęgniarstwo nie jest dla grzecznych dziewczynek", „Nowe Państwo", numer 224 (06/2025)):

eprasa.pl 837dc6b7c9

Z daleka może tego nie widać, ale ludzie nie zmieniają się tylko dlatego, że trafiają do szpitala, hospicjum, na oddział ratunkowy. Jedni są złośliwi i egoistyczni, roszczeniowi i lekkomyślni, bez kultury osobistej i higienicznej; drudzy są pogodni, życzliwi, wdzięczni, zadbani i dbający o siebie; płaczą i śmieją się, czują wściekłość, rozpacz, nadzieję, ulgę. Nie da się z tym nie spotkać w naszej pracy, przeciwnie – to jest codzienność". Podobnie ujmował to ksiądz Kaczkowski: „W hospicjum jak w kropli wody odbija się cała prawda o człowieku – pokazuje się i jego świętość, i podłość. Tu nie tylko ludzie odchodzą, ale też oświadczają się sobie, spotykają się z tymi, z którymi przed laty zerwali wszelkie kontakty, i jednają się z nimi, również walczą o majątki i oskarżają się o najgorsze rzeczy". Mówiąc pewnym skrótem: w hospicjum nie ma miejsca ani na angelizowanie (termin oznacza chorobliwą idealizację, odcieleśnianie osoby ludzkiej), ani na obrzydzenie ludźmi. Dla dyrektora puckiej placówki liczyła się w pełni profesjonalna, troskliwa opieka nad tymi, którzy odchodzą: „Niewiele rzeczy tak irytowało ks. Jana jak bylejakość i lenistwo, zarówno jeśli chodzi o liturgię, jak i zaangażowanie w opiekę nad umierającymi. […] Nacisk na profesjonalizm oraz wysoki standard usług służył wszystkim: i pracownikom, i pacjentom".

Krzyż i sens

Dla ludzi zajmujących się opieką paliatywną bardzo ważne są idee wypracowane przez Viktora Frankla, więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, autora tyleż słynnej, co hermetycznej książki „Homo patiens". Franklowska logoterapia, skupiona na rozważaniach nad sensem życia, wywodziła się z obserwacji obozowego piekła: rozpacz wypychała ludzi w objęcia śmierci, motywacja i nadzieja łatwiej pozwalały jej umknąć. Na kartach „Homo patiens" Frankl zapisał słowa, które ks. Kaczkowski pewnie znał: „Nie jest prawdą, że człowiekowi zależy na jedynie cielesnej wegetacji. Tym, o co człowiekowi chodzi ostatecznie, jest istnienie duchowe. Człowiek nie chce istnieć za wszelką cenę, ale to, czego naprawdę chce, to: żyć z sensem. Dla egzystencji miarodajne i definiujące nie jest jej trwanie, ale pełnia jej sensu. Wszak krótkie życie może być pełne sensu; a długie może być sensu pozbawione".

To słowa ważne nie tylko w kontekście coraz mocniej obecnej w naszej kulturze ułudzie doczesnej nieśmiertelności. Ksiądz Kaczkowski na własnej skórze przekonał się jednak, że połączyć krzyż z sensem jest trudno, nawet jeśli ze zrozumieniem przeczytało się Frankla. Wszak filozofowie i teologowie przez tysiąclecia dyskutują o tym, co w pewnym momencie ludzkiego życia i tak zmienia się w niepowstrzymany krzyk cierpienia i bezradne próby zaradzenia mu. Ksiądz Jan wierzył, że nie ma zmartwychwstania bez Wielkiego Piątku i Ukrzyżowania: ars moriendi przed- i niechrześcijańskich filozofów znajdowała dopełnienie w wołaniu: „Noc spokojną i śmierć szczęśliwą, a rychłą, daj nam, Panie". Na tradycjonalistycznych rekolekcjach Ars Celebrandi w 2015 roku mówił, jak wyobraża sobie dobrą, człowieczą śmierć: „[…] umieranie w otoczeniu rodziny, z modlitwą na ustach oraz po przyjęciu sakramentu chorych i wiatyku, do tego »z księdzem u boku, ważnie wyświęconym. Jeszcze nie zaszkodzi, żeby był wierzący«".

Nie chcę wikłać się w rozważania, czy księdza Kaczkowskiego można określić mianem przedstawiciela katolewicy. Z pewnością jednak – w sobie właściwym miejscu i czasie – zapisał własną biografię między katolickimi niepokornymi, między ludźmi tej miary co ks. Władysław Korniłowicz czy ks. Jana Ziaja. „Takimi będą drogi wasze" – pisał przed ponad stu laty Ludwik Krzywicki. Taka była droga księdza, który umarł na raka: chłopak z inteligenckiego domu, który jako duchowny mógł zrobić karierę naukową i akademicką, a wybrał podróż wśród słabych, chorych, potrzebujących, wątpiących – krzyżową drogę wśród ubogich Pana, pośród ludu Bożego. ■

> Nie jest to lekka i łatwa książka o onkocelebrycie z koloratką, lecz wymagająca wczytania się i elementarnej znajomości katolickiej doktryny sylwetka charyzmatycznego, a przecież arcyludzkiego mężczyzny, głęboko doświadczonego przez życie.

Książka dostępna na stronie sklep.gazetapolska.pl lub pod numerem telefonu 22 232 37 70.

eprasa.pl 837dc6b7c9



Antoni Rybczyński

Wielka ofensywa Trumpa na tyłach Rosji

Triumfalna wizyta wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych na Kaukazie Południowym potwierdziła dramatyczny upadek wpływów Rosji w tym ważnym regionie. J.D. Vance swą podróżą wzmocnił realizację porozumienia pokojowego, wynegocjowanego przez USA między Armenią i Azerbejdżanem, zacieśnił współpracę Waszyngtonu z obu tymi krajami, przybliżył realizację projektu o nazwie Szlak Trumpa na rzecz Międzynarodowego Pokoju i Dobrobytu. Na tym nie koniec: Amerykanie uderzają w rosyjskie wpływy także po drugiej stronie Morza Kaspijskiego, w bogatej w minerały i strategicznie położonej Azji Środkowej.

eprasa.pl 837dc6b7c9



„Przez zbyt długi czas Stany Zjednoczone nie zwracały uwagi na ten obszar. Pod przewodnictwem prezydenta Trumpa zamierzamy to zmienić".

Sergio Gor, wysłannik USA do Azji Południowej i Środkowej

FOT. WHITEHOUSE.GOV

W ciągu trzech dekad od upadku Związku Sowieckiego wzrosło międzynarodowe zainteresowanie połączeniem pozbawionych dostępu do morza krajów Azji Środkowej z resztą świata poprzez Morze Kaspijskie i Kaukaz. Chiny dzięki swojej inicjatywie „Jeden pas, jedna droga" stały się ważnym graczem i zyskały lepszą pozycję do wykorzystania okazji, jaką stwarza osłabiona wojną i sankcjami Rosja. Jednak spowolnienie gospodarcze w Chinach stanowi dla USA ważną szansę. Waszyngton i jego partnerzy mogą i zaczynają korzystać z okazji, budując solidny korytarz transkaspijski z pominięciem Chin i Rosji. Stany Zjednoczone mają szansę wykorzystać swoją pozycję światowego lidera gospodarczego i technologicznego. Nowa amerykańska administracja podjęła zdecydowane kroki, żeby promować swoje interesy na Kaukazie Południowym i w Azji Środkowej, a jednocześnie osłabiać wpływy Rosji w tym regionie.

Pax Americana na Kaukazie

Podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos Donald Trump zorganizował uroczystą ceremonię podpisania statutu Rady Pokoju. Prezydent Stanów Zjednoczonych siedział między prezydentem Azerbejdżanu Ilhamem Alijewem a premierem Armenii Nikolem Paszynianem. Co może lepiej ilustrować talenty pokojowe Trumpa, jeśli nie historia 35-letniej wojny między Erewaniem a Baku, zakończonej takim samym wspólnym zdjęciem z prezydentem w Gabinecie Owalnym 8 sierpnia 2025 roku? Po parafowaniu porozumienia pokojowego strony podpisały trójstronną deklarację waszyngtońską, która zobowiązuje wszystkich uczestników do zrzeczenia się roszczeń terytorialnych i odblokowania komunikacji transportowej. Po raz pierwszy od dziesięcioleci pojawiła się perspektywa, że Armenia i Azerbejdżan przestaną korzystać z objazdów do podróży i transportu, mając wspólną granicę o długości około 1000 km. Mimo że formalne podpisanie traktatu pokojowego nie wydaje się w najbliższym czasie możliwe – jako warunek Baku stawia zmianę preambuły do konstytucji Armenii (w której pośrednio wspomniany jest Górski Karabach), a to wymaga przeprowadzenia tam referendum – de facto pokój już zapanował. Od wielu miesięcy pomiędzy stronami nie dochodzi do zbrojnych incydentów, a w październiku Azerbejdżan de facto zniósł blokadę gospodarczą Armenii. Ale na tym USA nie zamierzają kończyć – stąd wizyta wiceprezydenta w regionie (9–11 lutego br.). J.D. Vance był najwyższym rangą urzędnikiem amerykań-

eprasa.pl 837dc6b7c9

skim, jaki kiedykolwiek odwiedził Armenię, i pierwszym, który odwiedził Azerbejdżan od czasu wizyty wiceprezydenta Dicka Cheneya w 2008 roku. Rangę podróży podnosił jeszcze fakt, że towarzyszyła mu rodzina. Przybycie Vance'a zbiegło się z innymi wydarzeniami w regionie, takimi jak napięcia między Stanami Zjednoczonymi a Iranem oraz nowa inicjatywa dotycząca minerałów krytycznych wspierana przez Stany Zjednoczone, które według analityków sprawiły, że Kaukaz Południowy stał się nieoczekiwanym punktem styku priorytetów polityki USA. Celem podróży Vance'a było promowanie finalizacji porozumienia pokojowego między Azerbejdżanem a Armenią, ogłoszonego w sierpniu ubiegłego roku w Białym Domu, oraz przyspieszenie rozwoju projektów infrastrukturalnych, ze „szlakiem Trumpa" na czele. Omówiono i rozwiązano również wiele innych ważnych kwestii. Przede wszystkim są to inwestycje w Armenii, porozumienia dotyczące sprzedaży sprzętu wojskowego lub wyposażenia Baku, co do tej pory było niemożliwe.

Przede wszystkim Armenia i Stany Zjednoczone podpisały umowę w sprawie współpracy jądrowej, która albo zastąpi elektrownię jądrową Metsamor z czasów sowieckich, albo doprowadzi do budowy reaktorów modułowych jako uzupełnienie Metsamor. Waszyngton otworzył tu drogę do ogromnej inwestycji o wartości 9 mld dolarów. Decyzja Erywania jest porażką Rosatomu, wszak sfera jądrowa była podstawowym elementem projekcji siły Rosji w przestrzeni byłego Związku Sowieckiego. Rozbudowana we współpracy z Amerykanami elektrownia jądrowa zostanie wykorzystana w realizacji wielomiliardowego megaprojektu, mającego na celu stworzenie w regionie wysokowydajnej infrastruktury superkomputerowej AI. Początkowym etapem są warte 500 mln dolarów inwestycje firmy Firebird, która dostała od rządu USA zgodę na eksport do Armenii chipów Nvidii. Być może ważniejszą jeszcze wiadomością jest dostawa amerykańskich dronów zwiadowczych V-Bat dla armeńskiej armii o wartości 11 mln dolarów. To pierwszy w historii amerykański sprzęt wojskowy dla Armenii, która formalnie pozostaje sojusznikiem Rosji, ale ma status strategicznego partnera USA i dąży do przystąpienia do Unii Europejskiej. V-Bat są również dostarczane Ukrainie i wykorzystywane do naprowadzania systemów HIMARS do ataków w głąb terytoriów okupowanych przez Rosję. Kontrakt na drony to sygnał o gotowości USA do dalszego wzmacniania potencjału obronnego Armenii. Wizyta Vance'a, podpisane umowy i generalnie wielkie zmiany w regionie dzięki USA zwiększają szanse Paszyniana na utrzymanie władzy po czerwcowych wyborach. Realizacja zmiany wektorów polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, której mocno sprzeciwiają się Rosja i Iran, przy takim wsparciu politycznym i gospodarczym największego mocarstwa świata staje się mniej problematyczna.

Z Erywania Vance poleciał do Baku. Nie tylko to miało podkreślać, że dla USA oba kraje są równie ważne, a jeszcze ważniejsza jest dobra współpraca między nimi. Wiceprezydent podpisał bowiem kartę partnerstwa strategicznego USA–Azerbejdżan, nadrabiając zaległości w pewnym sensie: taką kartę z Armenią podpisano jeszcze za Joego Bidena. Warto pamiętać, że lokalna potęga, jaką stał się Azerbejdżan, nawiązuje strategiczne stosunki tylko z tymi, którzy popierają cele polityki Baku lub przynajmniej je uznają. Dlatego za proarmeńskiej administracji Bidena Ameryka była uważana niemal za wroga. To, co dzieje się obecnie, wynika z tego, że rząd Azerbejdżanu znalazł wspólny język z administracją Trumpa. Karta o partnerstwie strategicznym zakłada bliską współpracę obu państw w rozwoju regionalnych szlaków komunikacyjnych (ze szczególnym uwzględnieniem Korytarza Środkowego), infrastruktury, połączeń energetycznych i umożliwiających transmisję danych oraz wdrożenie ułatwień w handlu i tranzycie. USA deklarują wsparcie dla wysiłków Baku na rzecz wzmocnienia pozycji Azerbejdżanu jako węzła energetycznego, handlowego, informatycznego, finansowego, transportowego i logistycznego w regionie kaspijskim. Karta zapowiada wreszcie kooperację obu państw w zakresie bezpieczeństwa (również cyfrowego) i obronności, a także zwalczania terroryzmu. W tym ostatnim obszarze są już zresztą konkrety. „Zamierzamy wysłać do Azerbejdżanu nowe łodzie motorowe do ochrony wód terytorialnych" – oświadczył Vance w Baku. Azerbejdżan na Morzu Kaspijskim graniczy z państwami Azji Środkowej, Rosją i Iranem. Z dwoma ostatnimi krajami ma trudne stosunki. Flota wojenna Azerbejdżanu jest słabsza zarówno od rosyjskiej, jak i irańskiej. Jednocześnie Azerbejdżan okresowo przeprowadza ćwiczenia mające na celu ochronę swoich morskich szybów naftowych. Zresztą o ropie i gazie też Vance z Alijewem rozmawiał, choć dla obu stron podczas tej wizyty zdecydowanie najważniejszy był jeden projekt.

▶ Brama do Azji Środkowej

Trump Route for International Peace and Prosperity (TRIPP) to korytarz tranzytowy, który ma połączyć Azerbejdżan z jego eksklawą – Nachiczewańską Republiką Autonomiczną – biegnąc przez 30 km terytorium Armenii. Zasady przyszłego korzystania z tej trasy – od początku lat 90. XX wieku

eprasa.pl 837dc6b7c9

pozostaje ona zablokowana – były jednym z głównych punktów spornych dzielących Baku i Erywań. Azerbejdżan chciał, by był to w praktyce korytarz eksterytorialny (tzw. korytarz zangezurski), natomiast Erywań domagał się, by przejazd odbywał się z poszanowaniem integralności terytorialnej Armenii. TRIPP, którego operatorem będzie spółka amerykańsko-armeńska, godzi oczekiwania Baku z interesami Erywania. 13 stycznia sekretarz stanu USA Marco Rubio i minister spraw zagranicznych Armenii Ararat Mirzojan ogłosili utworzenie spółki TRIPP Development Company (TDC), która zbuduje początkowe odcinki kolejowe i drogowe projektu, a Stany Zjednoczone przejmą 74 proc. udziałów kontrolnych na pierwsze 49 lat. Następnie, w przypadku przedłużenia umowy, udział Stanów Zjednoczonych zostanie zmniejszony do 51 proc. na kolejne 50 lat. W regionie takim jak Kaukaz nawet niewielka uwaga ze strony Stanów Zjednoczonych może mieć znaczący wpływ. Po ukończeniu TRIPP połączy się z innymi rozwijającymi się projektami infrastrukturalnymi w Azerbejdżanie, Nachiczewaniu i Turcji i będzie służył jako ważny element szlaku handlowego o długości 6500 km, omijającego Rosję, który łączy Chiny z Europą przez Azję Środkową i Kaukaz. Obecnie większość surowców z Azji Środkowej trafia do Chin, ale TRIPP może pomóc w zapewnieniu nowych zachęt do przyciągnięcia inwestycji i zapewnieniu nowych alternatyw.

TRIPP, który potencjalnie otwiera nowe połączenia handlowe między Azją Środkową a Europą, omijające Rosję i Iran, może również umożliwić nowe sposoby przepływu krytycznych minerałów i metali z Azji Środkowej na rynki zachodnie, co było głównym tematem szczytu C5+1 w listopadzie 2025 roku w Waszyngtonie, gdy Trump spotkał się z prezydentami Kazachstanu, Uzbekistanu, Turkmenistanu, Kirgistanu i Tadżykistanu. Jesienny szczyt uruchomił dyplomatyczną ofensywę USA w Azji Środkowej, podobnie jak sierpniowy szczyt z Alijewem i Paszynianem ofensywę na Kaukazie Południowym. Tuż przed wizytą Vance'a w tym regionie, doszło też do kilku ważnych wydarzeń dotyczących współpracy Ameryki z Azją Środkową. Przedstawiciele władz Uzbekistanu i USA podpisali 6 lutego w Waszyngtonie memorandum o współpracy przy wydobyciu i przetwarzaniu minerałów krytycznych oraz metali ziem rzadkich. Umowa ma zapewnić trwałość dostaw surowców strategicznych, takich jak miedź, wolfram czy lit, oraz umożliwić wspólne działania na rzecz stabilizacji ich globalnych łańcuchów dostaw. Mniej więcej w tym samym czasie w Biszkeku odbyło się forum B5+1 (biznesowa platforma formatu C5+1), które gromadzi urzędników i liderów biznesu z Kazachstanu, Kirgistanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu, Uzbekistanu i Stanów Zjednoczonych, w celu zbadania możliwości inwestycyjnych i pogłębienia więzi gospodarczych. Jednym z najbardziej widocznych uczestników forum był specjalny wysłannik USA do Azji Południowej i Środkowej, ambasador Sergio Gor (zresztą urodzony w Uzbekistanie). „Stany Zjednoczone chcą współpracować z tym regionem. Stany Zjednoczone traktują ten region priorytetowo i zamierzamy kontynuować tę politykę przez kolejne trzy lata obecnej administracji. Przez zbyt długi czas Stany Zjednoczone nie zwracały uwagi na ten obszar. Pod przewodnictwem prezydenta Trumpa zamierzamy to zmienić" – powiedział Gor, który spotkał się również z prezydentem Kirgistanu Sadyr Dżaparowem, potwierdzając, że zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Azji Środkowej jest strategicznym priorytetem.

Szczyt w Waszyngtonie 6 listopada 2025 roku był drugim spotkaniem C5+1, w którym uczestniczył prezydent Stanów Zjednoczonych. Podczas spotkań w listopadzie Departament Handlu USA ogłosił umowy o wartości 25 mld dolarów w sektorach lotnictwa, surowców krytycznych, logistyki i przemysłu. Pomimo wyzwań związanych z przyciąganiem inwestycji zagranicznych do swoich gospodarek, niektóre kraje Azji Środkowej podjęły odważne działania w celu wzmocnienia więzi ze Stanami Zjednoczonymi. Uzbekistan ogłosił plany zainwestowania w ciągu najbliższej dekady dziesiątek miliardów dolarów w projekty amerykańskie, obejmujące infrastrukturę, technologię, rolnictwo i energetykę, natomiast Kazachstan podkreślił swoje rosnące relacje handlowe i inwestycyjne z amerykańskimi firmami. Atrakcyjność formatu C5+1 wynika z jego elastyczności, zorientowania na projekty i braku wiążących warunków politycznych, co pozwala rządom Azji Środkowej selektywnie angażować się w obszary wspierające cele krajowe, przy jednoczesnym zachowaniu zrównoważonych relacji z różnymi mocarstwami. Coraz większy priorytet mają zresztą projekty wykraczające poza Azję Środkową. 16 listopada 2025 roku prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew oficjalnie dołączył do siódmego konsultacyjnego spotkania szefów państw Azji Środkowej. Chociaż Azerbejdżan nie jest krajem Azji Środkowej w klasycznym sensie geograficznym, jego coraz większa rola jako pomostu łączącego Azję Środkową, Kaukaz Południowy i Europę sprawia, że ma on dobrą pozycję, aby przyczynić się do realizacji priorytetów gospodarczych i logistycznych C5+1.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Nowy układ sił

Wojna Rosji z Ukrainą ograniczyła możliwości polityki zagranicznej Rosji w Azji Środkowej. Mimo że region ten pozostaje ważny dla Moskwy, zakres jej inwestycji wojskowych, gospodarczych i politycznych w wojnę z Ukrainą ogranicza jej zdolność do angażowania się, monitorowania i reagowania na wydarzenia w jej najbliższym sąsiedztwie. Rosnąca rola C5+1 może oznaczać, że Moskwa będzie musiała raczej dostosować swoje działania, niż otwarcie się sprzeciwiać. Ale nieporównanie gorzej wygląda pozycja Rosji na Kaukazie Południowym. Faktyczne wciągnięcie do swej strefy wpływów rządzonej przez oligarchę Bidzinę Iwaniszwilego Gruzji nie rekompensuje absolutnie klęski w Armenii i Azerbejdżanie. Wizyta Vance'a podkreśla, że chociaż administracja Trumpa dąży do poprawy stosunków z Rosją, Stany Zjednoczone nie boją się wkroczyć na obszar, który Kreml lubi nazywać swoją „bliską zagranicą". Strona amerykańska stała się kluczowym uczestnikiem procesu pokojowego, odsuwając na bok Rosję. Przed drugą kadencją Trumpa zaangażowanie USA w regionie Kaukazu Południowego koncentrowało się bardziej na promowaniu demokracji, prawach człowieka i, w pewnym stopniu, znaczeniu geopolitycznym regionu. Rosja zareagowała, próbując udaremnić inicjatywy Ameryki poprzez działania militarne, takie jak inwazja na Gruzję w 2008 roku. Podczas drugiej kadencji Trumpa podejście amerykańskie opiera się w dużej mierze na działaniach transakcyjnych. Wiąże się to z inwestycjami USA w kluczowych obszarach i towarzyszącym im bezpośrednim dialogiem politycznym. Rosja ma trudności ze znalezieniem odpowiedzi. „Panuje rozczarowanie, frustracja i poczucie bezradności" – napisał autor artykułu w „Kommiersancie" o przybyciu Vance'a na Kaukaz Południowy. „Ponieważ to właśnie w tym regionie pozycja Rosji uległa w ostatnich latach znacznemu osłabieniu. Główny powód jest oczywisty: nadmierne zaangażowanie w konflikt ukraiński wiąże ręce we wszystkich innych obszarach".

Normalizacja relacji nie tylko Erywania z Baku, lecz także Armenii z Turcją, sojusznikiem Azerbejdżanu, jak i uruchomienie „szlaku Trumpa" wzmocnią tworzący się w regionie nowy układ sił. Zyskują oba państwa do niedawna będące śmiertelnymi wrogami. Nie rezygnując z pragmatycznej współpracy z Rosją i Iranem, Azerbejdżan rozbudowuje przede wszystkim szlaki równoleżnikowe, dążąc do uzyskania statusu kluczowego ogniwa w handlu pomiędzy Dalekim Wschodem i Azją Środkową a Europą. Z kolei odblokowana gospodarczo Armenia ma większe pole manewru i zmniejsza zależność od Rosji. Ważne jest tu ściąganie amerykańskich inwestycji i obecność USA w korytarzu biegnącym przez Armenię (wcześniej ambicje takie miała Rosja), ale należy również podkreślić, że Paszynian cieszy się poparciem nie tylko Stanów Zjednoczonych, lecz także UE. To ważne w kontekście nieuniknionych prób Moskwy, by ograniczyć straty poniesione zwłaszcza w Armenii. Biorąc pod uwagę obecność wojskową Rosji w tym kraju, duże aktywa rosyjskie w gospodarce (z energetyką na czele) oraz bliską Moskwie opozycję i Kościół, czerwcowe wybory mogą być kluczowe dla utrzymania prozachodniego kursu Erywania i utrwalenia osiągnięć politycznych i ekonomicznych uzyskanych dzięki zaangażowaniu USA.

Wzmocnienie pozycji Stanów Zjednoczonych przyspieszy proces wypierania Rosji z Kaukazu Południowego, choć nie należy przeceniać ambicji Amerykanów. Nie planują oni (jeszcze?) obecności wojskowej w regionie. Cele są bardziej ekonomiczne niż geopolityczne, chociaż, jak dobrze wie Rosja, jedno może prowadzić do drugiego. Zła informacja dla Kremla jest taka, że Stany Zjednoczone mają świadomość, iż Armenia i Azerbejdżan tworzą ciągłą flankę przy północnej granicy Iranu. W okresie intensywnych napięć z Islamską Republiką, sojusz Armenii i Azerbejdżanu z Waszyngtonem może stanowić dodatkowy punkt nacisku na Teheran. TRIPP stanowi wyzwanie dla Iranu. Chce on utrzymać funkcjonowanie korytarza Aras – istniejąca trasa omija Armenię od południa i umożliwia Azerbejdżanowi połączenie się z eksklawą Nachiczewan. Jeśli TRIPP zostanie zrealizowany zgodnie z planem, Iran straci dochody z tranzytu i – co ważniejsze – potężne narzędzie geopolityczne w stosunkach z Azerbejdżanem, ponieważ może on w dowolnym momencie przerwać tranzyt. Wizyta Vance'a w Armenii i Azerbejdżanie, będąca kontynuacją starań USA, których kluczowym momentem był sierpniowy szczyt Alijew–Paszynian w obecności Trumpa, oraz rozmowy w Azji Środkowej, będące kontynuacją szczytu Trumpa z liderami Azji Środkowej, pokazują poważną przebudowę geopolityczną Kaukazu i Azji Środkowej, w której USA zyskują na znaczeniu, a Rosja i Iran je tracą. W rezultacie struktura powstała po zakończeniu zimnej wojny, która ograniczała Kaukaz Południowy i Azję Środkową od upadku Związku Sowieckiego w 1991 roku, szybko się rozpada. Powstaje nowa przestrzeń geoekonomiczna rozciągająca się od Europy Wschodniej i Morza Czarnego, przez Turcję, Kaukaz Południowy i Morze Kaspijskie, po Azję Środkową, Azję Południową i Morze Arabskie. Po raz pierwszy w historii Stany Zjednoczone mają realną szansę na ustanowienie trwałego wpływu w regionie od dawna zdominowanym przez Kreml i zagrożonym przez Iran. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9



FOT. FRANCK ROBICHON/PAP/EPA

Co oznacza triumf konserwatystów w Japonii

Hanna Shen



Wybory parlamentarne w Japonii, które odbyły się 8 lutego, przyniosły triumf konserwatystów pod przewodnictwem premier Sanae Takaichi. To historyczne zwycięstwo ma ogromne znaczenie nie tylko dla Japonii, lecz także dla całego regionu Indo-Pacyfiku oraz relacji z USA. Płynie z niego również ważna lekcja dla konserwatystów na całym świecie.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Sanae Takaichi objęła urząd premiera w październiku 2025 roku, stając się pierwszą kobietą na tym stanowisku w historii Japonii. Już po kilku miesiącach podjęła ryzykowną decyzję – ogłosiła przedterminowe wybory do izby niższej parlamentu, Izby Reprezentantów. Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP), na czele której stoi Takaichi, w koalicji z Partią Restauracji dysponowała w Izbie Reprezentantów jedynie minimalną większością (zaledwie jednym miejscem przewagi nad opozycją). Taka sytuacja oznaczała, że bez znaczącej większości rząd musiałby za każdym razem prowadzić negocjacje z opozycją, co paraliżowało ambitne plany dotyczące dużych wydatków fiskalnych, reformy obronnej oraz zmian w konstytucji. W kampanii konserwatyści skutecznie wykorzystali osobistą popularność Takaichi. Zjawisko „Sanamania", szczególnie widoczne wśród młodych wyborców w wieku 18–35 lat, stworzyło możliwość przekształcenia poparcia dla Sanae Takaichi w głosy na rzecz LDP. Ryzyko, które podjęła japońska żelazna dama, opłaciło się w spektakularny sposób. Jej partia zdobyła 316 mandatów na 465 w Izbie Reprezentantów, co stanowi najlepszy wynik w historii LDP. Wraz z koalicjantem mają teraz do dyspozycji ponad dwie trzecie mandatów, co daje Takaichi i konserwatystom ogromną władzę legislacyjną.

Silna gospodarka i NIE dla nielegalnej imigracji

Dla Japonii triumf konserwatystów oznacza nową falę gospodarczego ożywienia – największą od czasów Abenomics, ale w zupełnie innym kontekście. To już nie walka z deflacją, lecz próba złagodzenia inflacji, spowodowanej wzrostem cen żywności, energii oraz osłabieniem jena. Celem jest wsparcie konsumpcji i przyspieszenie wzrostu gospodarczego poprzez agresywną politykę fiskalną. Takaichi określa tę strategię mianem „Sanaenomics" – „odpowiedzialnej, proaktywnej polityki fiskalnej", która ma zastąpić „nadmierną oszczędność" poprzedników. Już w listopadzie 2025 roku, w pierwszym miesiącu rządów japońskiej żelaznej damy, przyjęto rekordowy suplementarny budżet w wysokości 21,3 bln jenów (około 39 mld dolarów). Budżet ten obejmował subwencje na energię, rachunki za prąd i gaz, vouchery na żywność, dopłaty do paliwa, darmowe posiłki w szkołach średnich oraz bezpłatne licea prywatne. Po wyborach, w pierwszej połowie roku fiskalnego 2026 (od kwietnia), planowany jest kolejny znaczący pakiet suplementarny. Partia Liberalno-Demokratyczna obiecała też wprowadzenie cięć podatków konsumpcyjnych, w tym zawieszenie 8-procentowego VAT-u na żywność na dwa lata. Takaichi postuluje także zwiększenie inwestycji w strategiczne sektory, takie jak sztuczna inteligencja, półprzewodniki, technologia kwantowa, obronność, farmacja oraz metale ziem rzadkich. Celem tych działań jest zmniejszenie zależności od Chin oraz budowa „technologicznej suwerenności". Jak podkreśliła Takaichi: „Inwestycje w bezpieczeństwo ekonomiczne to zapobieganie sytuacjom, w których Japonia staje się zależna od innych krajów w kluczowych technologiach wpływających na codzienne życie – takich jak sztuczna inteligencja i robotyka".

Jednym z kluczowych elementów polityki Sanae Takaichi jest zaostrzenie przepisów dotyczących migracji. Japończycy nie chcą masowej imigracji, postrzegając ją jako zagrożenie dla spójności społecznej, bezpieczeństwa oraz tożsamości kulturowej. Pod koniec stycznia japoński rząd ogłosił nowe, surowsze wymagania dotyczące stałego pobytu i naturalizacji, które obejmują m.in. test z języka japońskiego oraz bardziej rygorystyczną weryfikację wniosków. Weryfikacja ta uwzględnia m.in. zaległości w opłatach podatkowych, składkach na ubezpieczenie zdrowotne oraz rachunkach medycznych, co może skutkować odmową przyznania prawa pobytu. Konserwatyści zapowiedzieli również wzmocnienie działań przeciwko nielegalnemu pobytowi i przestępczości, w tym poprzez intensyfikację kontroli oraz deportacje osób, które przekroczyły dozwolony czas pobytu. Dodatkowo planowane są surowsze kary za nielegalną pracę oraz wprowadzenie środków mających na celu zapobieganie „nieuczciwemu wykorzystaniu" systemu socjalnego.

Takaichi zamierza też wzmocnić bezpieczeństwo zewnętrzne Japonii, dlatego ogłosiła plan zwiększenia wydatków obronnych powyżej 2 proc. PKB oraz modernizację Japońskich Sił Samoobrony, oficjalnej armii Kraju Kwitnącej Wiśni. Na konferencji prasowej 9 lutego premier Japonii stwierdziła: „Będę pracować na pełnych obrotach, aby zrealizować naszą agendę, w tym budowę armii zdolnej do odstraszania chińskich zagrożeń dla naszych wysp, w tym tych blisko Tajwanu". Jej słowa nawiązują do wcześniejszego stwierdzenia z listopada, w którym ostrzegała o „sytuacji zagrażającej przetrwaniu" Tokio w przypadku ataku Pekinu na Tajwan, co zaostrzyło relacje z Chinami. W odpowiedzi na te wypowiedzi Chiny wprowadziły sankcje, obejmujące ograniczenia w eksporcie metali ziem rzadkich, turystyce oraz koncertach, a nawet zażądano zwrotu pand. Takaichi jednak odmówiła przeprosin, dodając 9 lutego: „Odpowiemy spokojnie i odpowiednio, z punktu widzenia interesu narodowego Japonii." To zapowiada twardszy kurs antychiński oraz wzmocnienie sojuszy z USA, Koreą Południową i w ramach grupy QUAD.

Nowy rozdział dla Indo-Pacyfiku

Historyczne zwycięstwo japońskich konserwatystów to nie tylko umocnienie władzy wewnętrznej, lecz także stabilizacja i równowaga w obliczu rosnącej asertywności Chin. Może to stanowić potencjalny punkt zwrotny dla regionu Indo-Pacyfiku. Konstytucyjna większość, jaką dysponuje Takaichi, otwiera drogę do modernizacji Japońskich Sił Samoobrony – w tym zwiększenia liczby pocisków dalekiego za-

eprasa.pl 837dc6b7c9

sięgu, dronów oraz systemów kosmicznych. Takie zmiany wzmocnią zdolności odstraszania w regionie wobec zagrożeń ze strony Chin i Korei Północnej.

Zwycięstwo japońskich konserwatystów umacnia rolę Japonii w grupie QUAD (USA–Japonia–Australia–Indie) i innych formatach, takich jak trójkąt USA–Japonia–Korea Południowa czy relacje z Filipinami. To korzystne dla regionu, bo buduje „azjatyckie NATO" – de facto koalicję demokracji przeciw chińskiej dominacji, co zwiększa stabilność i współpracę ekonomiczną. To także większe wsparcie dla Tajwanu. Takaichi deklaruje, że atak na Tajwan zagraża przetrwaniu Japonii, co oznacza, że Tokio musiałoby na to odpowiedzieć militarnie, a to podnosi koszty agresji dla Pekinu. Silniejsza, bardziej zdeterminowana Japonia, gotowa traktować Tajwan jako kwestię swojego przetrwania, w silnym sojuszu z USA, stanowi jeden z najważniejszych momentów dla Indo-Pacyfiku od dekad.

Efekt Trumpa

Zaraz po triumfie konserwatystów w Japonii liberalne media starały się przekonywać, że nie ma on nic wspólnego z Donaldem Trumpem. Tymczasem „pełne i całkowite poparcie", jakie Trump wyraził dla Sanae Takaichi na platformie Truth Social, nazywając ją „silnym i mądrym przywódcą", jeszcze bardziej zmobilizowało konserwatywnych wyborców w Japonii, zwłaszcza młodych mężczyzn, którzy dostrzegają w Takaichi japońską wersję trumpizmu – patriotyzm, antyimigrację oraz zbrojenia. Zwiększyło to również międzynarodową legitymizację w momencie, gdy Chiny próbowały osłabić pozycję Takaichi, nakładając sankcje na Japonię.

Wygrana konserwatystów kończy okres niestabilności, który charakteryzował się krótkim rządem mniejszościowym Takaichi przed wyborami. Daje to Trumpowi wiarygodnego partnera na lata, co z kolei redukuje ryzyko posiadania „słabego sojusznika". Nic więc dziwnego, że tuż po wyborach Scott Besset, sekretarz skarbu USA, stwierdził: „Kiedy Japonia jest silna, Stany Zjednoczone są silne w Azji".

Teraz dojdzie do wzmocnienia sojuszu Japonia–USA, co uczyni go jednym z najsilniejszych w historii powojennej. Hasło „Pokój przez siłę" („Peace Through Strength"), będące elementem strategii Trumpa, wskazuje na to, że Japonia podejmie większy wysiłek w zakresie powstrzymywania Chin, co obejmie m.in. intensyfikację wspólnych ćwiczeń oraz projektów zbrojeniowych. Temat ten będzie jednym z kluczowych punktów dyskusji podczas szczytu Trump–Takaichi w marcu br.

Lekcja dla konserwatystów

Konserwatyści na świecie, w tym w Polsce, mogą wyciągnąć lekcje z triumfu Sanae Takaichi i konserwatystów w Japonii. Takaichi postawiła wszystko na jedną kartę, rozwiązując parlament mimo słabego rządu mniejszościowego, by uzyskać silniejszy mandat na rewolucyjne zmiany – od zbrojeń po stymulację gospodarczą. Jej wygrana pokazuje, że w erze niestabilności (kryzysy, inflacja) liderzy konserwatywni powinni ryzykować, podejmując twarde decyzje, by przekuć osobistą popularność w miażdżącą większość, zamiast czekać na „bezpieczny moment".

Fenomen „Sanamanii" wśród osób w wieku 18–35 lat dowodzi, że konserwatyzm może być atrakcyjny dla młodych. Konserwatyści przywoływali wizerunek młodej Takaichi – grającej na perkusji, jeżdżącej na motorze oraz fanki Margaret Thatcher – i pokazywali, że to można powiązać z patriotyzmem i troską o rodaków (stąd m.in. program ulg podatkowych). Dlatego konserwatyści powinni inwestować w osobisty branding oraz podejmować tematy, które frustrują młodych, takie jak imigracja czy koszty życia.

Sanae Takaichi udowodniła, że twarda postawa wobec zewnętrznych zagrożeń potrafi zbudować silne poparcie. Nie ugięła się pod chińską presją, która objawiła się w postaci sankcji po jej deklaracji dotyczącej Tajwanu. To wzmocniło jej wizerunek jako żelaznej damy i wyraźnie kontrastowało z słabością opozycji. Konserwatyści powinni akcentować suwerenność oraz obronę przed „wrogami" takimi jak Chiny i Rosja, co mobilizuje wyborców w czasach geopolitycznych napięć.

Wygrana konserwatywistów w Japonii ukazała, że sukces można osiągnąć jedynie w sojuszu z USA, a nie poprzez antyamerykańskie nastawienie. Japonia zwiększa swoje wydatki na obronę, inwestując w USA około 550 mld dolarów, a w zamian otrzymuje ochronę w ramach amerykańskiego parasola nuklearnego oraz rozszerzone odstraszanie Chin. Dodatkowo zyskuje swobodę w polityce wewnętrznej, co obejmuje możliwość rewizji konstytucji, zwiększenie wydatków na zbrojenia oraz walkę z nielegalną imigracją. Dla konserwatystów jest to model, w którym silny sojusz z USA stwarza przestrzeń do realizacji narodowo-konserwatywnej agendy, eliminując obawy o zewnętrzne blokady. To ważna lekcja dla Polski, w której bliskie relacje z administracją Trumpa mogą stanowić ochronę przed presją ze strony Brukseli, na przykład w kwestiach praworządności, polityki węglowej czy imigracyjnej, a także wzmocnić pozycję kraju w regionie wobec Rosji. Wreszcie Takaichi odniosła sukces, ponieważ postawiła na zdecydowany antychiński kurs. Poparcie Trumpa dodało jej wiarygodności, pokazując, że Japonia nie jest sama w obliczu zagrożeń. Kluczowa lekcja brzmi: konserwatyści w krajach zagrożonych ze strony Rosji i Chin, takich jak Polska, powinni budować narrację, że tylko sojusz z USA zapewnia realne bezpieczeństwo i wolność działania. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Paląca się wyspa z drewna



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

O tym, że na Maderze często płoną lasy, wie tutaj niemal każde dziecko. Ogień rozprzestrzenia się – zwłaszcza latem – z prędkością wiatru. I to dosłownie. Podobnie jednak każde dziecko na Maderze wie, że tak popularne na wyspie eukaliptusy potrzebują tegoż ognia do rozprzestrzeniania się. I dla tutejszych lasów taki żywioł to wcale nic nadzwyczajnego. Chyba że akurat ktoś temu ogniowi próbuje pomóc…



FOT. 2

Do malowniczych zielonych pagórków pobliża Miradouro da Boa Morte na szczęście płomienie nie dotarły.



Odwiedzając Porto Moniz, zobaczymy słynne naturalne baseny, utworzone w powulkanicznych misach deflacyjnych.

Marcos ma szczęście. Matka nie pojechała dziś do pracy. Jej samochód stoi zaparkowany pod domem. Czterdziestokilkulatek nie będzie jednak pytał, czy może go pożyczyć. Po prostu go weźmie. Pojedzie, załatwi sprawę i wróci. Głód jest zbyt intensywny. Dłużej już nie wytrzyma. Musi jechać. Natychmiast.

▶ Smutne historie

Telefon wykonany. Wystarczyło kilka słów kluczy. Z Luizem od dawna rozmawiają szyfrem. Chłopak ma manię prześladowczą. Boi się, że jego telefon może być na podsłuchu. Woli dmuchać na zimne. Zresztą, ma ku temu uzasadnione powody. Jego siatka klientów jest coraz bardziej złożona. I obszerna. Nie każdego zna tak dobrze jak Marcosa. Połączyła ich wszak już szkolna ławka. I wspólne kopanie piłki. Dziś jednak każdy jest gdzie indziej w życiu. Marcos kupuje. Z miesiąca na miesiąc jest coraz bardziej uzależniony. Dziś oddałby wiele za jedną dawkę amfetaminy. Luiz zaś tylko dystrybuuje – zbiera zamówienia i dostarcza...

Zielony clio dobrze trzyma się krętej drogi. Jednak mimo ciepłej październikowej pogody odcinek między Achadas da Cruz a Lombada Velha spowity jest wilgocią. Wąska asfaltowa nitka zręcznie prowadzi po gęsto porośniętym ciemnym wilgotnym lasem stoku. To znak rozpoznawczy całej Madery. Słynne lasy wawrzynowe. Subtropikalne, pokryte permanentną mgłą lasy pamiętają często epokę jeszcze sprzed 30 mln lat (!).

Marcosowi jednak nie w głowie podziwianie tropikalnego lasu. Tym bardziej że zna go doskonale. Bywało, że jeździł tędy codziennie. Dawno jednak nie tak szybko jak dziś. Droga wydaje się być pusta, więc mężczyzna pozwala sobie na ścinanie zakrętów. Choć wie, że to niebezpieczne. Przypomina mu się sytuacja sprzed kilku miesięcy. Właśnie teraz mija ten punkt. Młodszy od niego kolega jechał tędy nocą. Spieszył się na imprezę. Zdążył jeszcze zadzwonić do taty, aby uspokoić go, że wszystko jest w porządku. Wtem, mijając ostre zakręty, jego auto wpadło w poślizg. Wyłamało barierkę i spadło w przepaść. Chłopiec zginął na miejscu. Lokalizację

eprasa.pl 837dc6b7c9



„Gdziekolwiek pójdziemy, wszędzie mamy pod górkę" – żalą się mieszkańcy wyspy.

wraku wskazał ojcu chłopaka działający telefon, który znaleziono przy martwym ciele. Ratownicy zeszli w dół zielonego wąwozu, aby znaleźć rozbity samochód. Ku ich zdziwieniu nie jeden, ale… dwa. Okazało się, że od ośmiu lat zalega w tym miejscu jeszcze inne auto po podobnym wypadku. Z nieżyjącym w jego wnętrzu kierowcą.

Choć wspomnienie wywołuje u mężczyzny dreszcz, nie zwalnia. Uzależniony organizm dopomina się swojego. W Porto Moniz powinien być za niecałe 20 minut.

▶ Uścisk w Porto Moniz

Sławne z naturalnych basenów miasteczko widać już z góry. Zielone clio mija właśnie szeroki parking z punktem widokowym na Porto Moniz i rozpościerający się ocean w tle. Na końcu parkingu znajduje się słynna wśród miejscowych figurka Matki Bożej Dróg – patronki pielgrzymów. Opatulona w różańce Maryja zwrócona jest twarzą w kierunku jadących samochodami. Plecami do oceanu. Wewnątrz szklanej gabloty, w szklanych wazonach stoją błękitne chryzantemy. I osiem czerwonych oraz białych świeczek. To miejsce żyje. Jak wiele jemu podobnych przydrożnych kapliczek na portugalskiej Maderze.

Jeszcze tylko pięć zakrętów i Marcos będzie na dole. W słynnym wśród turystów Porto Moniz. Przybywają tu dla jedynego na Maderze oceanarium. Dla widoku na egzotycznie wyrzeźbioną pobliską wyspę Ilhéu Mole. Ale przede wszystkim dla zlokalizowanych tutaj naturalnych basenów – pamiątki po wulkanicznym charakterze całej Madery. Właśnie wskutek drastycznego wychłodzenia plastycznej magmy wieki temu ukształtowały się w tym miejscu naturalne skalne nisze w kształcie basenów. Ich naturalny kształt sprawił, że do niecek wpływa dziś oceaniczna woda. Kąpiel w nich jest znacznie bezpieczniejsza od tej w otwartych wodach groźnie spienionego oceanu.

Marcos jest umówiony właśnie tutaj, nieopodal wejścia do jednego z basenów. Sprzedający mu towar Luiz lubi takie miejsca. Tam, gdzie jest tłok, gdzie słychać wszystkie języki świata, gdzie służbom siłą rze-

eprasa.pl 837dc6b7c9

czy trudno o zachowanie pełnej kontroli. A o to przecież Luizowi chodzi najbardziej.

Nie zamierzają długo rozmawiać. Ot, zwykłe podanie ręki na przywitanie. I podanie książki, w której wedle umowy mają być schowane narkotyki.

– Zalegasz ze spłatą… – tym razem mina Luiza jest mniej serdeczna niż zazwyczaj.

– Spóźniają mi się z wypłatą w robocie – odpowiada Marcos, próbując wyrwać dłoń z żelaznego uścisku przyglądającego się mu nieco uważniej kolegi.

– Masz trzy dni – odpowiada beznamiętnie Luiz. – Nie żartuję. I wolałbym ci tego nie udowadniać…

Zimny dreszcz przeszywa kark Marcosa. Nie chce przeciągać tej rozmowy. Doskonale wie, że po tym, jak zwolnili go z pracy, będzie musiał inaczej skombinować brakujące pieniądze. Wreszcie wyrywa się z uścisku Luiza.

– W porządku. Będziesz miał pieniądze. Za trzy dni w tym samym miejscu. O dwunastej.

– Bądź punktualny. Mam tego dnia sporo zajęć – odpowiada Luiz, cały czas uważnie wpatrując się w twarz Marcosa.

Bez sensacji

Pokonując kolejne zakręty, Marcos nadal słyszy w głowie niepokojące słowa Luiza. Mocniej ściska kierownicę. Chce jak najszybciej wjechać do lasu, aby móc sobie ulżyć. Sprawdza pobieżnie kartki otrzymanej książki. Pomiędzy stronami znajduje zapakowaną w foliowe torebeczki białą truciznę. Już wkrótce jego organizm dostanie to, czego tak bardzo się domaga. I znów będzie mógł być sobą. Znów poczuje ulgę. I dopiero wtedy pójdzie porozmawiać z matką. Wpierw będzie musiał się wytłumaczyć z zabranego bez pytania samochodu. A potem – pewnie jeszcze podczas tej samej rozmowy – poprosić o kolejną pożyczkę.

Tym razem pojedzie inną drogą. Przez góry. Tam mało kto jeździ. A poza tym po przyjęciu narkotyków woli unikać kogokolwiek na drodze. A przy okazji ominąć miejsce pamiętnego wypadku. W tym stanie już sam sobie raczej nie ufa. Pojedzie troszkę wolniej. I oby nikogo po drodze nie mijał.

Droga z Porto Moniz do Prazeres to 25 kilometrów spokojnej jazdy przez trawiasto lesisty płaskowyż. Turyści z reguły omijają ten fragment Madery. Będąc na zachodzie wyspy, wolą raczej przemierzać nadoceaniczną trasę poprowadzoną przez wspomniane już subtropikalne lasy wawrzynowe, by co rusz podziwiać zielone pagóry spadające stromo w kierunku oceanu. Tutaj zaś nie ma już tak spektakularnych widoków. Marcosowi jednak o to właśnie chodziło. Na całej trasie minęła go tylko jedna furgo-



Płomienie pamiętnego pożaru dotarły właśnie do tego miejsca. Do figurki Matki Bożej Drogi – Patronki Pielgrzymów. Dalej nie przeszły.

eprasa.pl 837dc6b7c9

netka i kilka osobówek. Bez sensacji. Za kilka chwil powinien być w domu.

Bez odwrotu

„Będę potrzebował pożyczyć trochę pieniędzy…" – Marcos sam nie wie, czy to odpowiedni moment, aby prosić matkę o finanse. Przed chwilą wysłuchał rodzicielskiej tyrady na temat odpowiedzialności i pytania o zgodę do pożyczania cudzej własności. Mamie nie podobało się, że jej ulubione zielone clio na kilka godzin zniknęło spod jej domu. Tym bardziej że właśnie na dziś miała w planach wybrać się na lokalny targ. Jeden z nielicznych tego typu targów dla maderskich rolników na całej wyspie. Bez samochodu nie było jednak sensu wychodzić z domu. Wszak tutaj, na Maderze – jak mawiają sami mieszkańcy wyspy – „wszędzie jest pod górkę". Bo rzeczywiście wulkaniczny genotyp wyspy sprawia, że trudno dziś znaleźć na Maderze jakąkolwiek płaską działkę. Te najlepsze zwykle oddawane są wyspie przez morze – tworząc tzw. fajã. Jednak aby móc uprawiać na nich ziemię, potrzeba było w jakikolwiek sposób połączyć je ze światem. Odgradzający je od reszty wyspy stromy klif skutecznie bowiem izolował nowe fajã od części śródlądowej. Tak właśnie na Maderze zaczęły powstawać słynne na całą Europę teleféricos, czyli charakterystyczne kolejki linowe. Dedykowane lokalnym rolnikom. Tym, którzy następnie mogą regularnie przywozić swoje produkty na miejscowy targ w Prazeres.

– Nie dość, że zabierasz mój samochód bez pytania. Nie dość, że przez ciebie nie zdążyłam dziś podjechać na targ. Nie dość, że nie wpadłeś na pomysł, aby odebrać ode mnie telefon. To teraz jeszcze chcesz ode mnie kolejnych pieniędzy?! – wylicza mama.

– Zaszła taka konieczność. Oddam ci wszystko.

– Nie chodzi o to, czy oddasz, Marcos. – W oczach matki pojawiają się łzy. – Mam dość twojego uzależnienia. Myślisz, że tego nie widać? Myślisz, że matka nie rozpoznaje oczu własnego syna? Tego, co się z tobą dzieje?

– Nie rozumiem, o czym mówisz… – W Marcosie zaczyna mocniej buzować krew. Mimo to nie ma odwagi spojrzeć mamie w oczy.

– Myślisz, że ludzie tego nie widzą? Że sąsiedzi mnie o ciebie nie pytają? Kiedy z tym skończysz? Ile można dłużej tak się poniewierać?! – głos mamy jest coraz bardziej dramatyczny. Widać, że kobieta długi czas tłumiła w sobie te emocje i teraz chce dać im upust.

– Jak mi nie dasz tych pieniędzy, spalę nasz dom… – Marcos aż sam się sobie dziwi, że dał radę to wypowiedzieć. Bez zająknięcia. Jednocześnie już wie, że niniejszym wypowiedział wojnę. Że teraz nie może się już cofnąć. Gra o pełną pulę. Pogrążając się doszczętnie. – Nie żartuję.

– Wynoś się. Nie chcę cię widzieć! – Zrozpaczona kobieta nie wie już, co powiedzieć uzależnionemu synowi. Sama nie wie, czy w tej chwili jej Marcos w ogóle racjonalnie myśli. Przecież dopiero co musiał wziąć kolejną dawkę narkotyku. Jego oczy znowu są takie dziwne.

Decyzja

Wieczór. Marcos cichutko wstaje z łóżka. Przez kilka chwil stoi nieruchomo przy drzwiach, aby upewnić się, czy swoim wyjściem nie wzbudzi w nikim podejrzeń. Dopiero wówczas kilkoma zręcznymi ruchami wkłada przygotowane ubranie. Miękki dres, apaszka na szyję. I czapka z daszkiem na głowę. W kieszeniach benzyna, zapałki i jakieś szmatki. Wychodząc z domu, cichutko zamyka za sobą drzwi.

W głowie Marcosa kłębi się setka myśli. Mężczyzna jest przekonany, że w tej chwili nie ma się już jak cofnąć. Zaszantażował własną matkę. Teraz nie może postąpić inaczej. Otumaniony heroinowym uśpieniem, jedynie wzmacnia w sobie poczucie krzywdy. I chęci odwetu. Tak, zrobi to. Zrobi to już zaraz.

W przydomowym garażu leży stosik starych opon. Zaraz dalej krzak opuncji i niewielka sosna. Marcos jest już w amoku. Szybko wykonuje zaplanowane czynności. Jest bardzo zdenerwowany. Rozciąga skropioną w benzynie szmatkę między kilkoma punktami ogrodu. Teraz wystarczy jedno draśnięcie zapałek. Jest. Ogień zaczyna się tlić.

Płonąca łąka

W biurze Bombeiros Voluntários da Calheta rozlega się dźwięk telefonu. To dyżurny głównej jednostki straży pożarnej w stolicy wyspy, Funchal.

– Bombeiros Voluntários da Calheta… – odpowiada nieco zaspanym głosem odbierający słuchawkę mężczyzna.

– Tu José Cândido Fernandes Minas – przedstawia się głos w słuchawce.

– Dzień dobry, panie komendancie! Mamy trzy zgłoszenia pożaru w Prazeres.

– Wyślijcie w tej chwili wszystkie jednostki, jakimi dysponujecie! My w Funchal pozostaniemy w gotowości. Jeśli tylko okaże się, że ogień się rozprzestrzenia, proszę mnie bezzwłocznie powiadomić!

Pierwsze z wozów strażackich w niespełna 20 minut pojawiają się na miejscu. Płomienie ogarnęły już kolejne posesje i ogrody w kierunku usytuowanego na północ od Prazeres lasu. Sytuacja jest naprawdę

eprasa.pl 837dc6b7c9



Kąpiele wśród wulkanicznych skał na tle charakterystycznej Ilhéu Mole na długo pozostają w pamięci.

poważna. Jak na nieszczęście tego wieczoru od oceanu czuć silne podmuchy wiatru, które utrudniają strażacką akcję z powietrza, a ponadto dodają ogniowi mocy. Strażacy usiłują zdusić ogień, który zaczyna coraz szybciej przesuwać się w stronę północną. Tak się składa, że uliczka, przy której mieszkał Marcos, jest graniczną ulicą miasta. Zaraz za nią rozpościera się szeroka łąka kserotermiczna, porośnięta kolczastymi krzaczkami i wyschniętą trawą. Z roślinnością niezwykle podatną na ogień.

Bez jeńców

Pracę strażakom utrudnia także ukształtowanie terenu. Zaraz za wspomnianą uliczką Caminho do Lombo da Rocha łąkowy teren spada do głębokiej doliny, by po przekroczeniu Vereda do Maloeira ponownie zacząć wspinać się na przeciwległe wzgórze, na którym znajduje się miejscowość Raposeira do Logarinho. W takiej dolinie nie da się skutecznie gasić płomieni. Zwłaszcza bez wsparcia z powietrza. Dowodzący akcją gaszenia muszą podjąć strategiczną decyzję. Czy iść za płomieniami, czy czekać na nie po drugiej stronie doliny.

Jak się wkrótce okaże, żywioł przechytrzy wszystkich. Podsycany wiatrem pożar zacznie przesuwać się z taką prędkością, że nawet duże siły jednostek gaśniczych nie będą w stanie go opanować. Bezwzględny ogień strawi po drodze Fajã da Ovelha, Ponta do Pargo, a następnie położone już w sąsiedniej gminie

eprasa.pl 837dc6b7c9

Achadas da Cruz, Porto Moniz i Ribeira da Janela. Żywioł zmusi do ewakuacji gości hotelu Jardim Atlântico, spali szkołę – zmuszając do ewakuacji około 90 uczniów i 15 nauczycieli – oraz dom opieki. Nie oszczędzi też miejscowej przychodni.

Do gaszenia pożaru potrzebnych będzie co najmniej 223 funkcjonariuszy i 48 pojazdów z sześciu jednostek straży pożarnej. Pomagać będzie grupa Obrony Cywilnej oraz Policji Leśnej. Pożar uznany zostanie za ugaszony dopiero po 15 dobach walki! W nocy 15 października 2023 roku.

Dwa lasy

– Widzisz ten las?... – siedzący za kierownicą Rui wskazuje na okalające drogę wzgórze porośnięte wystającymi wyschniętymi badylami. Pożar sięgnął aż tutaj.

– Mówisz o tym pożarze z Prazeres? Zaprószonym przez podpalacza w październiku 2023 roku?

– Tak, przyjacielu, właśnie tym… – Kiwa na potwierdzenie Rui. – Chciałem, żebyś zobaczył, jaką skalę potrafi przybrać maderski żywioł. To bez mała prawie 20 kilometrów naprzemiennych górek i dolin, porośniętych gęstym lasem bądź łąkami. Ogień strawił wszystko.

Jakby na potwierdzenie tej tezy Rui zwalnia, aby mógł przypatrzeć się otaczającym nas drzewom. Ten las rzeczywiście wygląda posępnie. Tym łatwiej to zrozumieć, gdyż kilka chwil temu przejeżdżaliśmy przez las, któremu udało się uniknąć pożarowych zniszczeń. Tamtejsza ściółka nadal pozostaje zielona, pełna baśniowych mchów – tak typowych dla endogenicznych lasów wawrzynowych. Rosnące wzdłuż drogi drzewa układają się w coś na kształt gęstego, nieprzepuszczającego promieni świetlnych tunelu.

Tutaj jednak tego nie ma. Spalony las, przez który w tej chwili przejeżdżamy, siłą rzeczy przywołuje skojarzenia z naszymi wczesnowiosennymi pejzażami puszczy. Z pozbawionymi liści drzewami. Z odłamanymi pod ciężarem zimowych śniegów gałęziami. Z bladą, przydeptaną do ziemi trawą. Te dwa lasy zachodniej Madery dzieli zaledwie kilka kilometrów, a wydawać by się mogło, że to zupełnie dwa różne kontynenty.

– A teraz poczekaj… Podjedziemy do innego miejsca – konkluduje tajemniczo Rui, z którym od kilku już dni zwiedzam jego ojczystą maderską ziemię. – Dopiero tam pokażę ci cud…

Matczyny cud

Jeden zakręt, drugi, trzeci… Po wyjeździe z lasu naszym oczom ukazuje się błękitny ocean. A zaraz pod nami jakaś miejscowość. Zaraz, zaraz… Ten zjazd stromym zboczem coś mi przypomina. Tak, widziałem już to miejsce. Byliśmy tu już przynajmniej kilkukrotnie. To kręty zjazd z Santa Maria Madalena w kierunku Porto Moniz. Z tej odległości widać nawet charakterystyczne kamienne kręgi okalające naturalne baseny u wybrzeża miejscowości. To jednak nie jest jeszcze miejsce, o którym w kontekście cudu wspominał mi Rui.

Dojeżdżamy do znanego już nam parkingu. Tego, na którym swego czasu podziwiałem piękną figurkę Matki Bożej Dróg. Podchodzę bliżej statuy.

– A teraz podejdź do krawędzi i spójrz pod siebie – instruuje mnie Rui.

Pod nami na stoku widać rosnące drzewa. Spoglądam uważnie, aby zrozumieć, o co chodzi mojemu przewodnikowi.

– Powiesz mi, na czym polegał ów cud? – pytam wreszcie.

– Oczywiście. Teraz mogę – odpowiada z triumfem Rui. – Widzisz te drzewa poniżej, prawda? Zwróć uwagę, że ich kora jest mocno zaczerniona. Tutaj także był pożar.

– Tak, rzeczywiście. Widać ślady po ogniu – potwierdzam, przyjrzawszy się ponownie rosnącym poniżej nas drzewom.

– To teraz zobacz… – Rui wskazuje na figurkę. – Na figurce nie ma żadnych śladów po spaleniu. Ogień zatrzymał się dokładnie w tym miejscu.

– Poważnie mówisz? – pytam spoglądając raz jeszcze w oczy mojego kierowcy.

– Jak najbardziej. Ogień strawił las poniżej nas. I zatrzymał się na figurce. Tutaj nie wyczynił żadnej szkody.

Stoję dłuższą chwilę, wpatrując się w oczy Matki Bożej Drogi. Patronki pielgrzymów. Tych, którzy coraz tłumniej zaczynają odwiedzać tę rajską wyspę na oceanie. Nazywaną Wyspą Wiecznej Wiosny. Wyspę, którą nasi przodkowie utożsamiali z mityczną Atlantydą, widząc w niej nieprawdopodobne pokłady drewna i surowców. I choć dzisiejsze drewno na Maderze wcale nie decyduje o jej bogactwie (towarem eksportowym wyspy są dziś przede wszystkim cukier trzcinowy, banany, wyklina oraz trunek o nazwie poncha), to bez wątpienia właśnie maderskie subtropikalne lasy sprawiają, że wizyta na wyspie na długo pozostaje w pamięci odwiedzającego.

Wszak po portugalsku „madeira" oznacza „drewno". A to, jak wiemy, naprawdę potrafi się palić. I choć chciałoby się napisać co innego, to opisany powyżej przypadek pożaru wcale nie był ostatnim na rajskiej Maderze. I istnieją uzasadnione obawy, że kolejne przed nami. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Hongkong

9 lutego 2026 roku sąd w Hongkongu skazał katolickiego obrońcę demokracji, 78-letniego Jimmy'ego Laia, na 20 lat więzienia. To najsurowszy wyrok wydany dotychczas na podstawie narzuconej przez Pekin w 2020 roku ustawy o bezpieczeństwie narodowym. Lai, założyciel zamkniętego w 2021 roku antykomunistycznego dziennika „Apple Daily", został uznany za winnego dwóch zarzutów spisku w celu kolaboracji z obcymi siłami oraz jednego zarzutu spisku w celu publikowania materiałów wywrotowych. Sędziowie określili go jako „głównego architekta i siłę napędową" tych działań. Biorąc pod uwagę jego wiek i stan zdrowia, wyrok ten można de facto uznać za dożywocie.

Reakcje na wyrok dla Jimmy'ego Laia na świecie były jednoznacznie negatywne. Sekretarz stanu USA Marco Rubio określił go jako „niesprawiedliwy i tragiczny finał tej sprawy" oraz zaapelował o humanitarne zwolnienie warunkowe. Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Yvette Cooper określiła wyrok jako „politycznie motywowany". Lewicowy rząd w Londynie jest szczególnie krytykowany za niewystarczające działania na rzecz uratowania Laia, który jest obywatelem Wielkiej Brytanii. W styczniu premier Keir Starmer odwiedził Chiny i spotkał się z prezydentem Xi Jinpingiem. Syn Laia, Sebastian, zauważył, że rząd nie postawił żadnych warunków dotyczących uwolnienia jego ojca, na przykład nie uzależnił zgody na budowę megaambasady Chin w Londynie od wypuszczenia Laia na wolność. Podczas debaty w Izbie Gmin konserwatywni parlamentarzyści określili sytuację jako „monumentalną porażkę dyplomatyczną", wskazując na „brak kręgosłupa" w relacjach z Chinami oraz na „dzień wstydu" dla Wielkiej Brytanii. Krytykowali lewicowy rząd, który na co dzień przedstawia się jako obrońca praw człowieka, za to, że nie traktuje sprawy brytyjskiego obywatela priorytetowo. Wyrok określono jako „śmiertelny cios" dla brytyjskich wartości.

Katolickie media na całym świecie zareagowały na wyrok ostrą krytyką. „Catholic Herald" określił go jako „obelgę dla sprawiedliwości, godności człowieka i Kościoła" oraz wezwał papieża do publicznego apelu w sprawie Laia podczas tradycyjnej niedzielnej modlitwy Anioł Pański na placu św. Piotra. Z kolei „Providence" i „National Catholic Register" napisały, że skazanie Laia to „moralny alarm" dla Kościoła i wezwały do zerwania porozumienia Watykanu z Pekinem z 2018 roku.

Po ogłoszeniu wyroku Watykan nie zabrał głosu. Jednak amerykański duchowny i przyjaciel Laia, ks. Robert Sirico, zwraca uwagę na zmianę stanowiska Stolicy Apostolskiej w sprawie uwięzionego katolika z Hongkongu. W przeciwieństwie do papieża Franciszka, Leon XIV spotkał się z żoną i córką Laia w październiku ubiegłego roku. Sirico wyraził nadzieję, że mimo braku oficjalnego stanowiska Watykanu, dyplomacja Stolicy Apostolskiej podejmuje działania na rzecz uratowania Jimmy'ego Laia.

Syn Laia, Sebastian, publicznie wyraził przekonanie, że ostatnią realną nadzieję na uwolnienie jego ojca pokłada w prezydencie USA Donaldzie Trumpie. W licznych wywiadach podkreślał, że planowana na kwiecień 2026 roku wizyta Trumpa w Pekinie może okazać się decydująca. „Prezydent Trump wielokrotnie podkreślał, że ta sprawa jest dla niego ważna. Jesteśmy w sytuacji, w której kwietniowa wizyta będzie kluczowa. Mam nadzieję, że ojciec doczeka jej w dobrym zdrowiu" – powiedział.

eprasa.pl 837dc6b7c9

Europa–Chiny

Od początku roku Europa zanotowała kilka głośnych przypadków podejrzeń o szpiegostwo na rzecz Chin, co wyraźnie wskazuje na zaostrzenie działań kontrwywiadów w krajach NATO i UE w odpowiedzi na zagrożenie ze strony chińskiego wywiadu.

W styczniu czeskie służby – Służba Bezpieczeństwa Informacyjnego (BIS, kontrwywiad) we współpracy z Narodowym Centrum Zwalczania Terroryzmu, Ekstremizmu i Cyberprzestępczości oraz policją – zatrzymały obywatela Chin, podejrzanego o działalność szpiegowską. Aresztowany Yang Yiming, akredytowany korespondent chińskiej gazety „Guangming Daily" (organ Komunistycznej Partii Chin), pracował w Pradze od co najmniej dwóch lat. W przypadku Chińczyka po raz pierwszy w historii Czech zastosowano nowy przepis karny, wprowadzony w lutym 2025 roku i wchodzący w życie w 2026 roku, dotyczący nieuprawnionej działalności na rzecz obcego mocarstwa.

BIS potwierdziło, że Yang współpracował z chińskim wywiadem, systematycznie budując sieć kontaktów wśród czeskich polityków oraz wpływowych osób, zwłaszcza tych sympatyzujących z Pekinem, takich jak zwolennicy Chin w partii komunistycznej czy byli europosłowie. Celem jego działalności było gromadzenie informacji dotyczących czeskiej polityki zagranicznej, szczególnie w kontekście relacji z Tajwanem oraz współpracy w ramach Grupy Wyszehradzkiej.

Na początku lutego afera szpiegowska dotycząca Chin wybuchła we Francji. W regionie Żyronda, położonym w południowo-zachodniej Francji w okolicach Bordeaux, zatrzymano cztery osoby, w tym dwóch obywateli Chin. Wynajęli oni dom za pośrednictwem portalu Airbnb, gdzie zainstalowali dużą antenę satelitarną oraz sprzęt komputerowy. W regionie tym znajdują się istotne instalacje wojskowe oraz infrastruktura krytyczna, co wyjaśnia, dlaczego chińscy szpiedzy wybrali ten obszar do przeprowadzania operacji technicznego przechwytywania danych satelitarnych, w tym z sieci Starlink.

W tym samym czasie w Grecji aresztowano generała dywizji oraz pułkownika lotnictwa, dowódcę grupy szkoleniowej ds. telekomunikacji i elektroniki. Obaj są oskarżeni o przekazywanie Chinom tajnych informacji wojskowych, w tym dotyczących technologii NATO oraz systemów elektronicznych, cyfrowych i telekomunikacyjnych. Pułkownik miał kontakt z chińskim „opiekunem" o imieniu Steven, przyznał się do winy i ujawnił, że przez około półtora roku otrzymywał za to wynagrodzenie. Sprawa ta jest określana jako „alarm" dla greckich służb oraz NATO – śledztwo rozpoczęło się na podstawie informacji przekazanych przez CIA.

Skandal szpiegowski dotknął także Niemiec, gdzie 11 lutego sąd w Koblencji skazał 39-letniego Amerykanina, pracownika cywilnego armii USA w Niemczech, na 2 lata i 8 miesięcy więzienia za oferowanie Chinom poufnych informacji o amerykańskich siłach zbrojnych. Mężczyzna nawiązywał kontakty z chińskimi instytucjami od lata 2024 roku.

Chiński wywiad operuje na szeroką skalę, obejmując działania takie jak kradzież technologii, wykorzystanie agentów wpływu oraz techniczne przechwytywanie informacji. Ostatnie akcje wskazują, że kontrwywiady w Europie przestały postrzegać to jako drugorzędne zagrożenie i zaczynają podejmować bardziej zdecydowane działania operacyjne.

Tajwan–USA

12 lutego administracja Donalda Trumpa sfinalizowała z rządem Tajwanu historyczną umowę handlową. Waszyngton obniżył cła na towary tajwańskie z 20 do 15 proc., co jest poziomem porównywalnym z Japonią i Koreą Południową. W zamian Tajwan zobowiązał się do zniesienia lub drastycznego obniżenia barier celnych na 99 proc. produktów amerykańskich oraz do zwiększenia zakupów towarów z USA o około 85 mld dolarów w latach 2025–2029 (m.in. 44,4 mld dolarów na LNG i ropę, 15,2 mld na samoloty cywilne i silniki oraz 25,2 mld na sprzęt energetyczny i morski). Dodatkowo tajwańskie firmy, głównie z sektora półprzewodników, zainwestują w USA co najmniej 250 mld dolarów, a rząd Tajwanu udzieli gwarancji kredytowych na tę samą kwotę. Umowa ma na celu zmniejszenie znacznej nadwyżki handlowej Tajwanu wobec USA, która w 2025 roku wyniosła 150 mld dolarów.

Zaledwie dzień później, 13 lutego, 37 amerykańskich kongresmenów i senatorów z obu partii wystosowało ostry list do przewodniczącego parlamentu Tajwanu oraz liderów partii opozycyjnych – Kuomintangu (KMT) i Tajwańskiej Partii Ludowej (TPP). W liście domagali się natychmiastowego przyjęcia proponowanego przez prezydenta Tajwanu Lai Ching-te specjalnego budżetu obronnego w wysokości 40 mld dolarów.

Tajwańska opozycja, posiadająca większość w parlamencie, blokuje wydatki na obronę, co wysyła do Pekinu sygnał słabości i może zachęcać Xi Jinpinga do zwiększenia presji. To klasyczny przykład gry hybrydowej: polityczna blokada, która obiektywnie sprzyja agresorowi.

Republikański senator Dan Sullivan, bliski współpracownik Trumpa, w liście do tajwańskiej opozycji wyraził się wprost: „Oszczędzanie na obronie Tajwanu, by kłaniać się KPCh, to zabawa ogniem". Kongresmeni podkreślili, że zagrożenie ze strony Chin „nigdy nie było większe", a blokowanie budżetu przez opozycję osłabia zdolności odstraszania Tajwanu. ■

eprasa.pl 837dc6b7c9

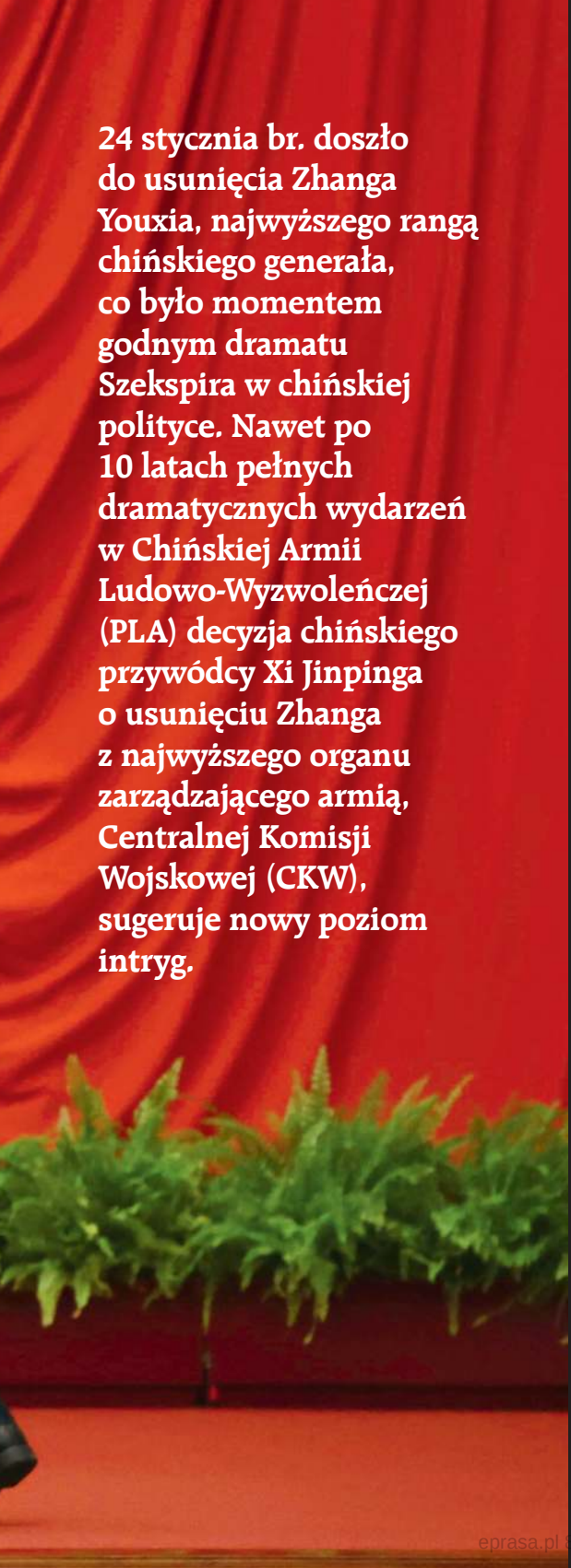
Dlaczego Xi ściął najważniejszego generała?

oprac. Antoni Rybczyński



eprasa.pl 837dc6b7c9

24 stycznia br. doszło do usunięcia Zhanga Youxia, najwyższego rangą chińskiego generała, co było momentem godnym dramatu Szekspira w chińskiej polityce. Nawet po 10 latach pełnych dramatycznych wydarzeń w Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (PLA) decyzja chińskiego przywódcy Xi Jinpinga o usunięciu Zhanga z najwyższego organu zarządzającego armią, Centralnej Komisji Wojskowej (CKW), sugeruje nowy poziom intryg.



FOT. ANDRES MARTINEZ CASARES/PAP/EPA

Xi i Zhang znają się od dziesięcioleci: ojciec Xi i ojciec Zhanga byli towarzyszami broni podczas brutalnej wojny domowej w Chinach, a Zhang był powszechnie postrzegany jako najbliższy sojusznik Xi w dowództwie armii (Jonathan A. Czin, John Culver, „Niszczyciel Xi", „Foreign Affairs", 2 lutego 2026). W momencie ogłoszenia decyzji Zhang i Liu byli członkami CKW – najwyższego organu decyzyjnego chińskiej armii. Zhang był wiceprzewodniczącym Komisji od października 2017 roku, podlegając bezpośrednio Xi, który jest przewodniczącym CKW, a także sekretarzem generalnym KPCh. Liu był szefem sztabu Połączonego Departamentu Sztabowego CKW od września 2022 roku, co czyniło go jednym z najwyższych dowódców nadzorujących operacje PLA. Zhang i Liu byli jednymi z nielicznych wysokich rangą oficerów z doświadczeniem bojowym, które zdobyli podczas konfliktów z Wietnamem w 1979 roku i w latach 80. („Czystki wojskowe Xi Jinpinga czynią go coraz potężniejszym, ale też coraz bardziej izolowanym", Institute for the Study of War, 30 stycznia 2026).

▶ Dlaczego Xi usunął Zhanga?

Jeszcze w 2022 roku, po serii czystek wśród innych wysokich rangą przywódców, Xi nie tylko pozwolił Zhangowi pozostać na stanowisku po przekroczeniu nieoficjalnego wieku emerytalnego, lecz także awansował go na najwyższe stanowisko dla oficera wojskowego. Tak długa i głęboka relacja jest cenna w każdym środowisku, ale szczególnie w okrutnym świecie chińskiej polityki, charakteryzującym się niskim poziomem zaufania (J.A. Czin, J. Culver, „Niszczyciel Xi…"). Tym posunięciem Xi wzmocnił podstawową prawdę chińskich stosunków cywilno-wojskowych: wojsko nie jest armią narodową, lecz zbrojnym ramieniem Komunistycznej Partii Chin i ostatecznie narzędziem osobistej władzy Xi. Czystka potwierdza, że żadne pochodzenie, żadne osiągnięcia bojowe i żadna lojalność w przeszłości nie zapewniają immunitetu, gdy w grę wchodzi kontrola (Joe Keary, „Wraz z czystką wzrasta kontrola Xi nad wojskiem, a wraz z nią ryzyko w regionie", The Strategist, 4 lutego 2026). Xi przeprowadza czystki nie tylko wśród poszczególnych osób, lecz także całych struktur instytucjonalnych w ramach długotrwałego projektu przebudowy wojska, który rozpoczął się podczas jego pierwszej kadencji jako sekretarza generalnego. Zhang nie był niebezpieczny, ponieważ reprezentował alternatywny program polityczny lub stanowił wyzwanie dla Xi ze strony frakcji. Był niebezpieczny, ponieważ uosabiał strukturę dowodzenia, która istniała przed restrukturyza-

eprasa.pl 8d7dc6b7c9

cją PLA przeprowadzoną przez Xi i częściowo przetrwała tę restrukturyzację (Matthew Johnson, „Późny stalinizm w Pekinie", Jamestown Foundation, 26 stycznia 2026). Poprzez publiczne odsunięcie Zhanga na bok Xi ujawnił charakterystyczną cechę swojego stylu politycznego. Nikt nie jest bezpieczny – nawet osoby mające głębokie osobiste powiązania z Xi. Jak stwierdził oficjalny periodyk wojskowy „PLA Daily" dzień po usunięciu Zhanga, kampania Xi nie ma „żadnych stref zakazanych". Nawet według standardów bezlitosnych rządów Xi jest to ogromna zmiana w chińskiej polityce (J.A. Czin, J. Culver, „Niszczyciel Xi…").

W oficjalnym komunikacie „PLA Daily" oświadczyło, że Zhang został usunięty za podsycanie „problemów politycznych i korupcyjnych, które zagrażają absolutnej władzy partii nad siłami zbrojnymi i podważają podstawy rządów partii", a jego działania „wyrządziły ogromne szkody w budowaniu zdolności bojowych". Biorąc pod uwagę, że korupcja w PLA jest powszechna, wielu zewnętrznych obserwatorów słusznie postrzega te twierdzenia jako pretekst do usunięcia Zhanga, a nie prawdziwą przyczynę. Termin odwołania staje się bardziej interesujący, gdy weźmie się pod uwagę, że Xi mógł z łatwością poczekać do przyszłego roku, aby Zhang mógł spokojnie przejść na emeryturę. W końcu 75-letni Zhang przekroczył już nieoficjalny wiek emerytalny wynoszący 68 lat, a następny zjazd Komunistycznej Partii Chin – który co pięć lat wprowadza nową grupę chińskich urzędników – odbędzie się za około 18 miesięcy. Usunięcie Zhanga w tej chwili wygląda i sprawia wrażenie bardzo podobnego do politycznego gestu, jaki Xi wykonał podczas ostatniego zjazdu partii w 2022 roku, kiedy to jego poprzednik, Hu Jintao, został publicznie i siłą wyprowadzony z obrad, podczas gdy Xi patrzył na to bez emocji.

Innym intrygującym elementem oficjalnego uzasadnienia usunięcia Zhanga było to, że nie chodziło tylko o korupcję, lecz także o problemy „polityczne", które mogły wpłynąć na kontrolę partii nad wojskiem. Niektórzy interpretują to jako celowe lekceważenie lub podważanie rządów Xi przez Zhanga. Chociaż jest to możliwe, jest mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę ich długotrwałe relacje. Co więcej, gdyby Zhang stanowił polityczne wyzwanie dla Xi, prawdopodobnie byłby pierwszym, który padłby ofiarą ostatniej kampanii antykorupcyjnej, rozpoczętej w 2023 roku, a nie ostatnim. Biorąc pod uwagę paranoiczne tendencje w chińskiej polityce, zawsze istnieje możliwość, że Xi po prostu podejrzewał, że Zhang stanowił pewnego rodzaju zagrożenie dla jego władzy. Jeśli tak jest, rodzi to pytania o to, czy Xi ulega wszechobecnej i szkodliwej podejrzliwości, która dotyka tak wielu innych dyktatorów (J.A. Czin, J. Culver, „Niszczyciel Xi…"). Chodzi o to, że to tajwańscy komentatorzy – liczni blogerzy i niektóre media – jeszcze wiosną ubiegłego roku jako pierwsi zaczęli „rozpowszechniać" historię o tym, że Zhang Youxia i Liu Zhenli przygotowują wojskowy zamach stanu w celu odsunięcia Xi od władzy. Obraz dla takiej teorii spiskowej był idealny. Generałowie mieli rozgałęzione powiązania w armii, a Zhang – również poza nią, w wysokich kręgach partyjnych (jako syn jednego z wysokich rangą generałów u progu powstania Chińskiej Republiki Ludowej, osobiście znał wielu wysokich rangą funkcjonariuszy partyjnych, w szczególności byłego przywódcę ChRL Hu Jintao), co oznaczało, że mieli możliwość przygotowania zamachu stanu. Śledztwo w sprawie korupcji stanowiło zagrożenie dla nich i ich bliskich, co oznaczało, że mieli powód, aby podjąć ekstremalne środki. Do lata 2025 roku internet zalała fala „szczegółów" dotyczących przyszłego zamachu stanu, a Zhang stał się w tych opowieściach głównym przeciwnikiem i największym zagrożeniem dla całego reżimu Xi. Nie ma znaczenia, co w tych opowieściach było prawdą (i czy w ogóle była tam jakaś prawda) i na ile chiński przywódca wierzył w tę historię: Xi nie mógł zignorować tych rozmów, a usunięcie Zhanga było ostatecznie przesądzone (Wiktor Konstantinow, „Czystka przed uderzeniem: dlaczego Xi zmienia generałów w przeddzień możliwej wojny o Tajwan", Dzerkało tyżnia, 3 lutego 2026).

Kwestia inwazji na Tajwan

Kolejnym czynnikiem, który sprowokował czystki w armii (i wzrost nieufności między Xi a Zhangiem), było stanowisko części najwyższego dowództwa wojskowego w sprawie przygotowania operacji przeciwko Tajwanowi. Xi zażądał jak najszybszego zapewnienia możliwości przeprowadzenia takiej operacji, zarówno pod względem organizacyjnym, jak i materialnym. Dowódcy wojskowi nigdy nie kwestionowali samej idei operacji wojskowej, ale nie popierali operacyjnych przygotowań do niej, a w oczach Xi prawdopodobnie wręcz je sabotowali (W. Konstantinow, „Czystka przed uderzeniem…"). Xi podobno nakazał PLA przygotowanie się do inwazji na Tajwan do 2027 roku. Jeden z chińskich analityków argumentował, że Zhang mógł nie zgadzać się z tym harmonogramem, oceniając, że PLA potrzebuje więcej czasu, i mógł ostatnio stać się bardziej otwarcie nieposłuszny podczas spotkań („Czystki wojskowe Xi Jinpinga czynią go coraz potężniejszym…").

eprasa.pl 837dc6b7c9

Wiadomo, że zarówno Li Shangfu, jak i Zhang Youxia opowiadali się za „bardziej gruntownymi" (czytaj: dłuższymi) przygotowaniami. Zhangowi przypisuje się również, nie bez powodu, blokowanie działań mających na celu zwiększenie stanu liczebnego i wzmocnienie piechoty morskiej wchodzącej w skład marynarki wojennej. Chciał, aby główna rola w zajęciu Tajwanu przypadła armii, pomimo braku odpowiednich środków i przygotowania. Nie wiadomo, jakie były ich motywy – czy rzeczywiście chęć lepszego przygotowania się do wojny, czy też ukrycie niecelowego wydatkowania środków (W. Konstantinow, „Czystka przed uderzeniem…"). Inne oficjalne oświadczenia wskazują, że główną przyczyną powolnych postępów i oporu była prawdopodobnie fundamentalna rozbieżność poglądów Zhanga i Xi na temat harmonogramu rozwoju wojskowego. Szkolenia PLA w zakresie operacji połączonych postępowały powoli do początku 2026 roku. PLA ustanowiła nowy model szkolenia podstawowego w czerwcu 2023 roku i nowy model szkolenia połączonego w październiku 2024 roku, ale na początku 2026 roku nie sfinalizowała jeszcze modelu szkolenia połączonego. Wymóg Xi Jinpinga, aby PLA była gotowa do inwazji na Tajwan, prawdopodobnie opiera się na osiągnięciu przez nią podstawowego poziomu zdolności operacyjnych, ale brak nowego modelu szkolenia połączonego utrudnia PLA osiągnięcie odpowiedniego poziomu zdolności połączonych do 2027 roku. Problemy z wdrożeniem wynikały prawdopodobnie z rozbieżności między Zhangiem a Xi w kwestii koncepcji rozwoju wojskowego. Xi preferował szybkie tempo i skalę działań, podczas gdy Zhang opowiadał się za bardziej ukierunkowanym i przemyślanym podejściem (K. Tristan Tang, „Różnice z Xi Jipingiem doprowadziły do usunięcia Zhanga Youxia", Jamestown Foundation, 26 stycznia 2026).

Gotowość Xi do całkowitego rozmontowania dowództwa i jego przebudowy w tym momencie jest również sygnałem, że jest on stosunkowo zadowolony z zewnętrznego otoczenia Chin – zwłaszcza z dynamiki stosunków między Chinami a Tajwanem. Administracja Trumpa nie wydaje się być szczególnie gotowa do obrony Tajwanu: prezydent USA Donald Trump powiedział, że to „Xi decyduje" o tym, co Chiny zrobią w sprawie Tajwanu, a opublikowana w ubiegłym miesiącu przez jego administrację strategia obrony narodowej nie zawiera żadnej wzmianki o Tajwanie. Tymczasem dynamika polityczna na Tajwanie wydaje się zmieniać na korzyść Pekinu przed kolejnymi wyborami krajowymi na wyspie w 2028 roku. Poparcie dla prezydenta Tajwanu Lai Ching-te i jego Partii Postępowej Demokratycznej, która zajmuje twardsze stanowisko wobec Pekinu, spadło od czasu nieudanej próby odwołania latem ubiegłego roku ustawodawców z partii opozycyjnej Kuomintang, a nowe kierownictwo Kuomintang wzywa do większego pojednania z Pekinem (J.A. Czin, J. Culver, „Niszczyciel Xi…").

▶ Porządki w armii

Duża reforma sił zbrojnych, rozpoczęta przez Xi w 2016 roku, miała w rzeczywistości zbudować „armię do jednej wojny" – o Tajwan. Zadanie to jest znacznie większe niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, ponieważ za Tajwanem stoją Stany Zjednoczone. Oznacza to, że aby odnieść sukces w tej wojnie, konieczne jest nie tylko pokonanie tajwańskiej armii, lecz także powstrzymanie Amerykanów przed wystąpieniem po stronie wyspiarzy. Jednak ogólnie rzecz biorąc ogromne środki przeznaczono właśnie na przygotowanie jednej operacji. W ramach reformy armia nie tylko otrzymała więcej pieniędzy, lecz także większą swobodę w zawieraniu umów, w tym z prywatnymi firmami. Zgodnie z zamysłem miało to zwiększyć efektywność zakupów. W praktyce doprowadziło do rozprzestrzenienia się korupcji w siłach zbrojnych na niespotykaną dotąd skalę. W 2023 roku stało się jasne, że korupcja bezpośrednio zagraża strategicznym celom wyznaczonym przez Xi. Kontrola stanu sił i środków Sił Rakietowych (właśnie ten rodzaj sił zbrojnych w ChRL odpowiada za powstrzymywanie nuklearne) wykazała niezgodność niektórych systemów z deklarowanymi parametrami technicznymi oraz „ograniczoną zdolność bojową" innych. Pod znakiem zapytania znalazła się gotowość Chin do powstrzymania Stanów Zjednoczonych w przyszłym konflikcie wokół Tajwanu (W. Konstantinow, „Czystka przed uderzeniem…"). Najpierw celem ataków byli urzędnicy, których stosunkowo łatwo było zastąpić – minister obrony Li Shangfu i dowódca Sił Rakietowych PLA Li Yuchao. Kryzys szybko się jednak rozprzestrzenił – pod koniec 2025 roku czystka objęła tzw. gang z Fujian. Są to urzędnicy tacy jak wiceprzewodniczący CKW He Weidong i admirał Miao Hua. Przez chwilę wydawało się, że zwycięzcą tej walki wewnętrznej został Zhang Youxia – weteran sił lądowych, głęboko zakorzeniony w „gangu Shaanxi". Prawdopodobnie ułatwił on obalenie kliki Fujian, być może postrzegając jej dominację zarówno nad budżetem obronnym, jak i strategią wojskową jako zagrożenie dla swoich osobistych ambicji i ukochanej armii (Anushka Saxena, „Co się dzieje w chińskiej armii?", „The National Interest", 27 stycznia 2026).

Usunięcie Zhanga wydaje się być zwieńczeniem kampanii Xi, mającej na celu nie tylko wyelimino-

eprasa.pl 837dc6b7c9

wanie korupcji z najwyższych szczebli dowództwa PLA, lecz także usunięcie ze służby niemal całego pokolenia wyższych oficerów. Xi doszedł najwyraźniej do wniosku, że praktycznie żaden z obecnych przywódców wojskowych nie był w stanie sprostać dwóm zadaniom, które im wyznaczył: zapewnieniu, że wojsko jest całkowicie upolitycznione i tym samym gotowe do odgrywania roli ostatecznego gwaranta rządów partii w przypadku wewnętrznych niepokojów, oraz zbudowaniu armii zdolnej do walki z zagranicznymi przeciwnikami, w tym armią amerykańską, jeśli zajdzie taka potrzeba. W rezultacie spośród siedmiu członków, którzy wchodzili w skład CKW na początku trzeciej kadencji Xi w 2023 roku, pozostał tylko jeden członek w mundurze i jeden cywil (Xi). Co znamienne, jedynym ocalałym wojskowym jest oficer odpowiedzialny za nadzorowanie dochodzeń w sprawach korupcyjnych, który jesienią ubiegłego roku został awansowany na wiceprzewodniczącego w ramach kolejnej fali czystek w wojsku. Praktycznie całkowite usunięcie kierownictwa komisji daje teraz Xi czystą kartę. Przed przyszłorocznym zjazdem partii może on zarówno ponownie obsadzić, jak i zrestrukturyzować komisję, wybierając nie tylko osoby, które będą w niej zasiadać, lecz także reprezentowane przez nią części wojska (J.A. Czin, J. Culver, „Niszczyciel Xi…").

Xi jak Stalin

Xi może obsadzić CKW pochlebcami i lojalistami, którzy będą jeszcze mniej skłonni do sprzeciwiania się jego decyzjom. Grozi to podejmowaniem przez niego błędnych decyzji w oparciu o tendencyjne informacje, co zwiększa ryzyko potencjalnie niebezpiecznych błędów w ocenie sytuacji. Ryzyko to jest szczególnie widoczne, biorąc pod uwagę, że ani Xi, ani drugi pozostały członek CKW, Zhang Shengmin, nie mają doświadczenia w dowodzeniu wojskiem. („Czystki wojskowe Xi Jinpinga czynią go coraz potężniejszym…"). Xi nie ma wystarczająco dużo czasu i możliwości, a na pewno nie posiada wiedzy specjalistycznej w wysoce wyspecjalizowanych dziedzinach – operacjach, szkoleniach, wyposażeniu, gotowości bojowej i reformach – aby samodzielnie wykonywać codzienne funkcje dowodzenia i zarządzania. Jego rola jest bliższa roli najwyższego decydenta i ostatecznego arbitra. Codzienne funkcjonowanie wojska jest delegowane na zaufanych zastępców, a wiceprzewodniczący CKW stanowią trzon tej struktury pełnomocniczej. W praktyce Xi działa więc poprzez wiceprzewodniczących – mieszankę czynnych generałów i komisarzy politycznych posiadających tytuł generała. Teoretycznie Xi podejmuje decyzje i wydaje ostateczne wyroki, a wiceprzewodniczący zajmują się wykonaniem i wdrożeniem. W tym właśnie tkwi problem. Xi chce, aby wiceprzewodniczący byli jedynie wykonawcami, realizującymi jego instrukcje, plany i wymagania – kompetentnymi generałami, którzy nie naruszają jego władzy ani nie tworzą wokół siebie centrum. Ale ludzie – ani systemy – nie działają w ten sposób. Pełnomocnicy ostatecznie sami dochodzą do władzy, a ich profesjonalna wiedza daje im prawo do interpretacji. Wdrażając wybiórczo rozkazy przewodniczącego lub wykonując je, ale jednocześnie po cichu się im opierając, uzyskują oni własną formę władzy. Nie musi to oznaczać wywrotowości lub sprzeciwu wobec Xi; czasami może to być po prostu wykorzystanie profesjonalnej oceny sytuacji w celu praktycznego wykonania rozkazu – ale takiego, który nadal odbiega od intencji Xi. W końcu generałowie znacznie lepiej niż przewodniczący wiedzą, co wojsko może, a czego nie może zrobić. Im bardziej przewodniczący centralizuje władzę, tym bardziej polega na pośrednikach; im bardziej na nich polega, tym bardziej się ich obawia; im bardziej się ich obawia, tym bardziej ich eliminuje; a im bardziej ich eliminuje, tym trudniej jest znaleźć pośredników, którzy są zdolni, gotowi do podjęcia odpowiedzialności, a jednocześnie całkowicie bezpieczni. Bezpieczeństwo militarne i polityczne może wydawać się większe w wyniku brutalnych czystek, ale może również stać się bardziej kruche w miarę jak zanikają prawdziwe informacje i rzeczywiste możliwości (Deng Yuwen, „Xi Jinping nigdy nie może ufać własnej armii", „Foreign Policy", 9 lutego 2026).

Dominacja Xi jest dziś realna pod względem strukturalnym, nawet jeśli codzienne wykonywanie jego dyrektyw opiera się na pośrednikach i sieciach lojalistów, których działania nie zawsze są w pełni przejrzyste. Podobnie jak Józef Stalin, Xi połączył osobistą władzę z przetrwaniem reżimu. Nie ma niezależnych instytucji odwoławczych. Nie ma trwałych procedur sukcesji. Jest tylko przywódca i system, który utrzymuje. Powoduje to trwałą niepewność. Dopóki Xi pozostaje u władzy, może dyktować warunki. Jednak mechanizmy zapewniające jego dominację – czystki, osłabianie instytucji i likwidacja konkurencyjnych ośrodków władzy – sprawiają również, że system nie może łatwo przetrwać bez niego. Xi rozwiązał problem kontroli. Ale zapewnił również, że gdy centrum zawiedzie, czy to z powodu kryzysu sukcesji, czy rozłamu elit, będzie to oznaczało katastrofalną porażkę (M. Johnson, „Późny stalinizm w Pekinie…").

eprasa.pl 837dc6b7c9

Tomasz Sakiewicz

Co łączy UE

Spór co do kierunku rozwoju świata jest tak stary jak istnienie państw. Nie jest prawdą, że każdy naród funduje sobie państwo, bo inaczej nie przetrwa. Mamy przykład Basków, którzy nigdy państwa nie posiadali, a są jednym z najstarszych, jeżeli nie najstarszym narodem Europy. Ale Baskowie to raczej wyjątek, nie reguła. Generalnie społeczności o cechach narodu bez państwa roztapiały się w innych narodach. Zresztą pojęcie narodu ewoluowało i miało różne znaczenia. Współczesne narody charakteryzuje wspólny język i kultura. Są i tu pewne wyjątki. Naród amerykański ma różnorodną kulturę i mówi co najmniej w dwóch językach. Ale jest pewien zespół wartości, który ten naród charakteryzuje. To przede wszystkim dążenie do wolności i demokracji. Czy to wystarcza? Oczywiście nie. Są pewne bardziej prozaiczne cechy życia, które przyjmujemy wraz przynależnością do narodu. Prosty przykład: hiszpańskojęzyczny Meksykanin nie czuje potrzeby obchodzenia typowo amerykańskiego Święta Dziękczynienia. Tymczasem hiszpańskojęzyczny Amerykanin taką konieczność już na ogół odczuwa. Potrzeby konkretnej przynależności pojawiają się wśród kibiców: trzeba wybrać czyjąś drużynę itd. Te granice niezawsze są ostre, ale jest jednak co wybierać i z czym się identyfikować. Inaczej nie byłoby narodów.

Od dłuższego czasu sufluje się nam istnienie narodu Europejczyków. Czegoś na wzór Stanów Zjednoczonych. Europy w sposób oczywisty nie może łączyć wspólnota językowa. Tu Węgrzy mają szczególnie przechlapane. Była pewna szansa na wspólnotę kulturową. Pierwotny projekt jednoczącej się Europy miał opierać się na kulturze chrześcijańskiej. Nie oznacza to, że wszyscy Europejczycy musieli być wierzący i w pełni akceptować tę kulturę. Całkiem dobrze, po latach nieszczęść, zaczęto absorbować w tej kulturze judaizm: odmienność o wspólnych korzeniach. Problem polega na tym, że współczesne projekty Europy zakładają całkowite wyparcie chrześcijaństwa. Ma się to dokonać m.in. za sprawą islamskiej migracji, co już stanowi skrajne zagrożenie dla judaizmu. Pomysłodawcy antychrześcijańskiej Europy sądzą, że użyją islamu do swojego projektu, a potem się go jakoś pozbędą. To oczywiście absurd. Europy może już nie być, a islam zostanie.

Co więc ma łączyć nową Europę? Jak twierdzą jej twórcy: pewien zespół wartości. Jakich? Wolność, demokracja, tolerancja, prawa człowieka. Tylko że żadnej z tych wartości realnie wprowadzać nie chcą. W ramach szerzenia wolności Komisja Europejska chce nałożyć cenzurę w internecie, demokracji broni, używając unijnych środków do promowania jednych partii i niszczenia innych, a tolerancję szerzy, zwalczając chrześcijaństwo. Wydawało się jeszcze, że bastionem nie do zniszczenia były podstawowe prawa człowieka. Okazało się jednak, że kiedy to dotyczy walki z przeciwnikami politycznymi w Polsce, UE potrafi przymknąć oko na prawo do uczciwego sądu, a nawet na tortury. Nie są to żadne wypadki przy pracy, a demonstracyjne pokazanie braku zasad. Co ma więc łączyć nowy naród? Posady unijnych urzędników i gra interesów najsilniejszych państw. Raczej nie za bogato. Wystarczy, że ktoś zapłaci więcej albo pojawi się odpowiednio silny gracz, żeby wszystko się rozleciało. UE sama zrezygnowała ze wszystkiego, co mogło dać jej szansę bycia wspólnotą, i dlatego w tej formie szans nie ma. Czy będzie inny projekt, czy się rozleci, to już kwestia przyszłości. ■

Co ma łączyć nową Europę? Jak twierdzą jej twórcy: pewien zespół wartości. Jakich? Wolność, demokracja, tolerancja, prawa człowieka. Tylko że żadnej z tych wartości realnie wprowadzać nie chcą.

eprasa.pl 837dc6b7c9

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl 837dc6b7c9